

Tsunami w Japonii,  
świat wstrzymał  
oddech

50

Nauczmy się kochać  
– miłosny przewodnik  
„Przekroju”

30

Czesław Miłosz wielkim  
poetą był? Zapraszamy  
do rozmowy

38

# Misie Rysie dzisiaj

# PRZE KROJ

10

Wskazują:  
**Tym**  
Bryndał  
i Skiba

NR 11 (3429) / 15 MARCA 2011 / CENA 5 ZŁ  
w tym 8% VAT

WWW.PRZEKROJ.PL



Niniejszym oświadczam,  
że pozostaję przy życiu

*Cho'dzaki*



*Marta Gwinińska*

ISSN 0035-2488





SPRING  
SUMMER  
2011

# PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Eile

## „Przekrój” w sieci:

Dudniące echo odbijało się od ścian, strącając kurz z pajęczyn. Drzwi do pustych pokoi wisiały powyrwane z zawiasów, połamane biurka straszły drewnianymi zębami. Samotny mężczyzna biegł korytarzem, nawołując z narastającą histerią w głosie. Odpowiedział mu tylko trzepot ptaków uciekających przez wytłamane okno. Wreszcie roztrzęsiony zatrzymał się i ze złością zaczął szarpać małą plakietkę przyklejoną do ubrania. Zajączał rozrywany materiał i na ziemię upadł kawałek plastiku z wytartym napisem „Kierownik działu”. Mężczyzna rzucił się biegiem przed siebie, jednak po kilkunastu krokach stanął jak wryty. Cofnął się i ostrożnie zajrzał do jednego z pomieszczeń. Jego uwagę przyciągnęło błękitne światło bijące z wciśniętego w kąt ekranu. W umęczonym sercu obudziła się nadzieja podsycana rządzą władzą – oto szansa, oto cudowny moment, oto ostatnia zapewne okazja zyskania podwładnego. Ostrożnie, by nie spłoszyć marzenia, zaczął podkraść się do wysokiego, odwróconego do niego oparcie fotela. Widział już dłonie spoczywające na klawiaturze, ekran z drgającymi literami [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl). Z gwałtownym okrzykiem „Ha!” odwrócił obrotowy fotel. Suche skrzypnięcie i łomot – zeschnięte ciało runęło na podłogę. Nadzieja umarła.



Przynajmniej tu nigdy nie jest pusto



[twitter.com/przekroj\\_pl](https://twitter.com/przekroj_pl) Krótko



[przekroj.blip.pl](http://przekroj.blip.pl) i rzeczowo

Tu zawsze ktoś czuwa:  
[redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl)



# W TYM TYGODNIU

## JAK ZWYKLE PEŁNI PIEKIELNEGO ZAPAŁU NIE PISZEMY...

...że dzięki Piotrowi Semce z „Rzeczpospolitej” wiemy już, czym się wszyscy zajmowaliśmy w naszej redakcji przez ostatni rok. Otóż robiliśmy „pismo pełne zapału obyczajowej rewolucji. Bez zbytej chrześcijańskiej refleksji nad istotą postulatów homozwiązków i innych podobnych idei przebudowy świata od pasa w dół” – i to w dodatku pod zgubnym wpływem „Tygodnika Powszechnego”. Ach, wciórności! Wdzięczni za trafną diagnozę zy-

czmy redaktorowi Semce przebudowy od szyi w górę.

...że konsekwentnie ciągnąc ku piekłu, daliśmy się zwieść piątkowemu „Super Expressowi”, który na stronie tytułowej obiecał „nagie zdjęcie żony Hitlera”. Niżej okazało się, że nie będzie nagości, a jedynie „chłodna żona ludobójcy w bikini”, a parę stron dalej ujrzeliśmy panią Braun w kostiumie kąpielowym, który tyle ma z bikini wspólnego, ile marszałek Niesiołowski

z homozwiązkami. I dobrze nam tak, piekielnikom.

...że wzruszyło nas raptowne przebudzenie spin doktorów premiera. „Szczere wyznanie Kasi Tuska” – zaszeptał błogo „Fakt” i powołując się na blog córki szefa rządu, opisał, jak to zamierzała kiedyś uciec z domu, bo nie chciała nosić aparatu na zęby, lecz „dziś, mądrzejszą o własne doświadczenia, córka premiera doceniła zalety aparatu na zęby”. A obok rodzinne zdjęcie sprzed lat. Piekła nie ma.

...że jest za to kosmos. I okazało się, że przewodniczący Napieralski wylicytował podczas Wielkiej Orkiestry Jurka Owsiaka miejsce na pierwszym polskim satelicie naukowym Lem. No i satelita pofrunie w kosmos z wygrawerowanym na wierzchu logo SLD. Bo trochę się domyślamy, co by powiedział Lem, gdyby się dowiedział, że wozi się na nim SLD – a za takie słowa idzie się podobno do piekła.

MARCIN SENDECKI

## MAREK RACZKOWSKI



## LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

O rosnących cenach cukru: – Kto śpiewa: „Gdy widzę słodyce, to kwicę”? – Ja, ty i każdy inny GOLEC.

vistula.pl

VISTULA  
the men's world



## W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju”  
Katarzyny Janowskiej
- 8 Orbita „Przekroju” Piotra Mareckiego
- 8 Tydzień z „Przekrojem”

## PRZED WSZYSTKIM

- 10 Od premiery „Misia” mija w tym roku 30 lat.  
I co? Bez zmian. Absurdów we współczesnej Polsce wystarczyłoby na kilka równie dobrych scenariuszy – przekonuje Marcelina Szumer
- 14 Na start dostają 10 tysięcy dolarów.  
Na koniec każdego dnia – tysiąc. Obowiązki – zabijanie. O najemnikach Muammara Kaddafiego pisze Łukasz Wójcik
- 16 Z jednej wsi zrobiły się trzy wyspy, przy czym jedna jest już bezлюдna.  
Amfibią do wyspiarzy z Ostrowka w Kujawsko-Pomorskiem dotarła Małgorzata Świąchowicz
- 18 Bestia, gangster, gwałcieł... wielbieli gołębi.  
Tak, to wszystko o jednym człowieku – Mike’u Tysonie. Wzruszający portret byłego pięściarza kreśli Maciej Jarkowicz
- 20 Życie po 12 wyrokach śmierci? Jest możliwe.  
Dowód, żywy, nazywa się Michał Pauli. Opowiedział o sobie Rafałowi Kostrzyńskiemu
- 24 Krótko

## ROZMOWA „PRZEKROJU”

- 26 Grzegorz Miecugow o portfelu Polaków rozmawia z Januszem Czapińskim

## OD AUTORÓW



### Marcelina Szumer

Ja i „Misi” jesteśmy rówieśnikami. Dlatego z zapalem godnym przodowniczkę pracy zasiadłam do poszukiwania współczesnych misizmów. Szybko okazało się, że jestem w kropce – każdego denerwuje przecięć co innego. Jednych stan państwa, innych stan dróg w państwie, a pozostałych prezes (który zawsze oddaje, gdy jest coś komuś wniem). O pomoc poprosiłam więc Stanisława Tyma, Rafała Bryndala i Krzysztofa Skibę. Szczegóły na s. 10.

### Marcin Sendekci

We „Własnych tajemnicach” z tomu „To” (2000) pisał Czesław Miłosz: „Wszystkie moje nie-szczęśne tajemnice/Jedna po drugiej będą wypatrzone/Aż powie ktoś: jakie ubogie życie/I ścieżki stamtąd w górę jakie strome!”. Życie nie było ubogie, tajemnice ważkie, podobnie jak wloty i upadki. Będziemy o nich rozmawiać podczas Roku Miłosza, ale tylko wtedy, gdy sami sobie na poważną rozmowę pozwolimy (s. 38).

### Łukasz Wójcik

Oceaniczne fale na telewizyjnych migawkach wyglądają tak, jakby się miały zaraz zatrzymać. To „zaraz” trwa i trwa, a woda z ogromną siłą przelewa się przez kolejne budynki. Najgorsza jest chyba nieuchronność. Fala jest jeszcze daleko, a ty już wiesz, że twój dom za chwilę przestanie istnieć. I mimo że to wiesz, nadal w nim jesteś. O tym, jak Japończycy nadal nie dają się bogom, czytaj na s. 50.

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 30 W łóżku Polacy spędzają czas głównie...  
z Matką Boską – usłyszał Piotr Stanisławski od edukatorki seksualnej Alicji Długoleckiej. Pouczające
- 33 Żebyś wiedział – wszyscy jesteście piratami
- 34 Nie możesz się uwolnić od melodii? Nic się nie bój, nie jesteś sam. O chorobie, którą nazwano earworms, Paweł Franczak

## KONIEC Z KULTURĄ

- 38 W Roku Miłosza rozmowę o dorobku poety proponuje Marcin Sendekci. Nie musi być miło
- 42 Björk ją pokochała. Jarek Szubrycht sprawdza, czy z wzajemnością. Wywiad z Meredith Monk, gwiazdą tegorocznego Festiwalu Piosenki Aktorskiej
- 44 Mieszka w Polsce od 35 lat. I wciąż jest nam obcy. Nawet bardziej niż kiedyś. Sylwetka Johna Portera
- 46 Lektura: Katarzyna Janowska pyta Lecha Majewskiego, jak ożywić obraz Bruegla

## OTWÓRZ OCZY

- 50 Japonia w chaosie po trzęsieniu ziemi i uderzeniu tsunami

## RECENZJE

- 56 Film: Salwa przerażona „Inside Job”
- 57 Muzyka: Herma zaskoczony – nowej płyty R.E.M. da się słuchać
- 58 Książki: Sadowska nakarmiona
- 59 Teatr: Drewniak lubi „Lenza”

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 9 Kroniki popkultury Orbitowskiego
- 60 Rozmaitości z krzyżówką i jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 64 Stopklatka
- 65 Dziennik Jerzego Pilcha dziś pióra Tadeusza Nyczka

3, 24, 66 Raczkowski



Ilustracja na okładce: Marta Gliwińska studioilustracji.com na podstawie zdjęcia Polifilm/East News

## PRENUMERATA

PRZED WYDAWNICTWEM – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 218,40 zł, półrocznej – 109,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

## PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,  
www.przekroj.pl  
e-mail: redakcja@przekroj.pl  
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:  
Katarzyna Janowska  
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:  
Kasper Skirgajło-Krajewski  
SEKRETARZE REDAKCJI:  
Magda Gędziorowska, Piotr Witek  
SEKRETARIAT:  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

PRZED WSZYSTKIM:  
wydarzenia@przekroj.pl,  
Paweł Wieczorek (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz,  
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,  
Anna Szulc, Donat Szyller,  
Małgorzata Świąchowicz,  
Joanna Woźniczko-Czczott;  
stałe współpracuj: Agata Jankowska,  
Marcelina Szumer

CYWILIZACJA OD ŚRODKA:  
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid Chehab,  
Olaf Szwedczyk, stałe współpracuj:  
Irena Cieślifńska, Urszula Dąbrowska,  
Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ:  
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),  
Marcin Sendekci (zastępca szefa),  
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;  
stałe współpracuj: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian  
Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna  
Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;  
stałe współpracuj: Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:  
Władysław Buchner (wicedyr. art.),  
Agnieszka Kwiatkowska,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

FOTODYSCJA:  
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),  
Marek Szczepański; stałe współpracuj:  
Anna Bajorek

KOREKTA:  
Dorota Dul, Tatiana Hardej

PROJEKT GRAFICZNY:  
Kasper Skirgajło-Krajewski

STRONA INTERNETOWA:  
Marcin Cichoński

ARCHIWUM: Dominika Bok

OBROBKA ZDJEK, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:  
Grzegorz Hajdarowicz

PREZES WYDAWNICTWA:  
Jan Godłowski

DYREKTOR WYDAWNICTWA:  
Sławomir Mokrzycki

DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:  
Artur Rumiński

PROMOCJA I MARKETING:  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremiecka (szef),  
Jakub Maszkowski

BIURO REKLAMY:  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz  
Makowski, p.o. dyrektora biura  
reklam, 605 414 005, Małgorzata  
Skorupa 601 432 821, Beata  
Drogowska 785 855 883, Agnieszka  
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń  
501 227 979, Eliza Zyromska  
785 855 886

DYREKTOR DYSTRYBUCJI:  
Elżbieta Maciążek  
ORLIK RR Donnelly

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

www.porta.com.pl



# Elegancja w naturze



natura bez kantu  
drzwi bezprzylgowe

Drzwi dostępne wyłącznie w sieci Autoryzowanych Dealerów Porta oraz w ponad 1500 współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży (APS).

Belchatów Balsa 44 633 24 31 • Białystok AWRUK – STOLARKA BUDOWLANA 85 653 93 23 • Bielsko-Biała MTB JASIŃSKI 33 816 33 36 • Błonie CENTROBUD 22 731 81 53 • Bolesławiec JAWA 75 732 05 24 • Busko Zdrój FONTIS 41 378 80 45 • Bydgoszcz DRZWI – TESSA 52 364 67 00 • Bydgoszcz STALREM 52 346 55 23 • Ciechanów WOODCOTE POLAND 23 672 56 36 • Czaplinek-Sikory P.P.H.U. M&G GRZEGORZ KOTŁOWSKI 94 375 47 56 • Czechowice Dziedzice MTB JASIŃSKI 32 215 50 49 • Częstochowa FACHOWIEC 34 360 22 40 • Elk MURBET 87 620 06 20 • Gdańsk BEL-POL 58 301 78 39 • Gdańsk STALREM 58 340 69 50 • Gdynia STOREM 58 668 46 87 • Gdynia WOODCOTE POLAND 58 663 84 00 • Gliwice BEL-POL 32 232 87 58 • Gliwice MAT – BUD 32 331 37 20 • Gorzów Wlkp. BEL-POL 95 722 73 19 • Gorzów Wlkp. STALREM 95 725 03 66 • Grudziądz EKSPLO 56 461 37 78 • Jastrzębie Zdrój HADEX 32 478 81 10 • Jelenia Góra BEL-POL 75 767 83 88 • Kalisz BEL-POL 62 753 67 21 • Katowice BEL-POL 32 252 86 91-92 • Katowice BUDUS Grupa PHMB 32 608 87 87 • Katowice WOODCOTE POLAND 32 202 50 30 • Kielce APOLLOPLAST 41 346 10 11 • Kielce BEL-POL 41 362 68 66 • Kielce FONTIS 41 362 72 41 • Kłodzko STOLPLAST 74 867 46 74 • Kołobrzeg WIK 94 351 64 18 • Koszalin SEZAM 94 342 54 46 • Koszalin TOM – SAN 94 343 54 88 • Kościan EFLI 65 511 95 66 • Kraków BEL-POL 12 417 39 46 • Kraków DREWEX 12 622 88 60 • Kraków HEBAN 12 651 87 62 • Kraków KONSTRUKTOR 12 420 00 12 • Kraków STALREM 12 264 72 25/26 • Kraków WOODCOTE POLAND 12 417 13 00 • Legnica BEL-POL 76 856 03 00 • Lubin BUDUS Grupa PHMB 76 844 39 90 • Lublin INTER GIPS 81 441 72 27 • Lublin PORTO 81 444 60 25 • Lublin WOODCOTE POLAND 81 745 38 46 • Łomża DW DOMEL 86 215 66 15, 86 215 42 22 • Łódź BEL-POL 42 676 76 36 • Łódź EKOCENTR 42 656 73 34/35 • Łódź MATERIAŁY BUDOWLANE 42 674 82 44 • Łódź STALREM 42 653 51 44/45 • Maków Mazowiecki CENTROBUD 29 717 13 48 • Nowa Sól BEL-POL 68 356 33 20 • Nowy Sącz BOGDAŃSKI 18 444 24 13 • Nowy Sącz TOMEX 18 444 11 27 • Olsztyn ALTADOOR 89 533 21 07 • Olsztyn D.P. 89 532 02 17 • Opole BEL-POL 77 454 42 33 • Opole WOODCOTE POLAND 77 402 44 40 • Ostrów Wielkopolski INTAR 62 737 51 48 • Płock BUD – MAT 24 268 65 04 • Płock PIK 24 268 99 66 • Poznań BUDOM MARKET 61 859 83 00/23 • Poznań C.B. PROGRESS 61 873 33 00 • Poznań EKO 61 815 03 44 • Poznań STALREM 61 846 08 60-62 • Przemysł MULTI – FORM II 16 678 48 31 • Pszczyna KRONODOM 32 738 77 77 • Puławy BEL – POL 81 888 03 49 • Radom FACHOWIEC 48 340 03 45 • Radom OKNO – BUD 48 381 17 95 • Rzeszów BOZ 17 850 51 33/34 • Rzeszów PORTO 17 853 27 15 • Rzeszów WEPA 17 864 22 80 • Sanok INSTAL – BUD 13 493 24 11 • Słupsk FACHOWIEC 59 842 03 22 • Słupsk WOODCOTE POLAND 59 848 59 75 • Suwałki ALMAT 87 563 16 31 • Szafary Tomex 18 275 40 64 • Szczecin HIPER – GLAZUR 91 485 64 51 • Szczecin STALREM 91 484 73 99 • Szczecinek KPPD Szczecinek 94 372 95 55 • Świdnica BEL-POL 74 856 38 30 • Tarnów TRANSBUD 14 629 80 73 • Toruń DRZWI – TESSA 56 655 92 60 • Toruń MS PROFI 56 660 52 95 • Tychy MULTI – FORM II 32 227 27 27 • Wałbrzych BEL-POL 74 886 95 00 • Wałbrzych SIRBUD 74 666 88 88 • Warszawa CENTROBUD 22 756 72 36 • Warszawa CENTRUM DRZWI 22 651 03 50 • Warszawa SYKOMAT 22 840 42 57 • Warszawa TECHNObUD 22 632 85 06 • Warszawa WOODCOTE POLAND 22 796 00 76 79 • Warszawa – Góraszka SYKOMAT 22 780 09 80 • Warszawa – Grodzisk Mazowiecki FACHOWIEC 22 724 35 91 • Warszawa – Iomianki TECHNObUD 22 751 70 41-44 • Warszawa – Piaseczno SYKOMAT 22 750 68 66 • Warszawa – Pruszków FACHOWIEC 22 728 23 78 • Warszawa – Stara Iwiczna SYKOMAT 22 224 39 31 • Warszawa – Stara Miłosza SYKOMAT 22 773 38 81 • Warszawa – Stare Babice TECHNObUD – ALSTAL 22 382 41 01 • Warszawa – Tarczyn CENTROBUD 22 727 87 67 • Warszawa – Zabki SYKOMAT 22 781 55 06 • Wejherowo BEL-POL 58 672 30 51 • Włocławek MAJSTER ATLAS KUJAWY 54 412 66 21 • Wrocław BEL-POL 71 325 27 77 • Wrocław BUDUS Grupa PHMB 71 373 19 90 • Wrocław WOODCOTE POLAND 71 346 79 90-91 • Zamość METBUD 84 639 10 09 • Zielona Góra CeMBe 68 320 33 00





## ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA  
REDAKTOR NACZELNA

### Wszystkie Ryśki to...

**K** tóż z nas nie pamięta tej kwestii z „Misia” Stanisława Barei. Od powstania kultowej komedii minęło 30 lat, a Ryśków nie ubywa. Absurdów z naszej rzeczywistości też nie.

•••  
Dwie nitki autostrady, które się nie spotykają. Tory tramwajowe na odcinku jednej nie bardzo długiej ulicy w Krakowie, które po miesiącach remontu nie mogły trafić na siebie. Polityk, dla którego przylapanie na kłamstwie czy przestępstwie powinno oznaczać pożegnanie z karierą, a tymczasem zamiast trafić za kratki, zostaje wicemarszałkiem Sejmu i w końcu wicepremierem. Prawnik, którego głównym osiągnięciem życiowym jest małżeństwo z córką prezydenta, ustawiający kandydatów na liście partii, do której nie należy, i o którym można przeczytać w gazetach, że jego kariera się kończy – jakby kiedykolwiek się zaczęła. To tylko nieliczne przykłady absurdów, o których pisze Marcelina Szumer w okładowym tekście „Przekroju”.

•••  
Można się śmiać do rozpuku, tropiąc absurdy polskiej rzeczywistości, ale śmiech ma sens, kiedy staje się początkiem refleksji. Gdybyśmy na śmiechu skończyli, oznaczałoby to, że jesteśmy zarażeni grzechem obywatelskiej obojętności. Wzruszenie ramion, kwitowanie wszystkiego żartem, przekonanie, że mnie to nie dotyczy, jest oddaniem pola, a więc porażką. A pola oddawać nie chcemy. I dlatego z żalem kilka miesięcy przed wyborami obserwujemy, że premier i lider opozycyjnej partii zachowują się jak naczynia połączone.

Kiedy numer jeden w PO, jak trafnie ktoś napisał, szarżeje, traci impet, zaczyna mieć świadomość, że tym razem nie uwiedzie łatwo wyborców, a jedyne, co może teraz zaproponować, to – jak sam mówi – małżeństwo z rozsądku, w tym samym czasie numer jeden opozycji jak co miesiąc staje na Krakowskim Przedmieściu i rośnie w siłę nadmuchany zbliżającą się rocznicą smoleńskiej tragedii. Używa słowa „prawda” jak ostrego noża, którym chciałby zranić przeciwnika. Cień „Misia”, ale w dosyć ponurym wydaniu, kładzie się na rzeczywistości.

•••  
I choć „Misia” Barei kochamy, wolelibyśmy, aby nas bawił, a nie nami rządził. A zatem wiedzeni obywatelską troską przypominamy politykom, którzy nie chcą być ze słomy, tylko z krwi i kości, że polityka to wielka i piękna rzecz. Arystoteles uważał, że wskazuje ona, w jaki sposób dążyć do dobra najwyższego, czyli do wolności, równości i sprawiedliwości. Według Arystotelesa polityka to konkretne działania ludzi żyjących we wspólnocie państwowej. Polityka jest działaniem na rzecz obywateli, a ten, kto się obywatelem czuje, ma obowiązek brać w niej udział. Na tym polega dwustronność tego układu. Ale żeby w coś się zaangażować, trzeba widzieć cel. Nie wystarczy mała stabilizacja, polityka drobnych kroków, reakcja na akcję opozycji albo – jak proponuje druga strona – pompowanie się tragedią. To dobrze, że premier publicznie, na łamach prasy robi bilans nie tylko swoich osiągnięć, ale i porażek, że próbuje nawiązać nadwątloną nić komunikacji z obywatelami. Ale to dopiero początek. My, obywatele, czekamy na cele wyznaczone w dłuższej perspektywie niż miesiące przedwyborcze, na cele ambitne, ale jednocześnie możliwe do zrealizowania; na coś, co wyborców jeszcze raz porwie, sprawi, że uwierzą, iż „Miś” będzie nas już tylko bawił, a nie straszył swoją aktualnością.



## ORBITA PRZEKROJU

PIOTR MARECKI

### Re:Forma

**W** zeszłym tygodniu na dzień przed kinową premierą „Italiaci” Łukasz Barczyk pokazał publiczności Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie film i popełnił – używając jego słów – samobójstwo, czyli wygłosił wykład na temat jego formy. Rozpoczął od myśli przewodniej filmu, przekazał, co chciał nakręcić, i w punktach wyliczył, jakimi środkami to osiągnął. Reżyser przeanalizował wszystkie aspekty języka filmowego (grę aktorską, rytm, dźwięk, scenografię i tak dalej). Podczas gdy inni twórcy zatrzymują się na poziomie „zostawmy to widzom”, „dzieło ma swoją tajemnicę”, Barczyk zdradził chwytły artystyczne i pootwieriał konteksty kulturowe. Podziwiam jego konsekwencję w wymierzaniu policzków zachowawczości i poprawności polskiego kina. Film „Italiaci” otwarty na pole teatru (obsadzenie Krzysztofa Warlikowskiego oraz aktorów z Nowego Teatru) i zrealizowany poza rodzimymi standardami (niski budżet, bez udziału PISF) potwierdza regułę, że w niewielkim kapitale realnym może kryć się ogromny kapitał symboliczny eksperymentu, innowacyjności. Na różnicy, a nie podobieństwie reżyser budował dotychczas swój status: nieposłanie poprzedniego filmu na festiwal do Gdyni, korzystanie z nowych technologii i alternatywnych form produkcji, przyznawanie się do „wyklętego” w Polsce Grzegorza Królikiewicza.

To dzięki temu w starciu awangarda – konsekracja jest dzisiaj autor „Italiaci” najbardziej liczącym się graczem, który może złamać zabójcze dla kina estetyczne status quo oraz tworzyć osobną sieć wpływów i znaczeń. Autorskim kinem i postawą może uruchomić dynamikę zmiany, której jeden z aspektów sam opisał tak: „Sprowadzenie rozmowy o filmie do rozmowy o formie było moim marzeniem i ono zaczyna się realizować”.

Piotr Marecki – redaktor Ha!artu, członek Restartu, ostatnio pod jego redakcją ukazała się książka „Kultura niezależna w Polsce 1989–2009”

# KAMIENICE HERBOWE

## zadbaliśmy o każdy detal



Kraków, ul. Poznańska, tel. 12 633 86 40

[www.mieszkaniowy.as](http://www.mieszkaniowy.as)





## Kulturalnie polecamy



Choć nie widzicie go na tym zdjęciu, Gaela Garcíę Bernala zobaczycie w pretendującym do Oscara filmie „Nawet deszcz”, który zamyka 11. TYDZIEŃ KINA HISPZAŃSKIEGO

### WTOREK 15 MARCA

#### Apokalipsa i świnki

Nagromadzenie motywów jak u Boscha, emocje jak w niemieckim ekspresjonizmie, ponure wizje rodem z „Metropolis” Fritza Langa, a wszystko utrzymane w stylistyce bliskiej street artowi. „Channel Surfing” – wystawa malarstwa Piotra Mateusiaka – to surfowanie nie tylko po motywach i stylach dawnej sztuki, ale także po samych obrazach. Apokaliptycznym wizjom będą towarzyszyć... świnki! Takiego końca świata nie możecie przegapić.

Warszawa, do 29 marca, Fabryka Koronek

### ŚRODA 16 MARCA

#### Chorały się skomercjalizowały...

...i przyniosły olbrzymi sukces znanemu producentowi Frankowi Petersonowi, którego pomysł połączenia średniowiecznych śpiewów gregoriańskich ze współczesną muzyką popową i rockową okazał się żyłą złotą. Największe światowe przeboje (między innymi „Tears in Heaven”, „Losing My Religion” czy „Nothing Else Matters”) usłyszycie zatem w gregoriańskich aranżacjach... Proszę państwa, „Masters of Chant”, chór Gregorian ponownie w Polsce.

Zabrze, 15 marca, Dom Muzyki i Tańca, godzina 19  
Warszawa, 16 marca, Sala Kongresowa, godzina 20

### CZWARTEK 17 MARCA

#### Hiszpańskie skarby

Obejrzyjcie je podczas 11. Tygodnia Kina Hiszpańskiego. Na otwarcie ekstrawagancja spod znaku Rodrígueza czy Tarantino – „Hiszpański cyrk” Áleksa de la Igleсії. Potem dużo nowych hiszpańskich i baskijskich produkcji, większość filmów po raz pierwszy na polskich pokazach. Na zakończenie zaś hiszpański kandydat do Oscara „Nawet deszcz”. Polecamy!

Warszawa, Kraków, Katowice, Łódź, Poznań, Lublin, Gdańsk, do 10 kwietnia, więcej na [www.manana.pl/hispanie](http://www.manana.pl/hispanie)

#### Hiszpańskie skarby 2

Nie zapowiedzieliśmy tej wystawy, kiedy gościła w Warszawie, więc teraz nadrabiamy zaległości. Zdjęcia autorstwa Hiszpana Luisa Ramóna Marína przeleżały w skrytce za kuchenną ścianą kilkadziesiąt lat. Dziś zachwycają krytyków, którzy twierdzą, że przez to przypadkowe znalezisko trzeba będzie przepisywać podręczniki do historii fotografii. Marín to jeden z prekursorów współczesnej fotografii reporterskiej. Z jednakową pasją obserwował przez obiektyw rodzinę królewską i pijaków w tawernie. Tak samo interesowały go momenty społecznie ważne i te zupełnie nieistotne. A teraz istotne jest to, byście nie przegapili tej niezwyklej wystawy!

Kraków, do 30 kwietnia, galeria Pauza

#### Wielki z Mali

Bassekou Kouyate jest wirtuozem ngoni, charakterystycznego dla Afryki Zachodniej instrumentu przypominającego bandzo. Kouyate jest także muzycznym spadkobiercą Alego Farki Touré i Toumaniego Diabaté uważanym dziś za jednego z najciekawszych muzyków Mali. Jego renomę potwierdził kontrakt z wytwórnią Sub Pop, która wydała jego znakomitą płytę „I Speak Fula”. Nie znacie? Tym lepiej. Taką muzykę najlepiej chłonać spod sceny.

Szczecin, Filharmonia, godzina 19

### PIĄTEK 18 MARCA

#### Dwa weekendy po francusku

Piąta odsłona festiwalu Francophonie zajmie aż dwa weekendy marca. W pierwszy weekend (18–19 marca) Stodoła nagłośni rockowe Oh La La! i Poney Express, a także soliści: Mélissa Laveaux, paryżanin z Luizjany Féloche, polski Senegalczyk Pako Sarr oraz już rdzennie nasza Monika Brodka. Z kolei 24 marca zagrają La Boétie i Nouvelle Vague, a podczas finału uczymy 10. urodziny francuskiej wytwórni Record Makers.

Warszawa, do 25 marca, Stodoła, Palladium, Kamieniolomy, więcej na [www.fpf.com.pl](http://www.fpf.com.pl)

#### Schizofonia i drzenie

Relacje między sztukami wizualnymi a dźwiękiem będą treścią projektu „Historie ucha”, do udziału w którym zaproszono Grupę Twozywo, Bartka Materkę, Marcina Maciejewskiego oraz Annę Molską. Kuratorki zainspirowały film – eksperyment Maurizioa Kagela „Ludwig van”, w którym argentyński kompozytor i reżyser poruszył temat schizofonii, czyli zerwania związku między widzeniem a słyszeniem. W programie sporo atrakcji, na przykład koncert na otwarcie. Amerykański gwiazdor elektroakustyki Mark Baina ma „przy użyciu różnych czujników sejsmograficznych i systemu nagłaśniającego przeobrazić budynek Zachęty w gigantyczny, drżący instrument dźwiękowy”.

Warszawa, do 15 maja, Zachęta, więcej na [www.zacheta.art.pl](http://www.zacheta.art.pl)

### SOBOTA 19 MARCA

#### Film o filmie

Dokumentom nie ma końca za sprawą cyklu filmowego „1/100”, a w tym tygodniu mówimy o „Filmie niedokończonym” (w kinach od 8 kwietnia). Pochodzącą z Izraela Yael Hersonski zainteresowały materiały zebrane przez hitlerowców w getcie warszawskim, a dokładniej – odnaleziony po wojnie niedokończony film bez dźwięku, który posłużył celom propagandowym. Film o tym filmie oraz o mechanizmach manipulacji skomentuje wybitny dokumentalista Marcel Łoziński.

Warszawa, kino Atlantic, godzina 13

#### W poszukiwaniu przesteru

Z okazji 15. rocznicy wydania płyty „In Search of...” południowokalifornijskie Fu Manchu przypomni nam swój historyczny album, a przy okazji znaczenie terminu *stoner rock*. Podpowiadamy, że będzie dużo gitar, jeszcze więcej przesteru i tak zwany czad.

Wrocław, Firlej, godzina 20

#### Jazz afroamerykański po kubańsku

45-letni Omar Sosa urodził się na Kubie, od lat 90. zwiedza egzotyczne kraje, a każdy z nich pozostawia ślad w jego muzyce. Jego kwintet Afri-Lectric mieni się kubańskim, ale basista pochodzi z Mozambiku, a trębacz Joo Kraus mieszka w Niemczech. Wpływy afrykańskie i latynoskie, tradycyjny amerykański jazz, akcenty azjatyckie i arabskie – czy to się da połączyć?

Warszawa, Palladium, godzina 20

### NIEDZIELA 20 MARCA

#### Obwiniamy córkę Stinga

O przebojowe melodie i niezaprzeczalny talent. 20-letnia Eliot Paulina Sumner, znana jako I Blame Coco, będzie promować swój debiutancki album „Constant”. „Caesar”, „Self Machine”, „In Spirit Golden” – możecie ją obwinic o melodie, od których nie uwolnicie się po tym koncercie.

Warszawa, Stodoła, godzina 19

### PONIEDZIAŁEK 21 MARCA

#### Satafaże grozy

Choroby, starość, uprzedzenia i lęki, czyli to, od czego współczesna kultura ucieka, zatriumfuje na wystawie „Horror Show, czyli sublimacja strachu”. Sprawy mroczne na światło dzienne będą wydobywać Tomasz Opania, Tomasz Bajer, Tomasz Domański, Piotr Wesołowski, Laura Paweła, Iker B. Arruti. Strach nie przyjdzie!

Wrocław, do 9 kwietnia, BWA Studio

## Na kanapie

Michael Cera, jeden z najbardziej uroczych aktorów młodego pokolenia w jednym z najbardziej uroczych filmów ostatnich lat – tego nie może przegapić żaden szanujący się nastoletni, a nawet nieco starszy widz. Zwłaszcza że „Scott Pilgrim kontra świat” to gatunkowe szaleństwo: ekranizacja komiksu, w której sceny musicalowe

sąsiadują z sekwencjami walk, a bohater jest jak z gry komputerowej. Do tego muzyka i ciuchy, za które kochamy lata 90. To był najbardziej entuzjastycznie przyjęty film American Film Festival.

DVD „Scott Pilgrim kontra świat”, reż. Edgar Wright, 49,49 zł

# Z młodej piersi się wyrwało...

## Nawet Irak Saddama miał swoich gwiazdorów



LUKASZ ORBITOWSKI

Ludzie przestają czytać, a ja, owładnięty trwogą, pojmuję, że i z pisaniem u mnie nie najlepiej – pozostaję więc sprzężony zwrotnie ze społeczeństwem. Jaką przyszłość sobie zapewnię? Jestem przecież twórcą i sumieniem, co znaczy tyle, że nie nieumiem, wiem jeszcze mniej i łamię sobie palce, wiążąc krawat. Skoro do niczego się nie nadaję, w katordze poszukiwana zawodu decyduję się na krok możliwie sensowny, wybierając fach, do którego mam predyspozycje jak najmniejsze. Jestem, owszem, kłębny, ale za to tchórzliwy. Postanawiam niniejszym zostać trepem.

Wojsko, ale jakie? Wybór mam spory, bo zamierzam przemieszczać się nie tylko w przestrzeni, ale i w poprzek czasu. Weźmy Amerykanów. Ci wydają się sensowni, przynajmniej ze względu na serię przyjaznych zwycięstw nad ludami zasobnymi głównie w piasek. Do zgłoszenia się pod gwiazdzisty sztandar zachęca mnie Mark Schultz, chrześcijański wokalista, a przy tym miłośnik strzelania do ludzi. Jego wideo do „Letters from War” rysuje przed rekrutem świetlaną przyszłość w atmosferze surowego koleżeństwa. Czas upłynię mi na niewinnych żartach, skrobaniu rzeźzonych listów, a gdy obok walnie granat, dzielni koledzy pozbiierają mnie z pola bitwy, choćbym cały mieścił się już w hełmie. Listy odbiera prześliczna żona, śmiejąc się w swej samotności z tego, jak mi fajowo na tej wojnie, odpisuje wylewnie i spogląda w sufit. Amerykańskim żołnierzom przedstawionym przez Schultza brakuje tylko aureoli i anielskich mocy.

A może druga strona? Dlaczegoż nie wybrać mroku? Irak Saddama miał swoje piosenki wykonywane przez rodzimych gwiazdorów. Ich treść pozostaje mi nieznana ze względu na braki językowe, niemniej nie

umiem otrząsnąć się z entuzjazmu. Do uroków służenia pod rozkazami powieszonego już satrapy przekonuje młody mężczyzna o uśmiechu zadowolonego alfonsa: gibie się na parterze jakiegoś hotelu filmowany raz z lewa, raz z prawa, nie wiedzieć czemu w dwóch różnych garniturach. Jego radość, porównywalna tylko ze szczęściem człowieka, który zleciał na łeb do jamy pełnej złotych samorodków, przeplata się z obrazami Saddamowych zastępów. Są to wąsate chłopcy obwieszane taśmami amunicji, różnej tuszy oraz w różnym wieku. Wygląda też, że obowiązującą jednostką bojową jest wataha. Podobnych filmów znajduję kilkanaście, w każdym pojawia się sam Saddam zainteresowany z niewiadomych przyczyn wyłącznie pruciem w niebo z dwururki.

Wschód też kusi. Ktoś pokonał tego paskudnego Hitlera, a od dawna wiadomo, że nie ma to jak w ruskim wojsku. Piosenka zachęcająca do wstąpienia w szeregi desantu osiągnęła popularność w sieci znacznie przekraczającą liczbę potencjalnych rekrutów. W odróżnieniu od Marka Schultza punkującego koleżeństwo Rosjanie akcentują morderczą precyzję, sam kawałek zaś nosi znamiona hitu. Wierzę już, że sami tylko spadochroniarze z Moskwy podbiliby świat od Pekinu po Paryż. Wartością dodaną jest popularny Aleksander Bujnow. Pod niebieskim beretem płoną życzliwe oczy. Bujnow w tej roli doskonale wpisuje się w wyobrażenie rosyjskiego oficera ze starych filmów wojennych: takim życie upływa na karmieniu sarenek, klarowaniu prawd życiowych zagubionym szeregowcom i zdobywaniu Berlina.

Mimo tego przerysowania rosyjski videoklip zawiera jakąś prawdę. Oglądamy tam przecież prawdziwe ćwiczenia dzielnych spadochroniarzy. Irakijczycy zapędzili na plan swoich ochotników – ich armia mogła, przynajmniej w części, wyglądać podobnie. Tymczasem Amerykanie fundują narodowi kawał odrealnionej propagandy, łzawy, ekliwy, zakorzeniony w zamierzchłej przeszłości, jakby nie zdarzył się nawet życzliwy armii „The Hurt Locker”, a wojny rozgrywały się w tej samej krainie co „Indiana Jones”. Niestety – nawet w tych realiach niechybnie zostałbym zastrzelony.





# Miś na dziś

Jest prawda czasów, o których mówimy, i prawda ekranu, która mówi, że choć od premiery „Misia” mija w tym roku dokładnie 30 lat, to absurdów we współczesnej Polsce wystarczyłoby na kilka równie dobrych scenariuszy

TEKST MARCELINA SZUMER ILUSTRACJA JAN KOZA

**R**yszard Jankowski, właściciel firmy transportowo-dźwigowej, dialogi z „Misia” zna na pamięć. Szczególnie śmieszy go, a właściwie śmieszył ten fragment, w którym pojęcie „ekstradycja” wytłumaczone jest tak: ekstradycja to taka zasada, zgodnie z którą jeśli ukradną nam furę, to muszą oddać samolot. Z zasady przestał się śmiać, gdy z placu budowy szerokiej, jasnej i prostej trasy S7 w Warszawie ktoś ukradł mu 24-tonowy dźwig (to waga, nie liczba wydawanych przez dźwig dźwięków). – Kolos z 50-metrowym wysięgnikiem zginął w nocy ze strzeżonego placu. Ochroniarze nic nie widzieli. Po maszynie zostały tylko szerokie ślady kół prowadzące w stronę lotniska... – wspomina Jankowski.

Od policji domagał się nie samolotu, lecz rzetelnego śledztwa. Bo funkcjonariusze się nie spieszyli. Jakby się zastanawiali, czy dźwig by zniknął, gdyby siedziała w nim matka pana Jankowskiego. Na szczęście pomogły inne matki: dwie znające sprawę panie zauważyły maszynę ustawioną na parkingu pod Warszawą.

Ustawieni przy ulicy policjanci w Boronowie i Sadowie (województwo śląskie) też pomagają. W zwalnianiu. W skupieniu pochy-

lają się, trzymając w ręku radar. Teren jest naprawdę zabudowany, a szkoła nie wspiera się na sznurkach (jak domy z dykty w „Misiu”). Sztuczni są za to funkcjonariusze. To ludzie z plastiku (przypomnijmy, że i „Człowiek z żelaza” premierem miał 30 lat temu).

Mamy więc człowieka na miarę naszych czasów. Są też i nowe „misizmy” – na miarę naszych możliwości.

## Won mi stąd

– Minister Ewa Kopacz odwiedziła incognito nocne punkty opieki medycznej – opowiada „Przekrojowi” Stanisław Tym, który 30 lat temu zagrał w „Misiu” Ryszarda Ochódzkiego, a w zeszłym tygodniu pomógł nam tropić współczesne misizmy. – Minister chciała sprawdzić, jak traktowani są pacjenci, którzy szukają pomocy w przychodni nocą. No i z większości niemal ją wyrzucono – śmieje się współscenarzysta filmu (ze Stanisławem Bareją). – Takie czasy, że kto nie ma stanowiska, układów, ciuchów i dobrego samochodu, musi, jak pani minister, spadać – dodaje.

Ochódzki spadać by nie musiał. – To nie tylko nazwisko, ale też instytucja – wyjaśnia Tym. – Rysio to człowiek, który zawsze będzie tam, gdzie jest interes. Taki, który wcho-

dząc pierwszy raz do obcego mieszkania, już wie, w którym kredensie, na której półce stoi słoiczek miodu.

– Widzę Ochódzkiego jako właściciela sieci dyskontów spożywczych – dodaje satyryk i muzyk Krzysztof Skiba. – Jego pracownicy nie pogadałyby sobie w toalecie jak sprzątaczkę w klubie Tęcza. One nie poszłyby do toalety, bo prezes Ochódzki w celach oszczędnościowych zaopatrzyłby je w pampersy.

Ale Tym, gdyby dziś kręcił „Misia”, widziałby Ochódzkiego na państwowej posiadzie, rozpartego w dyrektorskim fotelu. Najlepiej głównego szefa od budowy dróg i mostów. – To taki gość – według Tyma – który nie pracuje wydajnie, ale ze względu na wysokość fotela oczekuje powszechnego szacunku. To Ochódzki, któremu nie schodzą się nitki budowanej z dwóch stron autostrady.

– On siedzi raczej w PZPN – kręci głową Rafał Bryndał, satyryk, dziennikarz Radia Zet. Jego zdaniem piłkarski związek to ulubiony barłóg wielu misiów Rysiów, bo opiera się wszelkim reformom. – I gdyby się okazało, że w siedzibie związku jest szafa, do której Jarząbek wyśpiewuje peany na cześć prezesa, wcale by mnie to nie zdziwiło – zapewnia Filip Gieleciński z inicjatywy internautów Koniec PZPN.



– Przecież to jak w latach 80. towarzystwo wczesnej adoracji.

A gdzie mowa o adorowaniu, nie obejdzie się bez Tomka, byłego agenta CBA. – To byłby najlepszy przyjaciel Ochódzkiego – uważa Skiba.

## To ja, szczupak, zarzucamy sieć

Taki Tomek razem z Ochódzkim mogliby sprawdzić, czy wszystkie misie kupione uczniom za rządowe pieniądze w ramach programu „Radosna szkoła” zostały nabyte legalnie. Zresztą CBA ubiegło scenarzystów – już w zeszłym roku prześwietliło szkolne maskotki.

– Tomek sam byłby świetnym misiem – Rafał Bryndał rozwija myśl o agencji. – Jego intrygi

prokowały ogólnopolską dyskusję. Chłopak stał się synonimem poprzednich rządów. Zdaniem Marka Migalskiego, europarlamentarzysty, który opuścił szeregi Prawa i Sprawiedliwości na rzecz ugrupowania Polska Jest Najważniejsza, najbardziej negatywnym bohaterem naszych czasów jest raczej ktoś działający na pograniczu polityki i biznesu. – Ktoś, kto chce zarobić, ale się nie narobić. Kto do celu idzie po trupach, a jednocześnie ma taki urok, że inni albo go kochają, albo się go boją. W pewnym sensie takim Ochódzkim ostatniego miesiąca jest Marcin Dubieniecki – uważa Migalski.

Zmecenąsem Dubienieckim jednak ostatnio trudniej się skontaktować niż z agentami Centralnego Biura Antykorupcyjnego. „Dla osób

niemających możliwości zgłoszenia się do siedziby CBA w godzinach urzędowania biura istnieje możliwość umówienia spotkania poza tymi godzinami” – czytamy na stronie internetowej CBA i zastanawiamy się, czy na spotkanie trzeba przyjść w krawacie, bo przecież klient w krawacie jest mniej awanturujący się.

Ale to przesady z czasów PRL. Teraz trzeba się awanturować, również w krawacie. To, co kiedyś dla polityka, urzędnika czy innego działacza oznaczało pożegnanie z karierą, dziś może otwierać do niej drzwi. – Przylapię kogoś na kłamstwie? Nie szkodzi. Udowodnią przestępstwo? Żaden problem – mówi Tym.

Bo czy karierą rodem z „Misia” nie jest ta rozpoczęta od wysypywania zboża na tory i blokowania ruchu na ulicach? Kogoś innego taka działalność zaprowadziłaby za kratki. Andrzej Lepper dzięki niej został ministrem i wicemarszałkiem Sejmu.

– Kandydat do Sejmu lub Parlamentu Europejskiego powinien mieć nie mniej niż 21 zarzutów prokuratorskich – europosełka Joanna Senyszyn wezuwa się w scenarzystkę współczesnego politycznego „Misia”. – Senator: 30 zarzutów, a kandydat na prezydenta: co najmniej 35 – oblicza Senyszyn, podkreślając, że filmowa kwestia: „Niech pan siada, panie ministrze”, nabrałaby też nowego znaczenia. „Już siedzę” – odpowiadałby z za kratki polityk.

Śmieszne? Nie wszystkim jest do śmiechu.

## Kartek w paszporcie wyrywać nie muszę

Lilii Karkockiej też nie jest wesoło. Azerka polskiego pochodzenia przyjechała na wakacje do Polski w 1997 roku. Tu skradziono jej paszport. Nie mogła jednak ani wyrobić sobie nowego dokumentu (w Polsce nie było wtedy ambasady Azerbejdżanu), ani wyjechać z kraju, dlatego trafiła do ośrodka dla uchodźców. Na cztery lata. Wystąpiła o status uchodźcy, ale odrzucono jej wniosek. A potem najwyraźniej wyproszone ją z ośrodka. Bez żadnych dokumentów. – Wiedzieli, że nie mogą wyjechać z kraju, ale zostać też mi nie pozwolili. Po prostu puścili w świat – zapowiada nam Karkocka.

O polskim paszporcie marzyła bardziej niż Ochódzki. Jednak by go zdobyć, nie szukała polskiego sobowtóra z ważnym dokumentem. – Pisałam do MSWiA, Rzecznika Praw Obywatelskich, wojewody, prezydentów →



→ - wylicza mieszkająca pod Otwockiem Lilia. Dzieci zapisała do polskiej szkoły, pokazując azerski dowód osobisty - nikt o nic nie pytał. Nadal by nie pytał, gdyby jej syn Marek był słabowity. A że chłopak jest silny i wiele w życiu może unieść, zaproszono go do polskiej reprezentacji ciężarów. Wówczas wydało się, że choć jego pradziadkowie byli Polakami, a on sam nie zna słowa po azersku, w świetle prawa wcale nie jest Polakiem.

Rodzinie pomogło Stowarzyszenie Interwencji Prawnej. Nawet urzędnicy zadeklarowali pomoc. Ale dopiero wtedy, gdy sprawę nagłośniły media. Zdaniem Tyma to kolejny misizm współczesności: bez mediów lub choćby Internetu nie istniejesz (a Polka z Azerbejdżanu zaistniała i w styczniu wraz z rodziną dostała obywatelstwo).

- Ja się nawet na to nie złościę, ja się nie obrażam - mówi Tym. - Choć sam nie mam w domu Internetu, a jedyny sprzęt elektroniczny, jakim dysponuję, to latarka na baterie. Ja się tylko dziwię, kiedy czytam wywiad z gwiazdą porno. Zarabia masę pieniędzy i spokojnie tłumaczy dziennikarzowi, że dopuszcza wszystko prócz seksu z dziećmi i zwierzętami, a bycie aktorką porno to ciężka praca - opowiada współscenarzysta kultowej komedii, którego nieco denerwuje, że dziś do zaistnienia w powszechnej świadomości nie są potrzebne szczególne umiejętności, kompetencje lub talenty. Jednocześnie zapewnia, że do rzeczoności gwiazdy porno ma więcej szacunku niż do Ochódzkiego od dróg i mostów. - Ona przynajmniej porządnie wykonuje swoją pracę.

Gorzej Tym ocenia pracę polskich reżyserów teatralnych.

### Pan wie, kto po nim stąpał

- Ja lubię opowiadania, które rozumiem - mówi Tym. - Mnie uczyli szacunku do Szekspira i nie widzę na przykład powodu, by dopisywać „Hamletowi” inne zakończenie, bo niby będzie lepiej. Otóż nie będzie. Mija właśnie 50 lat, od kiedy napisałem pierwszy tekst do profesjonalnego teatru. I choć na razie czuję się na scenie bezpieczny, to wiem, że w pewnym momencie mogą boleśnie się rozczarować.

Może tylko się modlić, by reżyser nie zmienił mu na przykład środka tekstu. A teraz można się modlić nawet jako niewierzący praktykujący (tak o swoim mężu powiedziała kiedyś Jolanta Kwaśniewska). - O tak, Ochódzki miałby duszę, ale na potrzeby mediów - twierdzi Krzysztof Skiba. - Kamień przywiózłby z Jeleniej, a nie Jasnej Góry, ale przed kamerami leżałby krzyżem.



Stanisław Paluch, długo poszukiwany sobowtór Ryszarda Ochódzkiego, na planie „Ostatniej paróweczki hrabiego Barry Kenta”, gdzie grał dziedzica Pruskiego. Dziedziców cwaniackich talentów prezesa Ochódzkiego dziś dużo łatwiej znaleźć

- Zbitym z krążących po świecie oryginalnych kawałków krzyża Chrystusowego - dodaje Senyszyn.

Bartek Kędzierski, reżyser kreskówki „Włotcy móch”, ma zupełnie inne zdanie. Uważa, że stosunek Ochódzkiego do wiary byłby bardzo głęboki. - Co najmniej jak fundamenty, które trzeba było wykopać pod figurę Chrystusa Króla w Świebodzinie. Idę o zakład, że to właśnie Ochódzki byłby głównym lobbystą w sprawie postawienia figury - mówi reżyser i dodaje, że Ryś z kolegami (i z Bożą pomocą) nieźle by na tym zarobili. - Bo przecież taki pomnik na miarę naszych możliwości musi być najwyższy, a nie zrobiony z najlepszej jakości betonu. W pionie będzie go trzymać wiara narodu - tłumaczy Kędzierski.

Nie wiadomo tylko, co będzie trzymać w poziomie niedawno otwartą w Warszawie trasę S8. Tę, w której choć jest jedną z najdroższych inwestycji drogowych w stolicy (10-kilometrowy odcinek kosztował ponad dwa miliardy złotych), jest za mało asfaltu w asfalcie.

Całe szczęście, że przynajmniej w kwestii parówek nie jesteśmy pozostawieni sami sobie.

### Tak nie wygląda baleron

Dziś, by kupić mięso, nie trzeba już iść do kiosku Ruchu po poradnik speleologiczny (czyli po wątróbkę) ani do teatru, żeby obejrzeć baleron. Ale grzebiąc we współczesnej górze mięsa, wędlin i innych dóbr jadalnych, można znaleźć całkiem niezłe kawałki. W ubiegłym roku Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów nałożył na jednego z producentów masła 180 tysięcy złotych kary za wprowadzanie klientów w błąd - dwa procent masła w produkcie Maślany Smak z Warlubia to chyba rekord minimalizmu na skalę światową. Tego nawet Tym by nie wymyślił. Podobnie jak listów o treści: „Oświadczam, że pozostaję przy życiu i zamieszkuję pod wskazanym adresem”, które kilka lat temu dostawali z ZUS emeryci. Mieli je odesłać w ciągu 30 dni - jeśli ktoś zamarudził z wysyłką, dla zakładu oznaczało to, że nie żyje.

I tak jak policjanta, który sam sobie wypisał mandat, bo nie natrafił podczas służby na żadnego złoczyńcę. Wydał na to własne pieniądze, mimo że za wartość mandatu mógłby mieć dwa centymetry kwadratowe mieszkania. Bo teraz w Polsce za przeciętne miesięczne wynagrodzenie można kupić 0,8 metra lokum. - No właśnie - denerwuje się Paweł Podwysocki, który pięć lat temu wyemigrował do Irlandii, a teraz zamierza wrócić do Polski. - Współczesny „Miś” byłby o takich jak ja - wracających z emigracji: zarobiło się trochę, chciałoby się kupić mieszkanie. I tutaj pojawia się prezes Ochódzki - opowiada Podwysocki.

Taki Polak emigrant bowiem już na warszawskim lotnisku rozwinie transparent „Tusku, oddawaj moje 20 tysięcy”. - Bo tyle przez ten jeden mały procent podwyżki VAT podrożało moje mieszkanie - złości się Podwysocki.

Ale do Polski wróci. Co go tu ciągnie? Ludu śpiewanie, ojców mowa, może ten dąb, co rósł tysiąc lat? Nad tym też zastanawiamy się ze Stanisławem Tymem. - W każdej epoce byli tacy Ochódzcy, czyli cwaniacy, kombinatorzy - dochodzi do wniosku Tym. - Ale zawsze są i tacy, którzy innym pomogą. Z wysiłkiem, ale jednak. Bo być człowiekiem przecież nie jest łatwo. Być człowiekiem to los okrutny.

WSPÓLPRACA

DONAT SZYLLER, AGATA JANKOWSKA, KINGA GRACZYK

Pytanie na Śniadanie

Więcej o misjach Rysiach w „Pytaniu na Śniadanie”. Oglądaj we wtorek 15 marca w TVP2 o 8.30-10.45

## Polska w długach! Zabierz głos przeciwko katastrofie!

**STOWARZYSZENIE KOLIBER:** „Tak jak w życiu rodzinnym nikt rozsądny nie zostawia w spadku swoim dzieciom własnych długów do spłacenia, tak też Państwo nie powinno zostawiać najmłodszym obywatelom takiego obciążenia.”

Dług publiczny w Polsce przekroczył 700 miliardów złotych i wciąż rośnie! Przyszła pora, aby ten proceder ukrócić. Czas przerwać dalsze zadłużanie obywateli. Stowarzyszenie Koliber na stronach serwisu ideosfera.pl prezentuje akcję „Polska bez długu”. Ma ona uświadomić politykom, jak wielu Polaków sprzeciwia się dalszemu zadłużaniu kraju oraz że nie można dłużej oszukiwać obywateli i ukrywać tego problemu. Dług jest najgroźniejszy dla tych, którzy będą go spłacać, a więc dla nas - aktualnych i przyszłych podatników.

Uważamy, że Państwo powinno inwestować efektywnie. Niestety, historia pokazuje, że większość wydawanych pieniędzy dotychczasowe rządy III RP przeznaczały na bieżącą konsumpcję, a inwestycje państwowe przeważnie okazywały się nietrafione, co skutkowało koniecznością dopłacania do nich przez kolejne lata.

Tylko przepis konstytucji może zakazać politykom uchwalania budżetu z deficytem. Dlatego chcemy zbudować ruch społeczny, który będzie na każdym kroku naciskał na polityków, by wreszcie taki przepis w Konstytucji się znalazł. Chcemy pokazać, jak duża część Polaków nie życzy sobie zostawia swoim dzieciom i wnukom w testamencie ogromnego długu do spłacenia.

W serwisie **ideosfera.pl** zamieszczona została petycja do posłów Rzeczypospolitej Polskiej o wpisanie do Konstytucji artykułu zakazującego zadłużania Państwa. Główny jej argument jest następujący: „Nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których wzrośnie nominalny państwowy dług publiczny.” Wierzmy, że taki przepis, zakazujący dalszego zadłużania Państwa, a więc pośrednio wszystkich polskich obywateli, przyczyni się do zwiększenia niezależności naszego kraju oraz do skończenia z redystrybucją dochodu z młodszych pokoleń na pokolenia starsze.



rys. Krzysztof Boruszewski

Zapraszamy do serwisu **ideosfera.pl**, gdzie można poprzeć akcję „Polska bez długu”. Każda pomoc z Twojej strony jest mile widziana. Im więcej nas będzie, tym większa szansa, że nasi politycy zrozumieją, iż dalsze zadłużanie kraju nie zyskuje poparcia społecznego.



## Poznaj siłę swoich idei!

**ideosfera.pl** jest miejscem, gdzie porusza się ważne problemy oraz przedstawia konkretne propozycje zmian. To serwis, gdzie wspólnie szuka się rozwiązań, a idee przekuwają na konkretne działania. Jeśli masz pomysł, który może zmienić otaczającą rzeczywistość, wejdź na **ideosfera.pl**. Wsparcie od użytkowników, opinie specjalistów i przełomowe debaty mogą wypromować Twoje idee i wprowadzić je w życie! Dołącz do nas, wyrażaj swoje poglądy, popieraj pomysły innych.

## Uwaga konkurs!

Zgłoś swoją ideę do konkursu w serwisie **ideosfera.pl**. Wśród najpopularniejszych jury wybierze zwycięską, której autor zostanie nagrodzony kampanią reklamową. Nie zwlekaj! Z Ideosferą masz szansę zrealizować swoje pomysły!





W 2008 roku do Bengazi przyjechało ponad 200 królów i wodzów plemiennych z całej Afryki. Wszyscy jednogłośnie obwołali gospodarza Kaddafiego „królem królów”. Libijczyk zaakceptował nowy tytuł i oficjalnie używa go do dziś (stan na 11 marca)

# Czarne dzieci Kaddafiego

Zagraniczni najemnicy, którzy walczą dziś u boku libijskiego dyktatora, to pokolenie, które w przyszłości może roznieść Afrykę. Upadek Muammara Kaddafiego to przyspieszy

LUKASZ WÓJCIK

**N**a start – 10 tysięcy dolarów. Dniówka – tysiąc. Obowiązki – głównie zabijanie. Takich informacji trudno było szukać na wielkich billboardach rozklejanych pod koniec lutego w Czadzie, Nigrze i Burkina Faso. Był na nich natomiast wielki, uśmiechnięty Muammar Kaddafi i hasło: „Przyjaciele, pomóżcie!”. O pieniądzach opowiedzieli agencji Reutersa urzędnicy z Kidal, malijskiego miasta w pobliżu granicy z Libią: – W ciągu kilku tygodni zniknęło dwa, może trzy tysiące młodych mężczyzn. Trudno im się dziwić, bo tu nie zarobiliby tyle przez sto lat.

Przyjaciele więc pomogli. Według relacji dwóch libijskich dyplomatów, którzy wypowiedzieli posłuszeństwo Kaddafiemu, nawet

30 procent walczących dziś po stronie reżimu to zagraniczni najemnicy, choć niejednokrotnie z libijskim obywatelstwem w kieszeni, przyznany ekspresowo, za zasługi. – Powieździeli nam w Ndżamenie (stolica Czadu), że chodzi o demonstrację poparcia dla Kaddafiego – opowiadał reporterowi BBC jeden z nich schwytany przez rebeliantów. – Gdy znaleźliśmy się w jakiejś libijskiej bazie, wojskowi dali nam pieniądze, broń i wypuścili nas na ulicę.

## Warunki cieplarniane

Chociaż się cenią, w ogólnym rozrachunku są znacznie tańsi niż regularna armia: nie trzeba ich utrzymywać w czasach pokoju i są lepiej wyszkoleni. Najemnicy ściągnięci przez Kad-

dafiego nie mają też żadnych sentymentów wobec miejscowej ludności i palec na spuście im nie zadrzy. Z perspektywy dyktatora być może jednak najważniejsze jest to, że najemnicy po wykonaniu zadania wyjadą z kraju. Dotychczas libijski przywódca przeraźliwie bał się konkurencyjnej siły wewnątrz państwa, dlatego jego armia w momencie wybuchu rewolucji była w tak opłakanym stanie.

Mimo że wojsko zaciężne nie jest afrykańskim wynalazkiem, to na tym właśnie kontynencie przyjęło się najlepiej. Świetna podaż – tysiące bezrobotnych z dużym doświadczeniem, bez jakichkolwiek zahamowań i szans na przekwalifikowanie się. Niezaspokojony popyt – liczba wojen, które

wybuchły w Afryce w ciągu ostatnich 30 lat, to ponad połowa wszystkich, do których doszło w tym czasie na całym świecie. Słaby regulator rynku – w odróżnieniu od zachodnich najemników ci afrykańscy w zasadzie nie muszą się przejmować miejscowym prawem, bo przeważnie są lepiej uzbrojeni niż lokalne wojsko. I w końcu płynność finansowa – to dzięki surowcom naturalnym i drogim kamieniom. Podsumowując: cieplarniane warunki dla branży.

– Chciałbym zakontraktować ochronę dla kompleksu budynków w Burkina Faso – oświadczam poważnym głosem. – To dlaczego dzwoni pan z Polski? Z mediów? Nie jest pan w tym tygodniu pierwszy – odpowiada głos w słuchawce. – Nie chcemy, aby nazwa naszej firmy pojawiała się w kontekście ostatnich wydarzeń w Libii – mówi mi pracownik jednej z południowoafrykańskich korporacji najemników. – Zgodnie z prawem działamy tylko na terenie RPA. My nie zabijamy, tylko chronimy ludzi.

To właśnie w RPA w latach 90. nastąpił prawdziwy rozkwit tego biznesu. Wtedy na rynku pojawiło się około trzech tysięcy doświadczonych ekspertów wyrzuconych z tamtejszej armii po upadku apartheidu. Wkrótce można ich było znaleźć wszędzie – od Angoli po Liberię. Tam na przykład przez sześć lat utrzymywali reżim Charlesa Taylora, który jest obecnie oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości.

To obywatele RPA założyli w 1989 roku firmę Executive Outcomes, pierwowzór wszystkich współczesnych korporacji najemników, takich jak Blackwater (dziś Xe) czy Sandline International. W 1994 roku szefostwo Executive Outcomes złożyło administracji Billa Clintona ofertę powstrzymania chaosu w Rwandzie. Za jedyne 150 milionów dolarów. Amerykanie ją odrzucili, ONZ nakazała wycofanie sił pokojowych i w ciągu kilku miesięcy w tym kraju zginęło 800 tysięcy osób.

## Libijski pionier

Największą wpadkę eksperci z RPA zaliczyli w 2004 roku. Kiludziesięcioosobowa grupa zakontraktowana przez Simona Manna, słynnego brytyjskiego najemnika, miała obalić reżim prezydenta Theodora Obianga w Gwinei Równikowej, gdzie właśnie odkryto pokładne złoża ropy naftowej. Ktoś jednak powiadomił władze w Zimbabwie, że to właśnie w tym kraju w trakcie międzylądowania wybiegł do Gwinei zaopatrzyć się w broń. Samolot został zatrzymany, a Mannowi urządzono w Gwinei proces pokazowy i skazano go na 34 lata więzienia.

Prawdziwym afrykańskim pionierem w tej branży był jednak Kaddafi. Wzorując się na francuskiej Legii Cudzoziemskiej, w 1972 roku założył Legion Islamski złożony wyłącznie z czarnoskórych. Trafiali do niego przypadkowo, skuszeni ofertą tajemniczej, ale dobrze płatnej pracy w Libii. Przez 15 lat działania legionieści byli zbrojnym ramieniem libijskiej polityki zagranicznej, gdy Kaddafi oddawał się jeszcze idei szerzenia islamu wśród czarnych, przeważnie chrześcijańskich plemion Sahelu, szerokiego na kilkaset kilometrów pasa od Etiopii aż do Atlantyku.

Legion Islamski walczył między innymi w Czadzie, sudańskim Darfurze, a nawet w Libanie. Muammar Kaddafi formalnie rozwiązał go w 1987 roku, ale jego weterani – „dzieci Kaddafiego” – stanowią dziś elitę oddziałów dżandżawidów w Darfurze. Dowodzą również partyzantką w Mali, Czadzie i Nigrze. Stawili się natychmiast, gdy ich „afrykański król”, jak mówią o libijskim dyktatorze, poprosił ich o pomoc. – To są w pewnym sensie jego wycho-

*Afrykańscy najemnicy w 1994 roku złożyli USA propozycję powstrzymania chaosu w Rwandzie. Za jedyne 150 mln dolarów. Amerykanie ją odrzucili*

wankowie. Bękart z dawnych związków Kaddafiego z tym regionem – przekonuje Thierry Vircoulon, szef oddziału International Crisis Group w Nairobi. Strzelający dziś do libijskich rebeliantów najemnicy według dokumentów znalezionych przy tych schwytanych pochodzą niemal wyłącznie z państw Sahelu.

Kaddafi przez 40 lat stworzył po drugiej stronie Sahary sieć sponsorowanych przez siebie bojówek, ruchów wyzwolenicznych i armii rebelianckich. Ci z jego podopiecznych, którym się poszczęściło, byli lub są obecnie prezydentami – Foday Sankoh w Sierra Leone, Blaise Compaoré w Burkina Faso, Laurent Gbagbo w Wybrzeżu Kości Słoniowej. Wszyscy oni brali lub wciąż biorą pieniądze od Kaddafiego.

Królowi się nie odmawia. Kaddafi został nim na specjalnym szczycie przywódców plemiennych, który Libijczycy zorganizowali w Trypolisie w 2008 roku. – To był szczyt jego potęgi – mówi Greg Mills z Południowoafrykańskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – Gdy reszta świata odwróciła się od Afryki,

Kaddafi rzeczywiście stał się królem dla wielu tamtejszych królów i prezydentów. Od kiedy w latach 60. państwa subsaharyjskiej Afryki uzyskały niepodległość, na Czarnym Lądzie nie było nikogo o większych wpływach.

## Z Afryką w klapie

– Na pomysł uczynienia z Libii lidera Czarnej Afryki Kaddafi wpadł na przełomie lat 80. i 90. – tłumaczy Mills. – Wcześniej, mimo jego usilnych starań, Trypolis okazał się zbyt mały i peryferyjny, aby zaspokoić rozbuchane ego dyktatora w świecie arabskim. Nad swoimi sąsiadami z drugiej strony Sahary Libijczycy dominowali militarnie, organizacyjnie, a przede wszystkim finansowo.

Kaddafi uzależnił od swoich petrodolarów sąsiednie Czad i Republikę Środkowoafrykańską. Budował drogi, tamy i elektrownie w Liberii, Mali i Nigrze. Wypłacał nawet pensje urzędnikom w Burkina Faso i Sierra Leone. Wciąż formalnie zapewnia finansowanie misji pokojowych Unii Afrykańskiej w Darfurze (20 tysięcy żołnierzy) i Somalii (8 tysięcy).

Wszystko to miało przekonać Afrykanów do wielkiej wizji Kaddafiego – powstania Stanów Zjednoczonych Afryki bez granic, z jedną armią kontynentalną, takimi samymi paszportami i wspólną walutą – afro. To wtedy Kaddafi zaczął pokazywać się z Afryką przyszytą do kłapy. Dla siebie przewidział posadę pierwszego kontynentalnego prezydenta.

Z tej wizji nie pozostał dziś kamień na kamieniu. Tylko zobowiązania. Państwa subsaharyjskiej Afryki są zadłużone u Kaddafiego na łączną sumę dwóch miliardów dolarów. Kilka tych najbiedniejszych nie domyka budżetu bez libijskich pieniędzy. – Niektóre reżimy z Sahelu są tak uzależnione od Kaddafiego, że jego upadek z pewnością będzie też ich końcem – mówi Vircoulon. – Dlatego to, co się dzieje dziś w Libii, nie jest wcale kolejną arabską rewolucją, tylko pierwszą afrykańską, która może dopiero rozpocząć rewolucyjne domino na Czarnym Kontynencie.

Jeśli Kaddafi upadnie, osieroci też swoje „dzieci” – tysiące wyszkolonych, doświadczonych i zdemoralizowanych najemników, którzy teraz w Libii walczą za swojego króla. Nie pozostanie im nic innego jak tylko bez pieniędzy w kieszeni, ale za to z bronią w ręku wrócić do swoich afrykańskich ojczyzn i robić rewolucje. Tak jak nauczył ich ojciec.

**O przepychu, w jakim żyją lub żyli dyktatorzy, czytaj w kwietniowym numerze miesięcznika „Sukces”.**



# Wyspiarze

Z jednej wsi zrobiły się trzy wyspy, przy czym jedna jest już bezludna. Z tej ostatniej ciało pani Czesławy żołnierze zabrali amfibią. Stało się tak, jak wszyscy mówili: nawet Czesia, póki żyje, nie da się ewakuować

MAŁGORZATA ŚWIECHOWICZ

**K**uzyn sołtysa Romana Ziemkiewicza w Dzień Kobiet przepłynął się do pani Czesławy, żeby sprawdzić, czy czegoś (a szczególnie opału) jej nie brakuje. Przepłynął się, bo Ostrówek, wieś niedaleko Kruszwicy (kujawsko-pomorskie), od stycznia zalany jest wodami jeziora Gopło. To archipelag wysp: na jednej utknęło 108 osób, na drugiej - pani Czesława z kotem, trzema psami i 18 kurkami, na trzeciej - jej siostrzeniec Jan Lewandowski i siedem kotów.

Największa wyspa ma się w miarę dobrze. Drogi co prawda pozalawane, więc stałym łądem do cywilizacji nie można się dostać, ale z żołnierzami łodzią się do niej przepłynię. Gorzej z Lewandowskim: 62 lata, samiuteńki, otoczony wodą, a do niedawna krą. Gmina dała mu ponton i wodery, czyli gumowe buty sięgające bioder. Kiedy Lewandowski musi dostać się na sąsiednią wyspę, przeprowia się cztery godziny. Najgorzej było z panią Czesławą, lat 93. Proponowali jej ewakuację, ale nie chciała, bo co z pieskami, co z kurkami? Aby sobie humoru nie psuć, w połowie stycznia przestała oglądać telewizję, w której maglowano temat wylewającego Gopła.

- Gdy 8 marca kuzyn do niej dobrnął, docho- dziła 13 - opowiada sołtys. - Ona w łóżku. Nie żyła. A niedawno żartowała, że kiedy tylko trochę się ociepli, to na rybki sobie pójdzie. Czesia łowić sobie będzie już na innym świecie.

## Dni sklepowe i nie tylko

Żeby dotrzeć do Ostrówka, trzeba z Kruszwicy jechać na Piotrków Kujawski i pilnować drogi na Witowice, stamtąd na Złotowo i stop. Dalej łódką. Chyba że to dzień „sklepowy” - wtedy wojsko z II Inowrocławskiego Pułku Komunikacyjnego uruchamia pływający transporter samobieżny. We wtorki, w czwartki i soboty ludzie z torbami zbierają

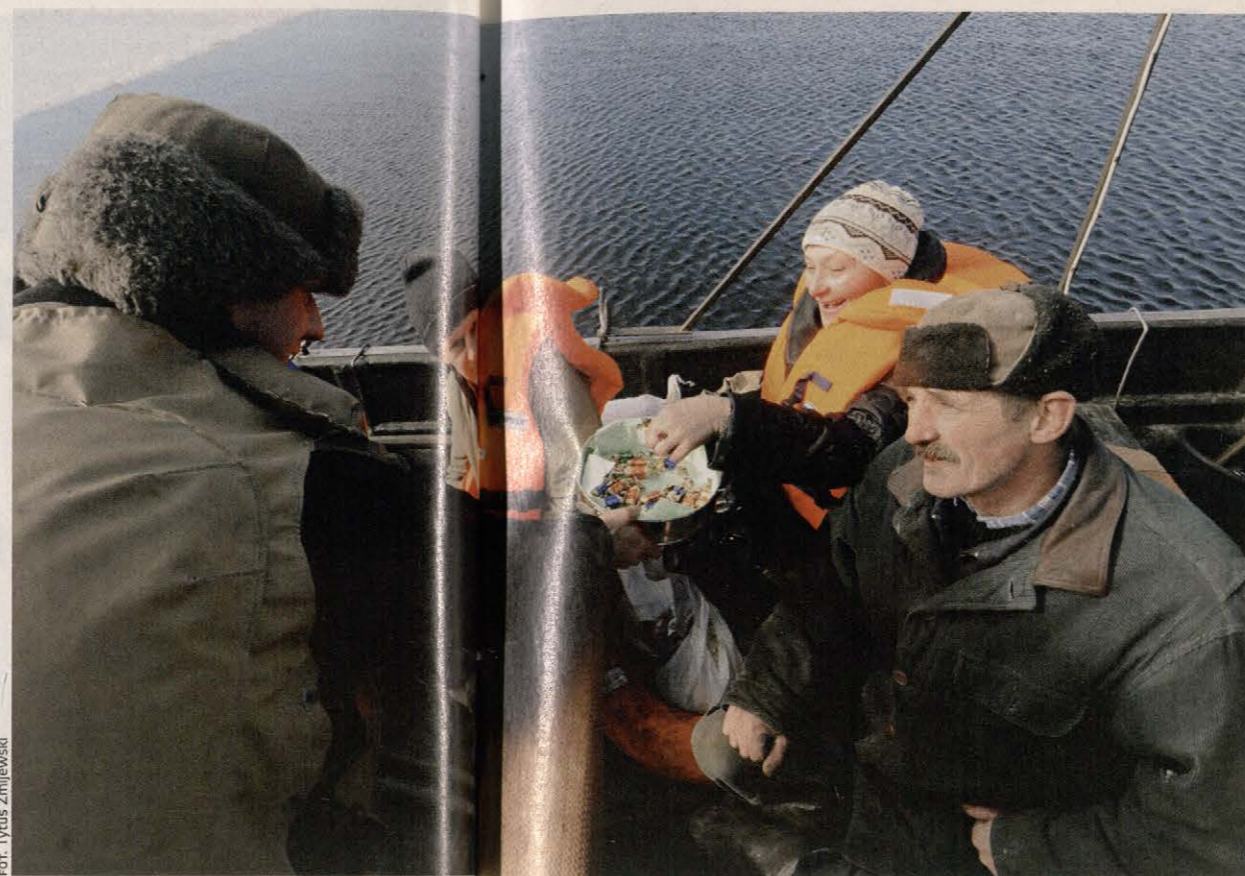
się na brzegu, transporterem przeprowiają się przez Gopło na drugą stronę, gdzie dojeżdża sklep obwoźny.

W dni niesklepowe wojsko zapewnia kursy łodzią. - Zaczęła już przeciekać - uprzedza żołnierz, pomagając mi usadzić się na pokładzie i założyć kapok. Codziennie trzeba zrobić od 40 do 60 kursów. Jeśli łódź tyle razy przecięła jezioro między wielkimi taflami lodu, nic dziwnego, że nie wytrzymuje. Taflę kry uderzają o burzę, mróz szczybie w nos. Temperatura jeszcze niedawno spadała tu do 20 stopni poniżej zera, a raz nawet uchwycili rekord - minus 24 stopnie.

Kursy z brzegu na brzeg zaczynają się między 5 a 6 rano, bo ludzie chcą zdążyć do pracy. Później dzieci do szkoły. Środek dnia to pływanie z balotami słomy, z bydłem do skupu. A raz trzeba było pilnie przetransportować świnię, żeby na lądzie pokrył je knur.

Kiedy ktoś musi nagle opuścić wyspę, wychodzi na brzeg i macha. Jeśli żołnierze na drugim brzegu nie widzą, to uderza się w lemiesz, który sołtys zawiesił na drzewie. Lemiesz usłyszą.

- Gospodarstw? 33. Tuczniaków ponad sto, bydła 66 sztuk - sołtys Ziemkiewicz wlicza wszystko, co zostało odcięte od łądu (nie uwzględniając psów, kotów i kur). Tuż po tym jak zimą Gopło zaczęło podchodzić pod domy, różne warianty były rozpatrywane, łącznie z ewakuacją. We wsi dyskutowano: zabierać stąd wszystkich i wszystko czy tylko co cenniejsze rzeczy? Ostatecznie wywieźli samochody, a zwieźli gruz i piasek, który sypali w worki. Z worków układało się wały, które teraz w większości i tak są pod wodą. Podchodziła tu we wsi niezbyt gwałtownie, ale uparcie: pięć-sześć centymetrów na dobę. W pierwszych dniach stycznia zajęła drogę powiatową i jedyne połączenie z łądem,



Słońce wyszło, lód zszedł, a ludzie płyną - tak wygląda codzienna przeprawa z Ostrówka na łąd. Akurat 8 marca był o tyle niecodzienny, że żołnierze każdą panią na łodzi częstowali cukierkiem

które im wtedy zostało, to przeprawa promowa do Złotowa. Jednak od 17 stycznia także i promu nie mają - zrobiło się zbyt niebezpiecznie i zawieszono kursy.

## Modlitwy w remizie

- No szkoda, ale przecież każdy kiedyś musi umrzeć - mówi Jan Lewandowski. Jest siostrzeńcem zmarłej Czesławy Jóźwiak. Dochodziła północ 8 marca, zanim udało się wszystkim domknąć: lekarz, potwierdzenie zgonu, trumna. Zabrali ciocię przez rozlane Gopło, tak jak zwykle zabiera się tu ludzi na zakupy - pływającym transporterem samobieżnym.

Do miejsca, z którego wojsko przeprowia ludzi na łąd, Lewandowski ze swojej samotnej wysepki ma pięć kilometrów. Jeszcze niedawno, gdy mrozy dobrze trzymały, była to pięciokilometrowa ślizgawka. Teraz, gdy lód puszcza, człowiek się zastanawia: iść, nie iść? W końcu musi. Trzeba sobie dostarczyć wodę („Tej ze studni, przepraszam bardzo, ale pić się nie da, pozalawane wszystko, więc w tej zalewie mogą być i myszki, i szczury”). No i trzeba sobie donieść chleb. Zwykle kupuje 12 bochenków za jednym zamachem. Woda, dzięki Bogu, opadła już ze 40 centymetrów, ale i tak jest jeszcze miejscami o metr za wysoko, więc

teraz Jan Lewandowski brodzi po pas w nurcie, nad którym wiszą taflę lodu.

- Ostatnia tak groźna powódź była u nas 30 lat temu - tłumaczy sołtys. Ale zaraz zastrzega, że wtedy było jednak lepiej, bo Gopło wylało latem. Nie ma więc co przykładać potopu w upał do potopu w mróz.

Jak żyje, to drugiej tak strasznej zimy tu nie było - potwierdza Stanisław Kowalski. A żyje 76 lat. Codziennie wychodzi z domu popatrzeć, czy krajobraz się zmienia. Na razie widok jest wciąż ten sam - drzewa smutno wystające z zamrożonej wody. Chodzi między nimi, stuka laską, lód miejscami jeszcze mocno trzyma, ale gdzieś tam już pęka.

Za to ludzie nie pękają. Przysłano tu kiedyś do nich nawet psychologa, żeby się nie załamali. A teraz co tydzień odwiedza ich ksiądz, który odprawia msze w remizie. Ołtarz zrobili sołtys z panią świetliczanką, duchowny musiał dostarczyć jedynie krzyż i Matkę Boską. Modlitwy w remizie - jak wszyscy zauważają - są teraz nawet gorliwsze niż w kościele.

## Wypadki szczególne

Dwa razy trzeba było przetransportować Ostrówka ambulans - niewydolność krążeniowa. No i raz była niewydolność nerek.

Wówczas jednak pomoc, żeby było szybciej, przyleciała helikopterem.

A i sołtys miał straszny wypadek, mało nogi nie stracił. Akurat drzewo piłował i sam nie wie, jak to się stało, chwila minęła, a piłę miał już w nodze: poszła po kości, krew buchnęła, ale - o dziwo - zaraz po wydostaniu się z nogi jakby zamarzała (fakt, na wyspie wtedy mrozy były niemożliwe). Żona sołtysa nie zadzwoniła po pogotowie, bo ileż by trwała przeprawa? Sąsiad pomógł dostać się na brzeg, a tam już wojsko, łódź, szpital, założyli 12 szwów.

Z Mirosławą Sobczak jest inna sprawa. Chora jest tak, że nie usadowisz jej w zwykłej łodzi. Cierpi przeokropne bóle. W ubiegłym roku jechała z synem na skuterze i zde-rzyli się czołowo z wozem terenowym. Syn wiele dni był nieprzytomny, ale po urazie głowy i po tym, jak mu podrutowali ręce, zdążył się już pozbierać. Matce jednak po otwarciu złamaniu nogi wciąż wszystko makabrycznie się paprze. Regularnie musi jeździć na wizyty do lekarza. Odkąd są na wyspie, taki wyjazd to cała strażacko-wojskowa akcja: z samego rana pod dom podjeżdża wóz bojowo-gaśniczy, żołnierze wynoszą kobietę na krzeselku i dopiero z tym krzeselkiem oraz wozem Mirosława dostaje się na amfibię.

Gopło to polodowcowe jezioro przepływowe. Normalnie, gdy nie wylewa, ma 25 kilometrów długości i od 200 metrów do 2 kilometrów szerokości. W najgłębszym miejscu jest ponad 16 metrów do dna.

Pola i lasy dookoła jeziora tworzą Nadgoplański Park Tysiąclecia, a w parku jest co najmniej 770 gatunków roślin. Płazów występuje aż 11 gatunków. Z ssaków między innymi borsuki, gronostaje oraz łasice. A ptaków lata tu zwykle 179 gatunków, w tym świergotki, czajki, cyranki. Bywają i potrzaszce, i bataliony. Na razie z batalionów widać jednak tylko II Inowrocławski Batalion Komunikacyjny. - A kiedy woda opadnie i lód całkiem puści, to będziemy mieć głównie szczury - przewiduje Ryszard Puchalski.

Dziw, że nikomu nerwy nie puszcza. Każdy, kto na chwilę opuści wyspę, wraca do siebie, gdzie piwnica zalana, szambo wybijające, bo od stycznia nie było wozu asenizacyjnego. I coraz trudniej składować odpadki: śmieciarka się nie dostanie, więc trzeci miesiąc żyją oszczędnie - jak najmniej wyrzucać, jak najmniej zużywać wody.

- Gdyby tak miastowego, delikatnego człowieka na tydzień tu przeprowić, ale by było - śmieje się Leszek Derenda, który ma 45 hektarów pod wodą i stara się nie rozpaczać. Już by trzeba było nawozić, ale dopóki pole zajęte przez Gopło, to co zrobi? - Rolnik nie jest wolny, nie zależy od siebie, lecz od natury - zauważa Derenda.

## Natura wie, co robi

- Wierzę w naturę, głupia nie jest - przekonuje Andrzej Sieradzki, dyrektor Nadgoplańskiego Parku Tysiąclecia. Chce wierzyć, że z tą niezwykłą sytuacją przyroda sobie poradzi - woda kiedyś opadnie, rośliny odbiją, ptaki wylęgają się jak zawsze. Dyrektor martwi się jednak o gęsi. Gęgawa bowiem daje tylko jeden leg rocznie. I musi być złożony na czas. Teraz więc zacznie się uwijanie gniazd, ale gdy woda opadnie, gniazda znajdą się jakieś 70 centymetrów wyżej, niż się gęsiom wydawało. - Jaja wypadną - przejmuje się dyrektor. - Mogą być łatwym łupem dla drapieżników.

- Zakładam, że natura wiedziała, co robi - mówi Jan Lewandowski. Chciałby na pogrzeb cioci się ze swojej wyspy wydostać. - Może lód puści na tyle, że w ponton wsiądę i przeprowię się elegancko?

- Jeszcze dwa, może trzy tygodnie i powinno się prom uruchomić - planuje sołtys. O drodze trudno mu cokolwiek powiedzieć. Dopiero gdy zejdzie woda, zobaczy się, czy droga we wsi w ogóle jeszcze jest.



# Bestia z gołębiim sercem

44-letni **MIKE TYSON**, bokser zwany Bestią, gangster i gwałcieciel, szuka odkupienia. W gołębnikach

MACIEJ JARKOWIEC

Gołębie były pierwszą miłością mojego życia” – mówi w sześcioczęściowym serialu „Taking on Tyson”, który na początku marca miał premierę w USA. Zaczął je hodować jako młody chłopak na Brooklynie. Na ptaki wydawał większość pieniędzy zarobionych na pierwszych gangsterskich fuchach – rabunkach, rozbojach, dilerce. Gołębiom pozostał wierny przez całą bokserską karierę, szukał w nich pocieszenia na życiowych zakrętach. Dziś ma trzy tysiące ptaków. Dokument wyprodukowany przez Animal Planet opowiada o przygotowaniach do jego pierwszych w życiu zawodów w wyścigach gołębi pocztowych. Tyson kompletuje drużynę starych nowojorskich hodowców. Spędzają czas na brooklyńskich dachach, łączą do gołębników. Opowieści o gołębiej pasji towarzyszy spowiedź boksera. Mike Tyson godzi się ze światem.

## Bałem się, bałem się

Był małym grubaskiem w okularach, seplenił. Ciągłe dostawał lanie, ale nie od ojca: „Ten koleś, który podobno był moim ojcem, odszedł, gdy miałem dwa lata”. Od matki też nie: „Była zajęta puszczaniem się”. Bili go rówieśnicy z blokowiska – 10-latkowie i ci trochę starsi, często uzbrojeni, bezwzględni. Oskubywali go z ostatnich centów, tłukli okulary. „Bałem się, bałem się, bałem się” – wspomina dzieciństwo. Brownsville na Brooklynie była i jest najgorszą dzielnicą nowojorskiej metropolii. Tu wychował się Al Capone. Do dziś codziennie słyhać tu strzały, żółte taśmy policyjne wokół trupów w czarnych workach grodzą skrzyżowania co kilka dni. Dla policji Brownsville to „strefa uderzenia”, co znaczy, że aby zupełnie nie oddać władzy gangom, konieczne jest permanentne inwigilowanie obywateli – zatrzymania, naloty, przeszukiwanie. Średnia zatrzymań dla całego miasta



W Polsce Tyson będzie opowiadał o swoich gołębiach już latem. Serial pokaże Discovery Channel

to 7 rocznie na 100 obywateli, w Brownsville – 93 na 100.

W takim krajobrazie kiełkowała furia Bestii. Ekspłodowała przez gołębie. „Dowiedzieli się, na którym dachu trzymam ptaki, i przyszli. Jeden władował gołębia pod koszulę. »Oddaj« – powiedziałem. Wyjął go i ukreślił mu łepkę. Krew bryzgnęła mi w twarz. »Masz«. Wtedy zacząłem walczyć. Byłem mniejszy i nie wiedziałem, co robię. Machałem po prostu rękami. I pobiłem go. Zyskałem szacunek. Zrozumiałem, o co chodzi. Zabij, zanim zabiją ciebie”.

Furię okiełznał Cus D'Amato – legendarny trener, który w latach 60. doprowadził do mistrzowskich pasów Floyda Pattersona i José Torresa. W 1979 roku wziął pod opiekę 13-latkę, który miał na koncie 38 pobytów w areszcie i odsiadywał entą karę w poprawczaku, tym razem w Johnstown w stanie Nowy Jork. Tamtejszy opiekun Bobby Stewart przywiózł Tysona do prowadzonej przez dawno zapomnianego D'Amata szkółki bokserskiej w oddalonym o sto kilometrów Catskill. Po kilku tygodniach treningów D'Amato

oznajmił podopiecznemu: „Możesz zdewastować świat”. Tyson uwierzył. „Poczułem, że mogę mu zaufać, że może dzięki temu pieprzonemu boksowi wyjść na ludzi. Robiłem wszystko, co mi kazał. Byłem jak pies. Zdekonstruował mnie i zbudował na nowo”. Trener dał mu dom i rodzinę. Gdy trzy lata później umarła matka Tysona, formalnie go zaadoptował. Odszedł w listopadzie 1985 roku. 19-letni Mike Tyson był jednym z mężczyzn niosących trumnę. Rok później stanął do pierwszej w życiu walki o mistrzostwo świata.

Cus D'Amato dał też Tysonowi fach. Klasyfikację w boksie pozycję: z lewą stopą wysuniętą, prawą, silniejszą stroną ciała cofniętą, gotową do natarcia. Firmową zabójczą kombinację: prawy sierpowy, prawy podbródkowy. I pewność siebie. Młody Mike Tyson wygrał wzrokiem.

## Złamałem go

27 czerwca 1988 roku. Tyson dzierży pas mistrzowski, ale bokserski świat – z wyrocznią, magazynem „Ring” na czele – za nieformalne-

go mistrza uważa niepokonanego Michaela Spinksa. Ich walka jest najlepiej opłacaną w historii. Pięściarze spotykają się na środku ringu. Sędzia liniowy daje im ostatnie instrukcje. Telewizje całego świata pokazują zbliżenia oczu bokserów. Ich pojedynek na spojrzenia trwa kilkanaście sekund. Potem Spinks opuszcza głowę. „To koniec. Złamałem go. Zgasilem jego ducha”. Walka kończy się w 91. sekundzie. Powalony Spinks prawie wypada z ringu.

Mike Tyson był już wtedy najmłodszym w historii zawodowym mistrzem wagi ciężkiej. Pierwszych 19 walk w zawodowym ringu wygrał przed czasem, 12 z nich w pierwszej rundzie. Był największym objawieniem od czasów Muhammada Alego. Miał rządzić co najmniej przez dekadę. Pierwszy raz przegrał jednak już w 1990 roku, krótko po pierwszym rozwodzie. Choć w 1996 roku po trzyletniej odsiadce za gwałt na chwilę odzyskał tytuł, nigdy nie wrócił do czasów świetności.

Ostatnią wielką szansę dostał w 2002 roku w pojedynku z dominującym wtedy Brytyjczykiem Lennoksem Lewisem. Przed walką krzyczał do kamery: „Lewis, idę po ciebie! Wyrwę ci serce! Zjem twoje dzieci”. Poległ

w ósmej rundzie, po czym w szatni, trzymając na kolanach kilkumiesięczną córeczkę, uśmiechał się do kamery: „Lennox jest moim przyjacielem. Jesteśmy jak gołębie, które latają razem przez 15 lat, ale gdy rzucić ziarno, zażdziobią się o nie na śmierć”.

„Pierwsze pytanie: Kim jestem?”. Tymi słowami deklamowanymi przez głównego bohatera spoza kadru zaczyna się film dokumentalny „Tyson” Jamesa Tobacka z 2008 roku.

W trwającej od ćwierćwiecza grze, którą Bestia prowadzi z mediami, odpowiadał na nie wielokrotnie.

„Jestem czarnuchem z samego dna nierówności. Wiem, że mną gardzicie, ale wasze wnuki będą mnie podziwiać. Wow!, powiedzą, koleś miał ciekawą osobowość”.

„Jestem sługą Allaha [w więzieniu przeszedł na islam – przyp. red.]. Dla niego stanę do walki z każdym człowiekiem, z każdym zwierzęciem. Jeśli trzeba, stanę do walki z Jezusem”.

„Nie jestem Matką Teresą. Charlesem Mansonem też nie”.

„Te białe gwiazdeczki nie mają serca, jakie mam ja. Nie umiałyby się wypróżnić w miejscach, w których ja musiałem żyć”.

„Jestem gwałcieciem, kochającym ojcem, średnio dobrym mężem”.

Pod koniec dokumentu Tobacka mówi: „Za wcześnie się zestarzałem. Za późno zmądrzałem”.

## Straciłem serce

Ostatnią walkę stoczył w 2005 roku z bokserem trzeciego sortu Kevinem McBride'em. Po szóstej rundzie nie wrócił na ring. „Straciłem serce. Nie jestem już bestią”.

Odszedł. Hodował gołębie w swym domu w Phoenix. Próbował ułożyć sobie życie z trzecią żoną i wyjść z długów. Brał kokainę i pił. 25 maja 2009 roku jego czteroletnia córeczka zaplątała się w kabel podczas zabawy na ruchomej bieżni. Dzień później zmarła w szpitalu. Od tamtego dnia Tyson jest trzeźwy. Został weganinem. Zakończył grę z mediami. W zeszłym roku odbył pielgrzymkę do Mekki. Chodzi po dachach, do gołębników. Ma stamtąd widok na całe miasto. „Tu jest moje biuro. Tu umrę. Wśród ptaków”.

Wypowiedzi Mike'a Tysona pochodzą z jego wystąpień telewizyjnych z lat 1986–2011 oraz z filmu „Tyson”

REKLAMA

najlepiej chronione telefony w Polsce  
6 miesięcy darmowego ubezpieczenia telefonu w Orange



Samsung  
Wave 723

od 1 zł



Samsung  
Ch@t 335

od 1 zł



Samsung  
GALAXY Ace


od 1 zł

W Orange wiemy, że Twój telefon ma wielu naturalnych wrogów. Dlatego dajemy Ci darmowe ubezpieczenie telefonu od uszkodzenia, dewastacji i rabunku. Wybierz jeden z telefonów Samsung i nie martw się o niego ani chwili.

Aby skorzystać z ubezpieczenia, wystarczy że podpiszesz lub przedłużysz swoją umowę w ofercie na abonament lub mix w Orange z nowym telefonem. Po okresie promocyjnym miesięczny koszt ubezpieczenia telefonu wynosi 7,99 zł.

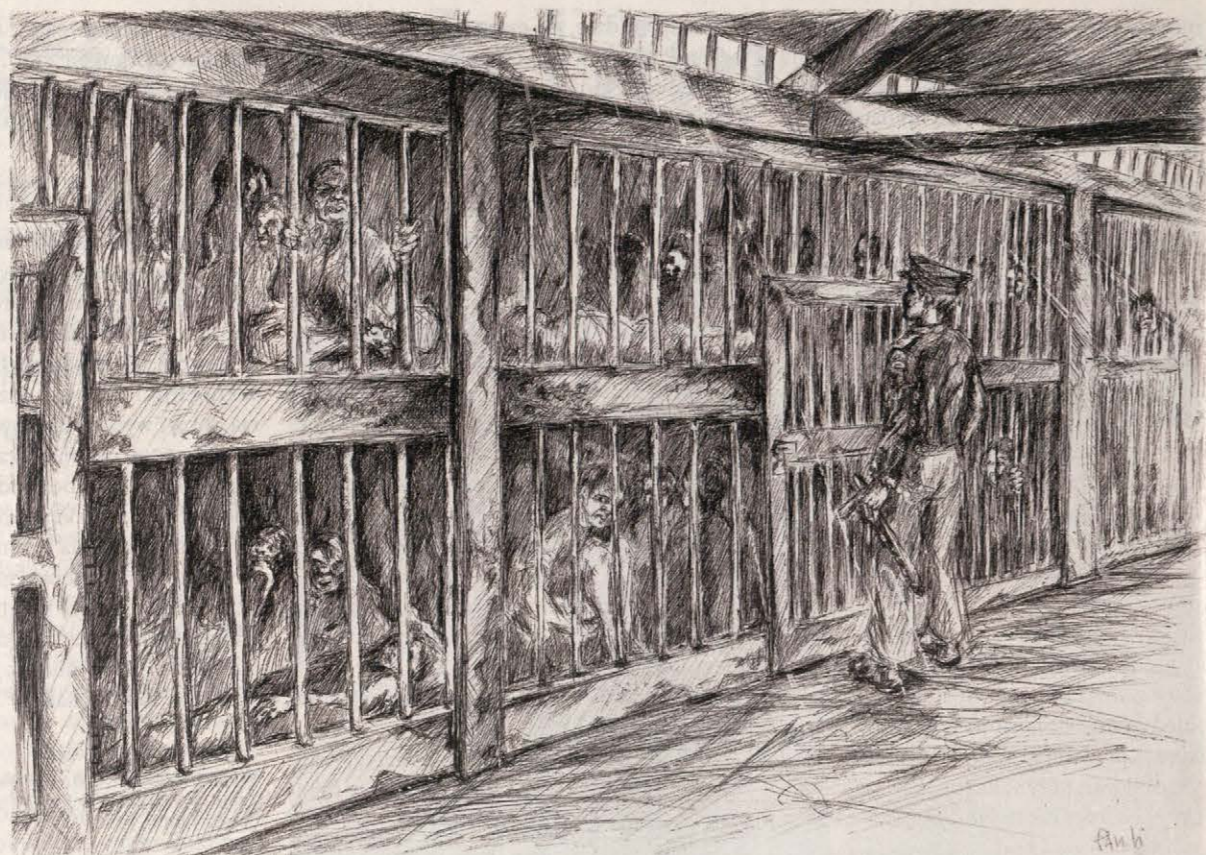
Szczegóły na [www.orange.pl](http://www.orange.pl)



dziś zmienia się z 



Rysowanie było zakazane. Pauli robił to po kryjomu, długopisem na tekturze. Potem szmuglował rysunki na zewnątrz. Po prawej: typowe cele w tajskim więzieniu. Więcej rysunków na stronie [www.michalpauli.pl](http://www.michalpauli.pl)



# 12 wyroków śmierci

W Tajlandii nie wolno wpaść na przemyśle narkotyków. Kto wpadnie, szybko doświadczy dwóch rzeczy: surowości tamtejszych sądów i okrucieństwa tamtejszych więzień. **MICHAŁ PAULI**, artysta z Kielc, wpadł i doświadczył

TEKST RAFAŁ KOSTRZYŃSKI ILUSTRACJE MICHAŁ PAULI

## PROLOG: Żaby i prochy

Jeszcze na początku tego wieku trudnił się ceramiką artystyczną, ale to nie jest zajęcie, które daje utrzymanie. Jego pracownia padła, więc trzeba było wypełnić czymś tę próżnię. Inspiracją przyszła z Tajlandii; Michał sądził, że importowane stamtąd rękodzieła znajdzie w Polsce rzeszę nabywców. Niestety, liczba Polaków marzących o żabach z teowego drewna okazała się za mała, by dało się związać koniec z koń-

cem. Z pomocą przyszła Pim, znajoma Tajlandka, u której Michał pomieszkował, ilekroć bawił w Bangkoku. Pim zaproponowała mu przebranzowienie – prawdziwe prochy zamiast drewnianych figurek. Chodziło o ecstasy. W Tajlandii kosztowało fortunę, w Polsce było tanie i stosunkowo łatwo dostępne. W pudełku z płytą kompaktową można było upchnąć 16 tabletek. Tak upchnąć, że skanery ich nie wykrywały. A nawet gdyby wykry-

ły, to i tak po fikcyjnym adresie nie udałoby się ustalić nadawcy. Ryzyko więc praktycznie zerowe, a zysk? 75 złotych na tabletkę, 1,2 tysiąca na przesyłce. Kwota może nie oszałamia, ale rachunek jest prosty: lepiej wysłać do Azji ecstasy, niż ściągać stamtąd tekowe płyty.

Michał wchodzi w układ i wraca do kraju. W ciągu kolejnych miesięcy Pim otrzyma od niego w sumie 12 płytek z prochami. Pod koniec stycznia 2004 roku

Michał przyjeżdża do Tajlandii zainkasować należność od współniczek, a ta podsuwa mu nowych kontrahentów. Wygląda na to, że biznes zaczyna się rozkręcać.

## CZĘŚĆ I: Siedlisko sukynsynów

W jego pokoju panuje półmrok. Niski stół, lampa, parawan – wszystko w azjatyckim klimacie. Michał rozpoczyna swoją opowieść powoli i spokojnie. Prawie nie używa przymiotników, jakby relacjonował banalną hi-

storię. Ale jego twarz i oczy zdradzają, że nie będzie w niej niczego banalnego.

– Okazało się, że Pim współpracuje z policją, pewnie nawet z DEA – mówi.

DEA to amerykańska agencja do zwalczania handlu narkotykami. Amerykańska, ale w Tajlandii aż roi się od jej pracowników. To właśnie im udało się aresztować Wiktora Buta, słynnego rosyjskiego „handlarza śmiercią”, który teraz czeka w USA na proces za przemyt broni.

– Pim skontaktowała mnie z pewnym Australijczykiem, który był właścicielem klubu w Bangkoku – wspomina Michał. – Jeff, tak się nazywał, zaproponował mi kolejny interes z ecstasy. Zgodziłem się. Potem na kilka tygodni wyjechałem z Bangkoku, żeby odpocząć od zgiełku miasta. Gdy wróciłem, odebrałem umówioną paczkę z ecstasy, którą następnie miałem przekazać Pim. Przekazałem, zainkasowałem

w zamian pieniądze i rozstaliśmy się. Chwilę później, 8 marca 2004 roku, wpadłem w ręce policji.

Tajlandzkie władze stosują drakońskie metody zwalczania narkotyków. Tępią każdego bez względu na to, po której stronie biznesu się znajduje. Ćpun, diler czy przemytnik, miejscowy czy obcokrajowiec – nikt nie może liczyć na pobłażliwość. Michał nie jest wyjątkiem. Otoczony przez kilku agentów w cywilu najpierw łąduje na chodniku, a potem w areszcie. Zostaje przesłuchany i obfotografowany, dowiaduje się, że to robota DEA, i podpisuje zeznanie, z którego nie rozumie ani słowa, bo zostało sporządzone w języku tajskim.

W Tajlandii jest około 150 więzień i 200 tysięcy osadzonych, z czego ponad połowa wpadła z powodu narkotyków. Odbywają karę w warunkach, które obrońcy praw człowieka zgodnie określają jako nieludzkie. Bambat, Klong

Prem czy Bang Kwang to miejsca, które przodują na listach najgorszych więzień na świecie. Michał zaliczył wszystkie trzy. Najpierw Bambat, o którym jeden z więźniów napisał w swoim blogu tak: „Nie mam pojęcia, co oznacza to słowo, ale gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym: »siedlisko sukynsynów«”.

– Bambat znaczy mniej więcej tyle, co wykołajeniec – wyjaśnia Michał. – To swoisty areszt śledczy: siedzą tam ludzie, którzy dopiero czekają na rozprawę.

Słowo „siedzą” bardzo precyzyjnie oddaje stan rzeczy. Cele są tak zatłoczone, że na jednego aresztanta przypada mniej niż metr kwadratowy powierzchni. – Trafiałem do klatki, w której słoczyło 60 osób – opowiada Michał. – Było tak ciasno, że nawet nie mogłem się położyć.

Wykupienie miejsca na betonowej podłodze kosztuje 10 paczek papierosów. Opłatę przyjmuje funkcyjny – człowiek, który wprawdzie jak cała reszta jest więźniem, ale wyłącza strażników w zaprowadzaniu porządku. O papierosy jednak wcale nie jest łatwo. Pieniądze mają tylko ci, którzy dostają je z zewnątrz. Nowi przeważnie są bez grosza.

Michał na pieniądze od rodziny czekał kilka tygodni. Dopiero po ich otrzymaniu mógł sobie pozwolić na niezbędny aresztanta: kawałek betonowej podłogi do leżenia, matę, łyżkę i miskę. Bo na dzień dobry w Bambat nowy dostaje jedynie kajdany na nogi – dwie stalowe obręcze połączone grubym na palec łańcuchem, zespane już bezpośrednio na więźniu.

Za toaletę w celi robi zwykła dziura, jednak na skorzystanie z niej potrzebna jest zgoda funkcyjnego. Jeśli poziom smrodu przekracza i tak do maksimum obniżone normy, zgody się nie udziela. Dlatego każdy dzień w Bambat zaczyna się od stania w kolejce do ogólnie dostępnego dla więźniów zespołu toalet przy placu spacerowym. Następnie

jest apel, podczas którego wszyscy śpiewają hymn Tajlandii i odmawiają obowiązkową modlitwę. Po niej na plac wjeżdża kocioł z breją, której podobno nawet więzienne koty do pyska nie wezmą, a potem jest czas wolny. Pora bójek i napadów.

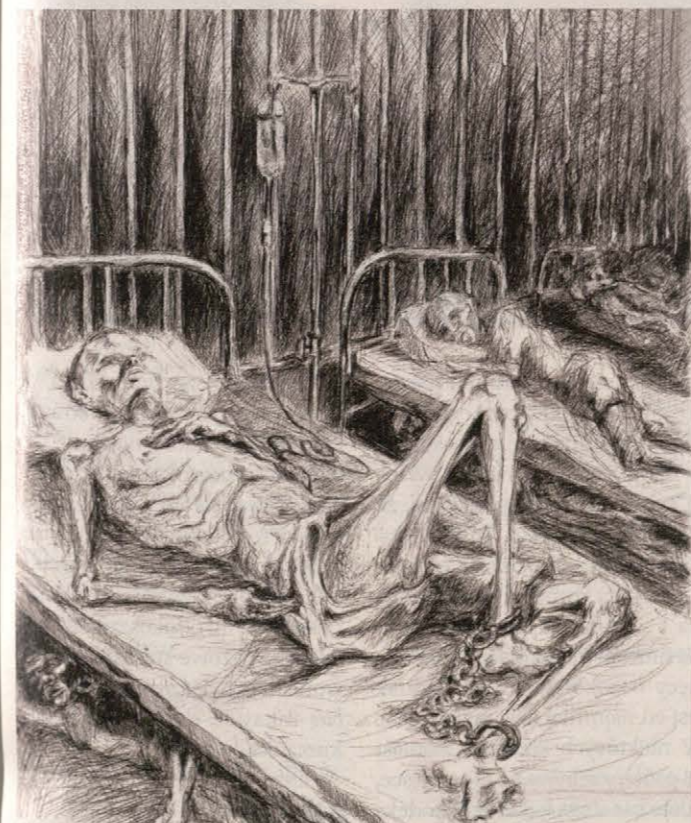
Michał: – Widziałem ich wiele, sam byłem kilka razy prowokowany, po jednej z nich trafiłem do karceru: ciemnej i zarobacznej celi, tak niskiej, że nie dało się w niej wyprostować, i tak nagrzonej, że trudno było oddychać.

Karcer nie był karą za bójkę, lecz za uszkodzenie glinianego posążka siedzącego Buddy. Zrobił to Michał. Popchnięty przez Holendra imieniem David zatoczył się i upadł na figurkę. Buddzie odpadła noga.

## CZĘŚĆ II: Sąd bardzo łaskawa

Oczekiwanie na proces w Bambat trwało ponad rok. Michał dostał adwokata z urzędu. Kiepsko trafił. Nie dość, że w Tajlandii adwokaci mają niewiele do powiedzenia, to jeszcze pan Sumsak nakłaniał swojego klienta, by nie przyznawał się do winy. – Chodziło mu wyłącznie o wyciągnięcie ode mnie kasy na kolejne rozprawy – skarży się Michał. – Doskonale wiedział, że nie wygram z sądem, bo w Tajlandii sąd ma zawsze rację. Gdybym się nie przyznał, dostałbym karę śmierci. Przyznanie się dawało nadzieję na łagodniejszy wyrok i możliwość ubiegania się o zwolnienie warunkowe. Koledzy z więzienia, radzili mi współpracować. I tak zrobiłem.

Wyrok zapadł 10 kwietnia 2005 roku. Rozprawa była kuriozalna. Michał nie zrozumiał z niej ani słowa, bo odbyła się w całości w języku tajskim. Nawet pan Sumsak się nie pofatygował, żeby go reprezentować. O tym, że zapadł jakiś wyrok, podsądny zorientował się dopiero wtedy, gdy sędzia opuścił salę. O tym, jaki był, dowiedział się dopiero po kilku minutach →



Blok szpitalny. Pauliemu udało się tam przetrwać, ale większość pacjentów umierała, głównie na gruźlicę lub z powodu AIDS. Również pod łóżkami



→ od mówiącego łamaną angielszczyzną Tajlandczyka.

- Jestem tłumaczem - przedstawił się. - Przeszedłem, by rozstrzygnąć twój wyrok. Ty wyrok masz śmierć.

- Słucham? - zapytał wtedy Michał z niedowierzaniem.

Tłumacz zaczął naradzać się z sekretarką, po czym uściślił: - Właściwie to masz śmierć 12 razy. Ty się nie przejmować. Nasza sąd bardzo łaskawa. Ty się przyznać, więc twoja śmierć zamieniona na dożywocie.

Tajlandzki kodeks karny przewiduje karę śmierci za 47 przestępstw. W tej grupie jest oczywiście przemyt narkotyków i są oczywiście morderstwa. Ale przed pluton egzekucyjny można trafić także za przepukstwo.

Pytam Michała, co czuł, gdy dowiedział się o wyroku. Po raz pierwszy w tej rozmowie zaczyna szukać słów. I jest bezradny. Nie potrafi przypomnieć sobie tamtych emocji, znów mówi, nie używając przymiotników. - Miałem nadzieję, że za przyznanie się dostanę niższy wyrok. Nawet 50 lat więzienia dawało mi szansę na warunkowe zwolnienie. Dożywocie przekreślało wszystko. Wróciłem do klatki, z której miałem widok na fragment ulicy. I wtedy, gdy zobaczyłem ten kawałek wolnego świata, dotarło do mnie, co tak naprawdę się stało. Że już nigdy nie odzyskam wolności.

- Dlaczego akurat 12 kar śmierci? - pytam. - Dlaczego nie 1 lub 150?

- Bo tyle było przesyłek - odpowiada Michał i dodaje: - W akcie oskarżenia napisali, że przemyciłem w sumie 600 tabletek ecstasy. To było kłamstwo, ale nie miało to znaczenia. Czy przemyciłem ich pięć, czy pięć tysięcy, i tak groziła mi czapa z zamianą na dożywocie. Jedyłą moją szansą był akt łaski królewskiej. Złożyłem papiery i czekałem.

Ambasada Polski w Bangkoku obiecała pomoc w tej sprawie. Do króla Bhumibola o ułaskawienie Michała zwracali się kolejno prezydenci Lech Wałęsa, Aleksander



Pauli siedział w celi z 60 więźniami. To tajlandzki standard. W jednym bloku może być nawet tysiąc więźniów



W styczniu Pauli wydał książkę o swoich więziennych losach w Tajlandii. W księgarniach jest już trzecie wydanie. Sam wrócił do Kielc, do malowania



Kwaśniewski i Lech Kaczyński. Ich listy były krótkie i niezwykle uprzejme. Oprócz najszerszych pozdrowień zawierały niezwykle uprzejmie sformułowaną prośbę o łaskę dla Michała. Lech Kaczyński napisał, że choć uważa handel narkotykami za naganny, prosi o złagodzenie wyroku.

**CZEŚĆ TRZECIA: Miczun Poli!**

Skazani na dożywocie opuszczają Bambat i trafiają do Bang Kwang, więzienia o zaostrowym rygorze położonego kilkanaście kilometrów za Bangkokiem. To miejsce dla największych zakapiorów:

nikt tam nie ma wyroku krótszego niż 25 lat. 70 procent więźniów odsiaduje karę za narkotyki. O Bang Kwang mówi się „Wielki Tygrys” - podobno dlatego, że zjada ludzi żywcem. To 30 hektarów terenu otoczonego murem o długości dwóch i pół kilometra i wysokości ośmiu metrów. Za murem klatki dla czterech tysięcy osadzonych. Tych jednak jest co najmniej dwa razy więcej. W niektórych klatkach zamiast 25 osób przebywa 60. To miejsce, gdzie nie sięga tajlandzki kodeks karny. Korupcja, morderstwa i narkotyki są tam na porządku

dziennym. Poza tym dzieją się przy czynnym udziale strażników. Tylko gwałtów nie ma. Chcuć więźniów zaspokajają tak zwani *Bang Kwang barbies* - faceci odgrywający rolę kobiet. O ich obecności świadczą suszące się ubrania: między brązowymi drelichami i znoszonymi podkoszulkami powiewają różowe staniki czy czerwone majtki. Za swoje usługi *barbies* inkasują dodatkową porcję kurczaka do ryżu.

- Czy w takim miejscu można mieć przyjaciół? - pytam.

- Przyjaciół? - odpowiada Michał po dłuższej chwili namysłu.

- Sam się nad tym zastanawiałem. Z niektórymi się zżyłem, ale przecież ich sobie nie wybierałem, byłem na nich skazany. Niektórym jednak ufałem. To ważne móc zaufać komuś w takim miejscu. Dzięki temu przetrwałem.

W listopadzie 2009 roku wezwał go do siebie jeden ze strażników i zapytał, czy kontaktował się ostatnio z ambasadą w swojej sprawie. Nagle zmienił temat, przekazał mu pozdrowienia od innego strażnika i kazał wyjść. Ta dziwna rozmowa nie dawała Michałowi spokoju.

- Bałem się, że chcę mnie gdzieś przenieść, więc poszedłem do znajomego funkcyjnego, żeby wyciągnąć od niego więcej informacji. Ale on był jeszcze bardziej tajemniczy. Kazał mi sprawdzić, czy wszystko jest w porządku z zawartością mojej szafki. Jakby sugerował, że ktoś będzie chciał mnie skontrolować. Dopiero następnego dnia wszystko się wyjaśniło. Zostałem nagle wywołany przez mikrofon. Miczun Poli, tak na mnie wołali. Miczun, czasem Maczun, czasem Muczun. Nigdy Michał. I kazali mi się pakować, bo król mnie ułaskawił.

Nie wyszedł od razu. Najpierw w towarzystwie strażników musiał pójść do świątyni. Bił pokłony przed posągiem króla, a oni to filmowali. Potem przesiedział miesiąc w aresztach i w ośrodku dla imigrantów. W grudniu pod eskortą policji trafił na lotnisko, skąd miał lecieć do Polski. Po odprawie celnej został sam.

- Po raz pierwszy od prawie sześciu lat byłem wolnym człowiekiem. Ale sprawę z tego zdałem sobie dopiero wtedy, gdy zobaczyłem Bangkok z góry. Wówczas uświadomiłem sobie, że przecież ja sobie to cały czas wizualizowałem.

**EPILOG: Czasem mam koszmary**

Michał nie robi z siebie ofiary. W odróżnieniu od całej rzeszy byłych czy obecnych więźniów odsiadujących wyroki w Tajlan-

dii nigdy nie powiedział, że siedział za niewinność. - Zdaję sobie sprawę, że popełniłem coś nagannego, i chcę wyciągnąć z tego wnioski.

Powoli wraca do normalnego życia. Spisał i wydał swoje wspomnienia z Tajlandii. Udziela się w organizacjach, które uważają,

że w kwestii posiadania narkotyków najważniejsza jest edukacja, a nie penalizacja. Zaangażował się również w nagłośnienie sprawy Sabiny Urygi, polskiej studentki, która w zeszłym roku trafiła do tureckiego więzienia, bo znaleziono przy niej prochy. - Już nie chcę czuć się winny.

Ja już swoje odsiedziałem. Dlatego przede wszystkim maluję, maluję, maluję.

Zapada milczenie.

- Czasem mam koszmary - przyznaje w końcu. - Śni mi się, że z tym ułaskawieniem było coś nie tak i trzeba wrócić do więzienia. Budzę się wtedy zły potem. ●

REKLAMA

**HSBC**  
Oferta oszczędnościowo-inwestycyjna

Międzynarodowe doświadczenie i możliwości to nie jedyny kapitał, który stale pomnażamy.

Korzystając z globalnej wiedzy inwestycyjnej, wspartej doświadczeniem naszych lokalnych ekspertów na całym świecie, stworzyliśmy szeroki wybór produktów oszczędnościowo-inwestycyjnych.

Zróżnicowana oferta pozwala na indywidualny dobór produktów w zależności od akceptowanego poziomu ryzyka, by efektywnie pomnażać zgromadzone środki.

Dołącz do 100 milionów klientów banku HSBC na świecie.

**HSBC** **The world's local bank**

Sprawdź ofertę banku HSBC:  
▶ [www.hsbc.pl](http://www.hsbc.pl)  
▶ 801 800 154 lub +48 22 323 91 54\*

\*Koszt połączenia z numerem zaczynającym się od 801 jest równy cenie jednego impulsu za połączenie lokalne. Koszt połączenia na numer stacjonarny według stawek operatora.



## Wpadniesz? To szkoda

Najmniej drogi w drodze odnotowano na krajowej trasie 221 między Kolbudami a Przywidzem

**D**ziury w drogach znajdziemy jak każdej wiosny, ale nigdy dotąd tylu kierowców nie domagało się odszkodowania za zniszczenie auta. Na przykład w Bydgoszczy już zaczyna brakować funduszy na pokrycie wszystkich zgłaszanych szkód – w ubiegłym roku o rekompensaty zabiegało 1,2 tysiąca kierowców, a w ciągu dwóch pierwszych miesięcy tego roku zgłosiło się już 500.

Gdzie są największe dziury? Zbadali to eksperci Ergo Hestii, którzy

przeanalizowali siedem tysięcy szkód zgłoszonych zarządcom dróg w różnych miejscach Polski na przełomie stycznia oraz lutego. Najwięcej dziur znaleźli na Kaszubach, między Kolbudami a Przywidzem, gdzie między wzniesieniami, lasami, polami i wsiami wije się 14-kilometrowa droga. W czołówce znalazło się też skrzyżowanie dróg 933 i 930 w Mszanie (Śląskie) oraz rondo przy trasie północnej w Zielonej Górze. W Warszawie najgroźniejsza jest Raszewska.

W Poznaniu zaś ulice Warszawska i Dąbrowskiego.

Uszkodzone zawieszenie, układ jezdny, amortyzatory, felgi, opony – to najczęściej pojawia się w roszczeniach kierowców, którzy wjechali w dziurę. Poza tym trzeba się zatrzymać, zrobić zdjęcie, wezwać policję. Jeśli nie jedziesz sam, możesz spaść zeznania pasażerów. Zanim jednak wystąpisz z wnioskiem o odszkodowanie, upewnij się, kto jest zarządcą dziury, bo droga może być gminna, powiatowa, wojewódzka lub pod opieką Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad. Kłopotliwe? Niestety, jak wszystko, co kończy się wizytą u samochodowych mechaników.

MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ

### RACZKOWSKI PONOWNIE



### LUDZIE

## Miliony śledzą gwiazdę

**C**harlie Sheen się rozbija. Ciekawe, jak głośny będzie hałas, którego przy tym narobi? – zastanawiają się amerykańskie media. Na początku marca aktor został wyrzucony z serialu „Dwóch i pół”, gdzie grał główną rolę, inkasując za odcinek 1,8 miliona dolarów (ponad 5 milionów złotych). Sheen (prawdziwe nazwisko Carlos Irwin Estévez) korzystał z pieniędzy, jak umiał: często się upijał i narkotyzował, urządzał imprezy z udziałem gwiazd porno (swoją żonę zaś bił). W dodatku posądzal o antysemityzm producenta serialu Chucka Lorre'a (który zresztą jest Żydem). Wyrzucenie aktora z obsady spektakularnie zakończyło ten ciąg absurdów. Już bezrobotny Sheen tak ostro krytykował stację CBS, że trafił do Księgi rekordów Guinnessa: 1 marca założył konto na Twitterze i wystarczyło 25 godzin i 17 minut, by zdobył milion fanów. Teraz jego ekscy obserwuje ponad 2,5 miliona internautów. **WOJ**



### CO MÓWIĄ LICZBY

# 14

procent

– CZYLI 7,5 MILIONA NIEMCÓW W WIEKU OD 18 DO 64 LAT – to analfabeci – wynika z badań przeprowadzonych przez profesor Anke Grotlüschen z Uniwersytetu Hamburgskiego. – Jestem zszokowana tymi wynikami. To już nie jest niszowy problem w naszym kraju – mówi Annette Schavan, federalna minister edukacji i badań naukowych. 300 tysięcy naszych zachodnich sąsiadów nie umie w ogóle czytać ani pisać. Aż dwa miliony potrafią przeczytać lub napisać tylko kilka słów. Krótkie zdania jest zdolnych ułożyć 5,2 miliona Niemców, ale dłuższych tekstów już nie rozumieją. W większości analfabetami są mężczyźni (60 procent). **WOJ**

### TRADYCJE



## Odurzeni od tysięcy

**A**merykanie odkryli, że Europejczycy odurzali się narkotykami już sześć tysięcy lat temu, choć zły przykład przyszedł być może z Afryki. Brian Akers z Pasco-Hernando Community College z Florydy oraz Gaston Guzman z Instytutu Ekologii z Xalapy w Meksyku badali malowidło w jaskini nieopodal hiszpańskiego miasta Villar del Humo. Na pierwszym planie nasi europrzodkowie narysowali byka, a obok – 13 obiektów przypominających grzyby. Akers i Guzman są przekonani, że to *Psilocybe hispanica*, czyli halucynogeny grzyb, który można znaleźć w okolicznych lasach. To najstarsze takie rysunki w Europie, ale nie na świecie. W Algierii odkryto malowidła grzybów halucynogennych (z gatunku *Psilocybe mairei*) sprzed siedmiu lub dziewięciu tysięcy lat. **WOJ**

### CHOROBA

## Astma jest na miejscu

**E**gil Kristiansen, trener norweskich biegaczek narciarskich, chce, żeby Międzynarodowa Federacja Narciarska (FIS) ukarała Justynę Kowalczyk. – Jej częste wypowiedzi dotyczące stosowania leków na astmę i sugerujące doping były nie na miejscu – tłumaczy. Podczas ostatnich mistrzostw świata w Oslo polska biegaczka zdobyła trzy medale (dwa srebrne i jeden brązowy). Wszystkie złote krawężki zgarnęły Norweżki. Kowalczyk załamała się, że nie wygra z zawodniczkami przyjmującymi sterydy. Aleksander Wierietielny, trener biegaczki, mówił, że chcą jak najszybciej opuścić Oslo, by nie zarazić się astmą; w biegu na 30 kilometrów w pierwszej szóstce były cztery chore na nią Norweżki. **WOJ**

# NA WYSOKIEJ POŁONINIE

## SZTUKA HUCULSZCZYZNY – HUCULSZCZYZNA W SZTUCE

18.03.2011 – 29.05.2011

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE,  
GMACH GŁÓWNY, AL. 3 MAJA 1

Zapraszamy na cykl wykładów *Środy z Vincenzem*, warsztaty w ramach „weekendów huculskich”, koncerty, spotkania i projekcje filmowe.

**mnk**  
MUZEUM  
NARODOWE  
W KRAKOWIE

Wystawa towarzyszy Międzynarodowemu Festiwalowi Huculskiemu im. Stanisława Vincenza Słowiańska Atlantyda.



Wystawę zrealizowano przy udziale środków finansowych Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

[www.muzeum.krakow.pl](http://www.muzeum.krakow.pl)

mecenas



MECENAS MUZEUM  
NARODOWEGO W KRAKOWIE

patroni medialni

TVP KRAKÓW

gazeta  
WYBORCZA.PL

RADIO  
KRAKÓW  
Małopolska

Art&Business

PRZE  
KROJ

magiczny  
KRAKÓW  
WWW.KRAKOW.PL





# Po pierwsze: portfel

O bulterierach z GUS, wyższości reportaży o katastrofach nad opowieściami o udanych żniwach i o tym, dlaczego PO może przegrać najbliższe wybory, Grzegorzowi Miecugowowi opowiada socjolog **JANUSZ CZAPIŃSKI**

**Rozpoczęte właśnie badanie nazywane Diagnostą Społeczną jest największym takim badaniem w Polsce?**

- To na pewno. Więcej - ocieramy się o największe badania na świecie. Badania panelowe, czyli takie, w których co pewien czas wracamy do tych samych miejsc, gospodarstw i osób, są bardzo trudne i drogie. Powiem tylko, że dziś konkurencję mamy jedynie w Wielkiej Brytanii, Niemczech i ostatnio w Szwajcarii. Jednak we wszystkich tych krajach i próby, i zakres tematyczny są mniejsze.

**Szwajcaria jest po prostu mniejsza.**

- Ale Wielka Brytania jest większa. Zakres tematyczny jest mniejszy, bo tam tak naprawdę akcent położono na finanse. Ankieterzy pytają głównie o dochody, i to w różnych aspektach, a my staramy się pytać Polaków o wszystko: o postawy, cechy osobowości, systemy wartości i tak dalej. Jeżeli weźmiemy pod uwagę zakres, wielkość próby i czas realizacji - a robimy to od 11 lat i jest to szóste takie badanie - to w tej chwili rzeczywiście jest to chyba największe badanie na świecie.

**Powiedział pan przed chwilą, że takie badania są drogie. Kto za nie płaci?**

- Zdobywanie środków zajmuje mi mniej więcej połowę czasu, który poświęcam badaniu. W krajach, które wcześniej wymieniłem, badania są robione za publiczne pieniądze.

Wyrzucony niedawno szef GUS - i to wyrzucony niefortunnie, wiem, co mówię - miał taki pomysł, żeby środki na to badanie wpisać po prostu do stałych badań GUS-owskich i wtedy byłoby to rozwiązanie bezpieczne. Teraz aż do grudnia nie wiedziałem, ile pieniędzy uda mi się zdobyć, a to znaczy, że aż do grudnia nie byłem pewien, jakiego rodzaju będzie to badanie. W końcu postawiłem na najbogatszych.

**Czyli?**

- Na banki. Jednak koszt tego jest taki, że nastąpiło radykalne zwężenie treści kwestionariuszy w kierunku bankowości. Ci, którzy płacą, mają pewne oczekiwania.

Mamy też drugie potężne źródło finansowania - Europejski Fundusz Społeczny. Ale to źródło wyschnie za dwa lata, wraz z końcem obecnej perspektywy finansowej Unii.

**A konkretnie ile to kosztuje?**

- Nieco ponad dwa i pół miliona złotych.

**W skali państwa nie są to ogromne pieniądze.**

- Oczywiście, że nie. Tym bardziej że znam badania finansowane ze środków publicznych, które kosztowały nawet pięć milionów, a o ich wynikach nikt nawet się nie zająknął.

**Pewny nie jestem, ale przypuszczam, że**

**jednodniowe badanie wyborcze finansowane przez stację telewizyjną jest droższe.**

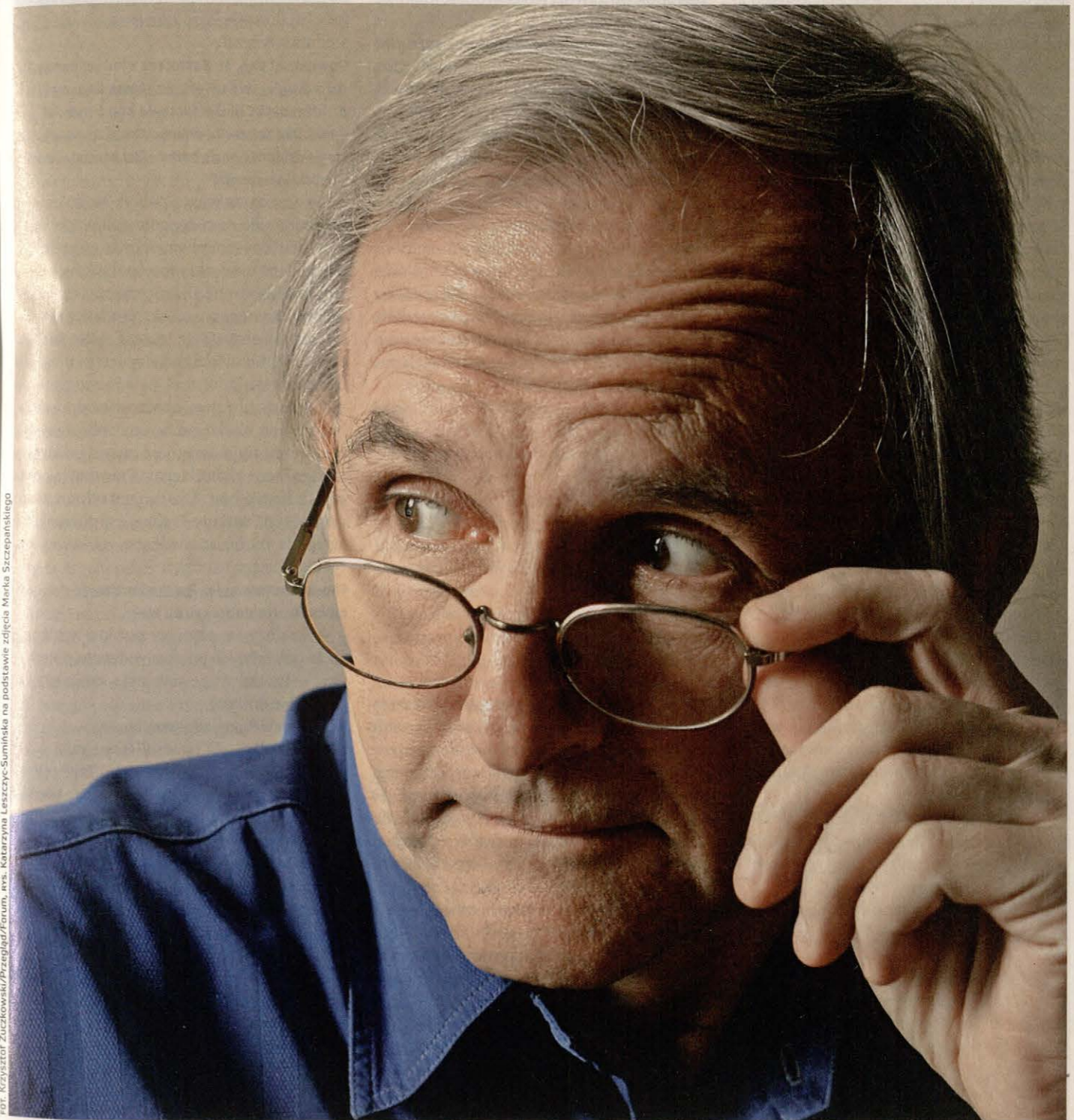
- Ma pan na myśli exit poll? No tak - angażuje masę ludzi. Chociaż ja też zatrudniam sporą

armię. Tyle że nie są to przypadkowe osoby, lecz zawodowi ankieterzy GUS. W poprzednim badaniu wzięło udział 1,7 tysiąca ankietowanych. W tym będzie podobnie.

**Widziałem ankiety na stronie internetowej tego przedsięwzięcia i nie są one łatwe.**

- I dlatego muszą z nimi chodzić do ankietowanych ludzie doświadczeni. Współpracuję z GUS od początku lat 90. Ta instytucja dysponuje jedyną w Polsce siatką zawodowych ankieterów. Oni pracują etatowo i żaden z nich nie pozwoli sobie na przekręt, na wypełnienie jakiegokolwiek kwestionariusza w zaciszu własnego domu, ponieważ grozi mu za to zwolnienie z pracy. Student, który podpisuje umowę-zlecenie na wykonanie 10 wywiadów i złapią go, że gdzieś nie był, następnym razem po prostu pójdzie do innej firmy i podpisze kolejną umowę.

W GUS pracują zazwyczaj panie w średnim wieku charakteryzujące się jedną cechą - są jak bulteriery. To znaczy, że jeżeli pod wylosowanym adresem ktoś im otworzy drzwi, to jest stracony. Ankietowany już im właściwie nie odmówi. W związku z tym tak zwany wskaźnik realizowalności, czyli stosunek przeprowadzonych wywiadów do wylosowanej liczby gospodarstw domowych, w Diagnostyce Społecznej w 2009 roku wynosił 70 procent. Zwykle ten wskaźnik jest prawie o połowę niższy. To bardzo zwiększa wiarygodność badań. →



FOT. KRYSZTOF ZUCZKOWSKI/PRZEGLĄD/Forum, arch. Katarzyna Leszczyńska na podstawie zdjęcia Marka Szczepanińskiego

**„Lubimy, gdy media nas straszą, ponieważ mamy takie wewnętrzne przykazanie, żeby przede wszystkim uczyć się, jak zaradzać nieszczęściom, a nie jak dążyć do sukcesu**

JANUSZ CZAPIŃSKI →



→ **To na koniec ustalania metodologii: ile osób badacie?**

- Zaczynaliśmy od trzech tysięcy gospodarstw. Teraz jest to 12,5 tysiąca. Jeżeli chodzi o indywidualnych respondentów, to na początku badaliśmy siedem tysięcy osób, a dziś doszliśmy do 26,5 tysiąca.

**Tu przypomnijmy, że przeciętny sondaż poparcia dla partii politycznych opiera się na badaniu około tysiąca osób.**

- Dlatego odmawiam komentowania wyników tego typu badań.

**Czyli pana badanie jest naukowe?**

- Jak najbardziej.

**Co pana najbardziej zaskoczyło podczas tych edycji Diagnozy, które są już za panem?**

- Największym zaskoczeniem było to, jak bardzo potoczne wyobrażenia o społeczeństwie są odległe od rzeczywistości i jak często przez to nasze wyniki są zaskakujące. Przykład: gdy na początku lipca 2009 roku ogłaszaliśmy wyniki poprzedniej Diagnozy, wyszło nam, że Polacy nie boją się kryzysu. A badanie było robione w marcu i kwietniu, czyli mniej więcej pół roku po jego wybuchu. Jedynym śladem tego, że ankietowani słyszeli o kryzysie, był spadek zaufania do banków, ale innych jego oznak w życiu naszych rodaków nie było widać. Spadły na nas wtedy gromy krytyki, że to niemożliwe. Jednak życie przyznało nam rację. To dlatego rok później byliśmy zieloną wyspą. Po prostu wiązka światła kryzysowego rozszczała się na naszej soczewce i nas ominęła, rozeszła się na boki.

Albo inny przykład. W 2007 roku w mediach przeważały opinie, że PiS niszczy nasz kraj, że panuje powszechne przygnębienie, ludzie się boją i w ogóle panuje smuta...

**A było to wiosną i o jesiennych wyborach nikt jeszcze nie myślał.**

- Tak. Kryzys koalicji rządzącej pojawił się kilka miesięcy później. Z naszych badań wynikało, że jest optymistycznie, Polacy są coraz szczęśliwsi, a w polskich domach jest kwitnąco. I znowu spadła na nas lawina krytyki, tym razem z drugiej flanki - że to jakieś badania na zamówienie polityczne. Tyle że potem się okazało, że tak naprawdę było. W innych późniejszych badaniach wyszło dokładnie to samo. Innymi słowy: najbardziej zadziwiające jest to, że my jesteśmy takim wyprzedzającym barometrem, że Diagnoza Społeczna pokazuje, co naprawdę piszczy w trawie, a nie co się wydaje ludziom, którzy są ulokowani na jakichś oznaczonych albo politycz-

nie, albo miejscem zamieszkania ambonach i tak sobie obserwują tylko wybrane fragmenty pola.

**To skąd się bierze to błędne potoczne odczucie?**

- Stać, że jedni mają bardziej donośny głos, a inni mniej. Najczęściej łatwiej usłyszeć tych, którym coś się nie podoba. Spokojnych, którym rzeczywistość odpowiada, nie widać, bo jej nie komentują, nie walą w bębny, nie obsobaczają albo nie tworzą takiej profetycznej wizji katastrofy. Nawiasem mówiąc, zarzuty wobec mediów, że eksploatują głównie ten negatywny wątek - bo teraz akurat też się to zaczęło, media zaczęły bić w PO - wynikają z pewnego nieporozumienia. Takie zachowanie jest naturalnym przywilejem mediów, ponieważ ma związek z naturą odbiorców. Odbiorca nie lubi reportaży o udanych zni-

**„ Jestem przeciwnikiem tezy, że Polacy w kolejnych wyborach będą się kierować symbolami. Będą się kierować stanem własnego portfela**

JANUSZ CZAPIŃSKI

wach, odbiorca lubi reportaże o katastrofach, nieszczęściach. Lubi, gdy media go straszą, ponieważ my mamy takie wewnętrzne przykazanie, żeby przede wszystkim uczyć się, jak zaradzać nieszczęściom, a nie jak dążyć do sukcesu. Pierwsze przykazanie natury człowieka brzmi: naucz się zaradzać nieszczęściom, unikać ich, łagodzić efekty katastrof.

**To jest prawda o nas, Polakach, czy o wszystkich ludziach w ogóle?**

- O wszystkich ludziach na świecie. Wszystkie media eksploatują zło, a nie dobro. Media są taką szkołą, która pasuje do tego przykazania - oglądaj te horrory i wyciągaj wnioski.

**Moja teoria jest taka, że media eksploatują zło, bo jest ono rzadkie.**

- Rzeczywiście jest rzadsze od dobra, tylko źródło tego przykazania jest inne, mianowicie: ostateczne konsekwencje zła są absolutnie nieodwracalne, nie ma żadnych ostatecznych, nieodwracalnych konsekwencji dobra. Nikt jeszcze nie wymyślił sposobu na to, by przywrócić zmarłego do życia. To jest ostateczna konsekwencja zła i z tego wynika to przykazanie, które oczywiście media doskonale wy-

korzystują. I bardzo dobrze, że wykorzystują, bo dla większości widzów to jest lepsza szkoła niż oficjalna szkoła podstawowa, gimnazjum, średnia i wyższa.

**Powiedział pan, że dostał raz z jednej flanki, raz z drugiej, ale to jest już szóste badanie, po którym być może zostanie pan z trzeciej flanki. Jednak może w końcu ktoś zauważy sprawdzalność pana badań. Czy w ogóle ktoś się nimi interesuje?**

- Tak, jest coraz więcej polityków, którzy zapraszają mnie na różnego rodzaju spotkania w bardziej czy mniej kameralnym gronie i podpytują. I jest też coraz więcej polityków, którzy znają naszą stronę Diagnoza.com, czytają te raporty i wyciągają wnioski na własny użytek. Zdarza się oczywiście jeszcze sporo ataków ze strony środowiska badaczy. Jest na przykład pani profesor, której teza, że w Polsce gwałtownie topnieją ubóstwo, bardzo nie odpowiada. Nawet jej się nie dziwię, bo ona z ubóstwa żyje, tym się zajmuje. Powtórzę znane powiedzenie Ignacego Krasickiego: „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi”. Dlatego nie odpowiadam na tego typu zarzuty. Prędzej czy później i tak się okaże, jak to naprawdę jest, i ci, którzy krytykują, dostaną nauczkę.

**Przez ostatnie 21 lat Polska bardzo się zmieniła. Na dobre czy na złe?**

- To zależy, z czyjego punktu widzenia na to patrzymy. Z punktu widzenia pojedynczych Polaków niewątpliwie zmieniła się na bardzo dobrze.

**Mamy samochody, mieszkania...**

- Nie tylko. Wymieniliśmy cały park RTV-AGD w swoich domach. Taki telewizor, który pan u mnie widzi, jeszcze pięć lat temu był rzadkością. Teraz ludzie rozglądają się za odbiornikami 3D. Ale zostawmy rzecz materialne. Ważne jest też to, że poczuliśmy się pewniej. Już nie doświadczamy tego co dawniej - strachu przed utratą pracy. Polacy odzyskali pewność siebie, wigor, optymizm, jakoś sobie ułożyli na nowo relacje w rodzinach, bo był taki moment, kiedy i tutaj zaczynało się psuć w związku z gonią za pieniądzem. Nie ma żadnej eksplozji patologii w młodych pokoleniach, czyli dzieci też przestały nas tak panicznie niepokoić, że będą się z nimi działy straszne rzeczy. W tym sensie nasz kraj jest coraz bardziej normalny, ludzie szukają małej stabilizacji i ją znajdują. Polacy już nie marzą o samochodzie. Marzą o tym, żeby tego starego grata z Niemiec zamienić na auto z salonu. Zmieniają się też same marzenia Polaków. Myślimy o normalnych rzeczach, a nie o erzacach, czyli o czymś, co tylko je przypomina. Tyle że to jest jeden

punkt widzenia. Ale z perspektywy całego społeczeństwa i z perspektywy państwa widać wyraźne znaki ostrzegawcze, że grozi nam klęska.

**Jaka?**

- Klęska zahamowania rozwoju, ugrzęźnięcia, wyfrunięcia tego wielkiego kapitału zachodniego, który tutaj zainwestował i wystrawił wielkie hale produkcyjne zalewające telewizorami, pralkami, zmywarkami całą Europę i jeszcze pół świata. Inwestorzy pójdą tam, gdzie będą dla nich bardziej sprzyjające warunki. A my z czym zostaniemy? Nie mamy tak naprawdę nic swojego. To, czym się możemy szcycić, to kopaliny: miedź, koks, węgiel brunatny i jeszcze może sól. A dalej nas w ogóle nie ma. Na tle Europy nas nie widać. Pod względem biotechnologii i wszelkich przemysłów high-tech nie istniejemy.

**Polska jest zagłębieniem produkcji najbardziej nowoczesnych jachtów na świecie. Powstają u nas rzeczy naprawdę wysokiej jakości.**

- Mogę jeszcze do tego dodać, że mamy więcej strusi i największe hodowle krokodyli do ogrodów zoologicznych w Europie. Ale co z tego? Nie to decyduje o stabilnych fundamentach gospodarki.

**A może to jest problem Europy, nie tylko Polski?**

- To nie jest problem Europy, z całą pewnością nie jest to problem Skandynawii. To nawet nie jest problem Hiszpanii. Co decyduje o tym, że można budować gospodarkę, która jest konkurencyjna na świecie nie dzięki taniej sile roboczej i wysokim kwalifikacjom robotników? **Ze się wkłada własną myśl.**

- Tak. Tylko do tego niezbędna jest zmiana mentalności. Ta zmiana polega na spadku gotowości do rozglądania się dookoła z emocją zawiści: temu się udało, trzeba go utracić, za daleko idzie. Zmiana mentalności w sensie: moje jest na wierzchu, z nikim nie będę współpracował, na żadne kompromisy nie pójdę, ja wiem, jak wygląda prawda.

**Jak to zmienić?**

- W szkole trzeba to zmienić. Polska szkoła jest XIX-wieczna. Takiej szkoły w Europie właściwie już nie ma. W nas realizowana jest koncepcja, że nauczyciel zwraca się co praw-

## Janusz Czapiński

60 lat, psycholog społeczny, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Związany z tutejszym Instytutem Psychologii od magisterium, przez doktorat, po habilitację, którą uzyskał w wieku 37 lat. Od 2000 roku pod jego kierownictwem prowadzone są cykliczne badania Diagnoza Społeczna.

da do całej klasy, ale tak naprawdę indywidualnie do Jasia lub Małgosi. To im indywidualnie zleca zadania. Jaś i Małgosia też o tym wiedzą, że to jest zadanie zleczone im indywidualnie. Podobnie wie o tym pozostałe 20 dzieci w klasie. I nikomu nie przyjdzie do głowy, że można z nich stworzyć przynajmniej kilka zespołów. Niech wspólnie przeprowadzają doświadczenia na lekcji chemii, niech wspólnie piszą eseje, tak jak się to dzieje już w całym cywilizowanym świecie. Nie wytykając już tego nudnego przykładu Finlandii, tak funkcjonują szkoły. Uczniowie pracują w zespołach, a nie w formule tłumy indywidualu.

**Czego się pan spodziewa po rozpoczętym właśnie badaniu? Czy tego, że tak niezwykle wydarzenie jak katastrofa Tu-154 może mieć wpływ na nasze postrzeganie świata?**

- Jestem przeciwnikiem tezy, że Polacy w kolejnych wyborach będą się kierować symbolami. Polacy, jeśli już w ogóle idą do wyborów, kierują się przede wszystkim stanem własnego portfela - tym obecnym i tym przewidywanym. Również na partie patrzą przez pryzmat portfela. Albo zaufają, że ktoś im dołoży grosza, a przynajmniej nie zabierze, albo nie zaufają. I to jest decydujące kryterium.

**Zero romantyzmu.**

- To, co podważyło pozycję głównego rządzącego ugrupowania - zresztą wyjątkową na tle całego 21-lecia - czy nią zachwiało, była dyskusja i awantura wokół OFE. W tym sporze medialnie wygrali przeciwnicy projektu rządowego. A wygrali hasłem: państwo próbuje przywłaszczyć sobie wasze pieniądze, które gdzieś tam zgromadziliście. W dodatku sami rządzący nie byli zgodni w tej sprawie. To, że sami też do końca nie wiedzą, jak to wszystko będzie przebiegało, podważa ich wiarygodność. Najważniejsze są więc niepokój o portfel i podważenie wiarygodności...

**A nie Smoleńsk.**

- Nie, nie Smoleńsk. Co prawda my będziemy robić te badania, jeszcze zahaczając o kulminację obchodów rocznicy Smoleńska i zadamy respondentom pytanie o tę tragedię. Będziemy pytać o to, w jaką koncepcję wyjaśnienia katastrofy wierzą, ale nie przywiązują do tego większej wagi. Oczywiście postawy Polaków wobec różnych spraw obyczajowo-ideowych ewoluują w zależności od tego, kto jest u władzy i co uchodzi za obowiązujący sposób myślenia. Przykładem może być aborcja. W latach 80. polskie społeczeństwo nie miało z nią żadnych problemów. Młoda dziewczyna zachodziła w ciążę, nie była przygotowana do założenia rodziny, więc szła na zabieg i koniec. Nikt się temu

nie dziwił. Gdy w latach 90. w życie weszła ta restrykcyjna ustawa, postawy Polaków zaczęły ewoluować. I dziś zdecydowana większość z nas mówi: aborcji można dokonywać tylko w skrajnych przypadkach. Więc pod tym względem rzeczywiście Polacy wykazują pewną chwiejność. Gdy PiS było u władzy, rosły radykalnie postawy tradycjonalistyczno-konserwatywne, bo rządzący narzucili pewien sposób opowiadania o świecie i spora grupa Polaków przyjęła go jako swój. Tyle że politycy powinni sobie zdawać sprawę z jednego - że mogą przemeblować świadomość Polaków w wymiarze obyczajowo-ideowym, ale nie przemeblują jej w wymiarze ekonomicznym. Ogromna część tych, którzy głosowali na SLD w 2001 roku, cztery lata później murem stanęła za PiS. Można zapytać dlaczego? Przecież to ogień i woda.

**Ale nie w sensie ekonomicznym.**

- Nie w sensie ekonomicznym. Program PiS dokładnie odpowiadał niespełnionym nadziejom portfelowym SLD z roku 2001.

**Kto wygra najbliższe wybory?**

- Ten, kto przekona Polaków, że nie stracą finansowo - albo stracą mniej - i przekona ich, że to, co mówi, jest naprawdę wiarygodne. ●

REKLAMA

**FREE SKI  
LAST MINUTE**

**Madonna di Campiglio (I) Residence Ambiez 3\* basen, od 1090 zł/os. Livigno (I) Hotel Original Gallis 3\*HB od 1750 zł/os. Tonale 1800 (I) Apt. Palace 3\* w Ponte di Legno, od 670 zł/os.**

+ samolot z Warszawy LOT Charters do Werony 1190 zł/os. + 0, lub autokar od 395 zł/os. Obiekty również w Austrii, Francji i Szwajcarii, ww. oferta z 6 dniowym karnetem

801 326 026  
**alpytravel.pl**  
ski 2003  
100% otium





# Miłosna mapa Polski

O tym, jak daleko od Europy leży polski seks, ile mają do nadrobienia polscy mężczyźni oraz czemu chłopcy powinni bawić się lalkami, z edukatorką seksualną doktor **ALICJĄ DŁUGOŁĘCKĄ** rozmawia Piotr Stanisławski

**Co najbardziej zmieniło polską miłość w ciągu ostatnich 30 lat?**

– Zmiany są ogromne, ale moim zdaniem wszystkie mają u źródła nową sytuację kobiety. Są dwa czynniki, które ją wywołały – możliwość zarabiania na siebie i sterowania swoją płodnością. Te dwie rzeczy nie tylko radykalnie zmieniają sytuację kobiety, ale i cały system kulturowo-społeczny. Jeśli kobieta panuje nad tymi dwoma czynnikami, może według własnego wyboru odgrywać dowolne role – od skrajnie kobiecych po te, które uznawane są za skrajnie męskie. Również w zachowaniach seksualnych. A przecież przed 1989 rokiem ani pierwszy – bo był realizowany częściowo – ani tym bardziej drugi warunek nie były spełniane.

**Czyli równamy do Zachodu? Bo tam przecież te zmiany trwają od lat 60.**

– Tak, ale reszta świata też się zmienia, nie czeka na nas.

**To w jakim punkcie teraz jesteście i ku czemu zmierzamy?**

– Jeśli by szukać kultury, w której podejście do seksu i stosunku kobiet i mężczyzn było najbardziej podobne do polskiego, to w wersji optymistycznej wskazałabym Hiszpanię, a w pesymistycznej – Amerykę Południową.

**Ślucham?!**

– No tak – proszę zwrócić uwagę, że jednym z najsilniej wpływających na sferę seksualną czynników jest wychowanie w religii. W Polsce i Ameryce Południowej to katolicyzm z jego pojęciem grzechu, poczucia winy i ambiwalencji wobec seksu. Zbliżona w pewnym stopniu jest też sytuacja ekonomiczna.

*„Jeśli chodzi o życie seksualne i stosunki kobiet i mężczyzn, to na razie jesteśmy gdzieś w okolicach Ameryki Południowej. Dokąd zmierzamy? Mam nadzieję, że w kierunku Hiszpanii. A gdzie dotarliśmy – zobaczymy za kilkanaście lat.*”

ALICJA DŁUGOŁĘCKA

Mamy więc na zewnątrz postawę nowoczesną, ale w głębi wciąż żywym przekonanie, że wartość kobiety zależy od poziomu jej atrakcyjności w oczach mężczyzny. Równocześnie mocny jest kult maryjny, pokazujący kobietę silną, której podstawową wartością jest realizowanie się w roli matki, wzmocniony historyczną schedą matki Polki. Te aspekty widać zarówno w Polsce, jak i we Włoszech, w Hiszpanii, no i w Ameryce Południowej.

**No ale tam dla równowagi pojawia się mężczyzna macho. Mamy takich w Polsce?**

– Ależ tak, tyle że w lokalnej odmianie. Ci głośni, umięśnieni, nadużywający alkoholu mężczyźni w dresach to tacy zgrzebni polscy macho. Ale też ten model rodzi jeszcze jedno

zjawisko. Zaradne, nadopiekuńcze, dominujące matki wychowują maminsynków, którzy mieszkają z nimi za długo. Również i to zjawisko jest w Polsce wyraźne – według badań uniwersyteckiego urzędu statystycznego Eurostat 44 procent polskich mężczyzn do 34. roku życia nie wyprowadza się od rodziców.

**A jak to wpływa na sytuację łóżkową?**

– W sytuacji intymnej do głosu dochodzi zwykle nie to, co chcemy prezentować na zewnątrz, ale nasze najgłębsze przekonania wynikające z kultury i wychowania. Stąd dość tradycyjny układ seksualny, który...

**Oj, aby na pewno?**

– Ale proszę pozwolić mi skończyć! Ten układ, zarówno społeczny, jak i seksualny, bardzo sil-

nie zależy od tego, o jakiej części Polski mówimy. Mocno upraszczając i uogólniając, mapa seksualna pokrywa się z mapą polityczną. Mamy wschodnią Polskę, skąd kobiety uciekają przed wspomnianym macho, który jest sfrustrowany do bólu i pozbawiony inicjatywy, ale wciąż ma tradycyjne wysokie wymagania wobec kobiety gospodyni. Z kolei w zachodniej Polsce jest to raczej mężczyzna, który bardziej partnersko traktuje kobiety i chce się wziąć do roboty, ale ma z tym sporo problemów. Podobnie ma się sprawa z kobietami. Nie ma więc jednego modelu Polki i Polaka.

**Skoro z naszym seksem jesteśmy w okolicach Ameryki Południowej, to dokąd zmierzamy?**

**Pozostaniemy w tym rejonie świata?**

– Trudno dokładnie powiedzieć, ale moim zdaniem za kilkanaście lat będziemy tam, gdzie dziś jest wspomniana Hiszpania. Widać bowiem z jednej strony postępującą laicyzację, poprawę sytuacji ekonomicznej, a z drugiej słabnące ślady tradycyjnego wychowania z podziałem ról i homofobią. Ale i to przybliżenie nie jest precyzyjne, bo w Polsce zachodzą ogromne zmiany.

**Jakie?**

– Otóż z jednej strony rządzący spierają się, czy mówić młodym na wychowaniu seksualnym o zakładaniu prezerwatyw, lub oburzają się, gdy profesor Izdebski pyta w ankietach 17-latków o stosunki inne niż waginalne. A z drugiej to właśnie pokolenie naszych polskich nastolatków zaczyna swoje życie seksualne od fellatio. To zupełna zmiana względem tego, co robiło pokolenie dzisiejszych 40-latków. Kolejność była zupełnie inna: →

## Naucz się kochać!

Recepty na udany i długotrwały związek nie ma. To jednak nie znaczy, że nie warto się o niego starać. Seks to tylko jedna ze składowych miłości. Ale nie oszukujmy się – bardzo ważna. Oto kilka rad, które mogą pomóc czerpać ze wspólnego życia tak wiele, jak się da. I to nie tylko w łóżku

1.

**Zaakceptuj to, że ludzie się różnią**

Fizycznie, psychicznie, temperamentem, wrażliwością, a nawet dobowym cyklem aktywności. Chętnie podkreślamy różnice między płciami, zapominając, że nawet mężczyźni i kobiety nie są równi. Poznaj, jakim typem osoby jesteś ty, a jakim typem jest osoba, którą kochasz. Pomyśl o tym jak o biznesowym spotkaniu dwóch firm. Obie muszą

znać swoje możliwości i potrzeby. Dopiero wtedy mogą zacząć negocjować i znaleźć kompromis optymalny dla każdej z nich. Jak to ma wyglądać w związku? Spójrzmy na rzecz podstawową: kiedy to robić. Rano ona nie chce, bo ze snu porządnie wybudza się dopiero po dwóch godzinach i kawie. Niestety wtedy on od dawna jest już w drodze do pracy. Wie-

czorem – na odwrót. Przed snem on jest zbyt zmęczony i myśli o kolejnym dniu w biurze. W takiej sytuacji mogą mijać się miesiącami. Albo podpisać ze sobą kontrakt, w którym raz w tygodniu ona nastawi budzik na wcześniejszą godzinę, a innym razem on wyjdzie z pracy na tyle wcześniej, by mogli trafić do łóżka, zanim dzieci wrócą ze szkoły.

2.

**Zrozum, że z czasem wszystko się zmienia**

I ty, i twój partner (lub partnerka), i cały wasz związek. Na początku waszą miłość i namiętność stymuluje hormonalny haj. Zakochanie trwa około dwóch lat – w najlepszym wypadku cztery. W tym czasie mózg jest bombardowany naturalnymi stymulantami – dopaminą, noradrenaliną i fenyloetyloaminą. Pierwsza wprowadza w euforię, druga pobudza, a trzecia działa

jak amfetamina. Dzięki nim początkowy etap związku to niegasnące pożądanie, afekt, namiętność. Niestety, ten stan nie trwa wiecznie. Gdy znika narkotyczny komponent miłości, część par się rozchodzi, wiele przechodzi kryzys. Ale wcale nie musi być tak źle. Wystarczy uświadomić sobie, że każdy związek ma swoją dynamikę. Poziom porozumienia, dopasowania,

a także pożądania się zmieniają. Ale ciągła zmiana ma też swoją dobrą stronę. Nawet jeśli teraz twój związek pozostawia wiele do życzenia, wcale nie oznacza to, że będzie już tylko gorzej. Prawdziwy renesans miłości może cię zaskoczyć, gdy najmniej się tego spodziewasz. Warto na niego czekać (i pracować), choćby nawet miał do nas przyjść dopiero na emeryturze.

3.

**Rozmawiaj o seksie**

Jeśli w waszym związku wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku, wydaje ci się, że nie ma o czym mówić. To błąd. Rozmowa prowadzi do pełni samoświadomości (tak pojedynczej osoby, jak obu). Dzięki niej więź między ludźmi się umacnia. Poza tym takie porozumienie to kapitał, z którego będziesz czerpać,

kiedy coś zacznie się psuć. Wtedy rozmowa będzie już obowiązkiem. A łatwiej ją prowadzić, jeśli wcześniej wypracowaliśmy wspólny język. Dlatego mówcie sobie nawzajem, co się wam podoba, a co nie. Jakie macie marzenia, a co jest dla was niedopuszczalne. Opiszcie, co się da. Przed, po, a jeśli chcecie, to nawet w trakcie. →



→ najpierw pocałunki, necking, petting, potem stosunek seksualny i dopiero jakieś felatio czy stosunki analne. Polscy 20-latkowie również nie zastanawiają się już nad tym, czy pary homoseksualne mogą się pobrać i adoptować dzieci. Dla nich odpowiedź twierdząca jest oczywista. To też kwestia tego, że żyjemy w chorym kraju, gdzie 15-latką prosząca ginekologa o tabletki antykoncepcyjne ma wielkie szanse zostać zwyzywana i wyrzucona z gabinetu. O ile w ogóle zdecyduje się pójść do ginekologa. Mamy więc specyficzną dla naszego kraju mieszaninę nowoczesności i niezwyklego tradycjonalizmu.

**Mówimy o tym, jak zmieniły się kobiety, ale przecież seks to zwykle też mężczyźni.**

- Oni w tym południowoamerykańsko-wschodnim modelu mają poważny problem - syndrom madonny i ladacznicy. Kobieta, którą kochają, ma być w pewnym sensie asekualna. W łóżku ma być pięknie i romantycznie, nie ma tam miejsca na fellatio. Na takie rzeczy można sobie pozwolić z kobietą „wyuczdaną”, której się nie szanuje. To sytuacja patowa - kobieta jest ciągle wartościowana jako porządna lub nieporządna, a mężczyzna ro-

zerwany między marzeniami o otwartym seksie a potrzebą związku z „porządną kobietą”. **Skoro kobiety mimo wszystko osiągnęły przez ostatnie 20 lat więcej, niż miały kiedykolwiek - możliwość decydowania o sobie - to teraz przychodzi czas na mężczyzn. Trzeba się nimi zająć, podholować ich, by nie hamowali zmian?**

- Nie, nie, nie. Nie podholować, bo nikt ich nie pociągnie. Sami muszą dojść do tego, że inwencja jest teraz po ich stronie. Można powiedzieć, że to od ich pozbierania się zależy przyszłość seksualna Polski. Bo para damsko-męska nie dogada się oczywiście, jeśli ona będzie kwitnąca i zadowolona, a on zagubiony w swojej roli, zapracowany, niezrozumiany, w depresji.

**To co ma robić mężczyzna? Jak się z tym wszystkim pozbierać?**

- Podam panu przykład. Proszę sobie wyobrazić grupę dzieci - ośmiolatków. Mamy w niej tradycyjny układ: chłopcy bawią się ze sobą klockami i samochodami, dziewczynki lalkami i zwierzątkami. Ale oto jest jeden chłopiec, który lubi też bawić się z dziewczynkami. Przy czym jego zabawy nie są stereotypowo kobiece, on po prostu lubi nawiązywać rela-

cje z dziewczynkami, które w tym wieku zwykle są bardziej rozwinięte psychicznie i werbalnie od chłopców. Co więcej, jego pomysły wzbogacają ich zabawy, dodają do nich nowy aspekt. I choć ten chłopiec jest w grupie w pewnym stopniu szykanowany, z mojego punktu widzenia on właśnie lepiej sobie poradzi - jest chłopakiem przyszłości. Bo to, co wydaje się w dzisiejszych mężczyznach najpotrzebniejsze, to właśnie uzupełnienie tego pierwiastka ich psychiki, który jest stereotypowo oceniany jako kobiecy. Kobiety zrobiły to już dawno temu z tak zwanym pierwiastkiem męskim.

**A czy to nie jest po prostu niemęskie?**

- Ależ wręcz odwrotnie. Swojej kobiecej strony nie boją się ci mężczyźni, którzy najpewniej czują się w męskiej roli. Dla nich kobiecość jest uzupełnieniem, a nie zagrożeniem. To umożliwia lepsze porozumienie i bliskość w związku. I powiem szczerze, w imieniu Polek, z którymi mam zajęcia z edukacji psychoseksualnej - to właśnie mężczyźni, którzy dobrze się czują ze sobą i nie tracąc nic z męskości, nie muszą ukrywać swojego potencjału wrażliwości, empatii i czułości, są najlepszymi kochankami.

# ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

## Wszyscy jesteśmy piratami



Codziennie miliony osób oglądają w Internecie materiały wideo pod czarną banderą - piractwo online kwitnie dzięki szybszym łączom i nieprecyzyjnemu prawu. Jest na to tylko jeden sposób

EWA LALIK, SPIDER'S WEB

**P**iractwo online, najnowszy trend w łamaniu prawa w sieci, jest naturalną odpowiedzią na nasze potrzeby. Tak, prawdopodobnie i Ty praktykujesz ten proceder, choć najpewniej nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Zdarza Ci się obejrzeć coś w serwisie YouTube? Może filmik z najnowszym hitem ulubionej piosenkarki? Wiedz, że wiele z tych materiałów łamie prawa autorskie.

Każdego dnia użytkownicy YouTube oglądają dwa miliardy klipów wideo. Utwory muzyczne to około 30 procent z nich. Statystyk, ile z nich opublikowano bezprawnie, nie ma.

W tak dużych portalach jak YouTube nie sprawdza się każdego pliku. To po prostu niemożliwe - w samym YouTube użytkownicy wrzucają każdej minuty około 24 godzin nowych materiałów filmowych. Gdy któryś z nich łamie zasady lub prawo, Google weryfikuje zasadność zarzutów i usuwa piracki materiał dopiero po zgłoszeniu nadużycia przez oglądających go lub właścicieli praw autorskich.

Świetnie wykorzystali tę lukę twórcy innych serwisów hostujących filmy. Na przykład MegaVideo, gigant w tej niszy, udostępnił narzędzie idealne do umieszczania w sieci

dłuższych materiałów, czyli filmów, seriali i programów telewizyjnych. Bezpłatny limitowany i płatny nielimitowany dostęp oraz pojemne i szybkie serwery spowodowały wybuch popularności tego typu usług. Co najciekawsze, MegaVideo i podobne serwisy są tylko narzędziami, które wykorzystano do dalszego zarobku.

W odpowiedzi na narzekania, że trudno wyszukać konkretne tytuły, powstały setki stron katalogujących pliki wideo według gatunku czy języka. Pomysł okazał się trafiony - szybki dostęp bez czekania i instalowania dodatkowych programów zyskał taką popularność, że można już zarabiać na tym niemałe pieniądze. Na przykład student informatyki z Wielunia katalogował filmy i udostępniał te informacje na swojej stronie internetowej, za dostęp do której pobierał opłatę w wysokości 11 złotych w formie SMS Premium. Policja obliczyła, że miesięcznie zarabiał w ten sposób około 10 tysięcy złotych. Student został aresztowany, odpowie za czerpanie korzyści z rozpowszechniania cudzych utworów.

To pierwszy i jak dotąd jedyny taki przypadek w Polsce. Na definitywne ukrócenie proceduru się nie zanoszą - internauci są zbyt



pomysłowi. Nauczeni doświadczeniem zakładają strony z odnośnikami do plików w innych serwerach, rejestrują firmy w odległych krajach (bardzo popularne ostatnio jest... Belize), a zyski czerpią z wyświetlania reklam na stronach, tak żeby nikt nie mógł zarzucić im bezpośredniego pobierania opłat.

Odpowiedzialność przerzucają na użytkowników, którzy sami umieszczają na serwerach materiały filmowe. Interes się kręci, coraz więcej internautów korzysta z darmowych seansów filmowych i muzyki online.

Jak zaradzić piractwu online? Odpowiedź jest bardzo prosta: zamiast zaostrzać prawo, trzeba wyjść naprzeciw rosnącym oczekiwaniom i potrzebom użytkowników. Wystarczy stworzyć proste i przyjazne rozwiązania, dzięki którym za drobną opłatą uzyskamy dostęp do muzyki i wideo. Bez konieczności obchodzenia ograniczeń - zakładania kont w amerykańskich sklepach czy zmieniania IP (numeru identyfikacyjnego) tak, by pokazywał, że jesteśmy ze Stanów Zjednoczonych. Jak dowodzi przykład studenta z Wielunia, ludzie są skłonni płacić za treści. Rzecz w tym, że na razie prawie nikt nie chce legalnie takich opłat pobierać.

### 4. Jeśli mówienie o seksie sprawia ci kłopot - pisz

Dosłownie. Weź kartkę i spisz swoje oczekiwania względem partnera/partnerki. To podstawowa technika terapeutów, ale nikt nie broni tego zrobić na własną rękę. Znajdźcie chwilę spokoju i czasu na relaks. Weźcie do jednej

ręki kieliszek wina, a do drugiej długopis. I do dzieła. Ale uważaj! Nigdy nie wolno wam wymuszać realizacji tych pragnień. Druga strona ma obowiązek się z nimi zapoznać, ale nie je wypełnić! I jeszcze coś: traktujcie te wyznania z wielkim szacunkiem.

Nawet jeśli poczujecie się zażenowani, nie okazujcie tego drugiej stronie. W końcu otworzyła dla was swoje serce, podzieliła się najintymniejszymi sekretami. Śmiech, kpina, obrzydzenie - to może podkopać fundamenty nawet największej miłości.

### 5. Bądź zdrowy

Wiele niepowodzeń w łóżku to efekt słabego stanu zdrowia. Problem ten dotyczy obu płci. Zaburzenia erekcji mogą być symptomem chorób - cukrzycy, nadwagi, depresji, chorób serca, nadużywania alkoholu. Z kolei niskie libido kobiet,

a nawet czysto fizyczne dolegliwości (jak zaburzenia lubrykacji) to bardzo często efekty długotrwałego stresu, nieprawidłowej gospodarki hormonalnej, niedoborów mineralnych. Dlatego regularnie badaj się, lecz i szukaj porady lekarza. Przede

wszystkim - pierwszego kontaktu. Ale jeśli coś nie daje ci spokoju, szkoda czasu i energii na niepokoje i nerwy. Lepiej zgłoś się do fachowca - w tym wypadku seksuologa.

KONSULTACJA MERYTORYCZNA DOKTOR ANDRZEJ DEPKO - SEKSUOLOG

## Kawiarnia Naukowa ZAPRASZA NA DISKUSJĘ

„O CZYM MYŚLI TWÓJ PIES?”  
- ŚWIAT W GŁOWIE NAJWIĘKSZEGO PRZYJACIELA CZŁOWIEKA

Rozumie cię jak nikt. Nie mówi, ale wygląda, jakby miał wiele do powiedzenia (na szczęście dla ciebie woli zachować to dla siebie). Czasem psoci, ale zwykle daje ci dużo radości. Ale dlaczego właściwie pies wydaje się taki inteligentny? Czy to udomowienie wpłynęło na rozwój i funkcjonowanie całego gatunku? I czy to prawda, że pies może być w czymś lepszy od naczelnych?

O tym, jak badać procesy zachodzące w psich łebkach, po co to robić i czego możemy się dowiedzieć o psychice tych wspaniałych zwierząt, opowie doktor Maciej Trojan z Zakładu Psychologii Zwierząt Uniwersytetu Warszawskiego

Zapraszamy: 21 marca 2011 r. o godz. 18<sup>00</sup>,  
Skwer - Filia Centrum Artystycznego „Fabryka Trzciny”, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 60a



## Humbugi, w które wierzymy

**50** wielkich mitów psychologii popularnej. Półprawdy, ćwierćprawdy i kompletne bzdury” czytają z niedowierzaniem i zażenowaniem, bo zyczajnie wstyd, że tyle baśni przyjmowaliśmy na wiarę. Autorzy twardymi argumentami rozbijają w pył powszechne przekonania, co do których zasadności mało kto z nas - bądźmy

szczerzy - miał kiedykolwiek wątpliwości. Pociężyć możemy się tym, że pod presją mitów nierządno kapitulują nawet eksperci. Weźmy choćby wiarę w ową jedną dziesiątą mocy mózgu, która jakoby wystarcza nam na co dzień. W pewnym badaniu co trzeci student psychologii na pytanie: „Jak sądzisz, jaki procent potencjalnej mocy mózgu wyko-

rzystywany jest przez człowieka?”, odpowiedział: „Dziesięć” (annaly milczą, czy padały też mniejsze liczby). Zresztą pal licho studentów - mają prawo pewnych rzeczy nie wiedzieć. Jednak ów test zawałiło też aż sześć procent ankietowanych neuronaukowców!

Lepiej wylądować złości, niż ją w sobie tłumić? Od ręczne pismo zdradza cechy osobowości? Ludzie łączą się w pary zgodnie z regułą

o wzajemnym przyciąganiu się przeciwności? Okresowi dojrzewania nieodłącznie towarzyszą poważne zawirowania psychiczne? Kryzys wieku średniego to powszechna przypadłość?

Jeśli jesteście pewni odpowiedzi na powyższe pytania, tym bardziej powinniście sięgnąć po tę książkę. Może się okazać, że błędzi-

cie - częściowo lub całkowicie. „50 wielkich mitów...” dostarcza nie tylko ciekawej lektury, ale i praktycznej wiedzy, dzięki której można sensownie pokierować swoim życiem.



Scott O. Lilienfeld, Steven Jay Lynn, John Ruscio, Barry L. Beyerstein „50 wielkich mitów psychologii popularnej”, przeł. Dariusz Sagan, Wydawnictwo CiS, 39 zł



# Robaczywa muzyka

Wpadł ci w ucho motyw z piosenki i tak się wgryzł w mózg, że nie możesz się od niego uwolnić? Jesteś ofiarą powszechnej choroby. Dla niektórych to prawdziwa udręka

PAWEŁ FRAN CZAK

**T**o dziwna przypadłość. Znamy ją od dawna, bo dotknęła prawie każdego człowieka na ziemi, ale na serio traktuje się ją dopiero od kilku lat. Jest bezbolesna, mimo to nie pozwala normalnie funkcjonować. Można się nią zarazić wszędzie. Co więcej, są tacy, którzy robią wszystko, by zachorowało jak najwięcej osób, i nikt nie protestuje! A teraz wyobraź sobie, że mając dość tej męki, idziesz do lekarza, a ten tylko kręci głową i patrzy na ciebie jak na wariata. No bo jak ma cię wyleczyć z muzyki?

## Rozpoznanie

Rafał Rozmus jest młodym dyrygentem i kompozytorem, tworzy między innymi muzykę teatralną i filmową. Jak mówi, to specyficzny zawód, bo pracuje się 24 godziny na dobę. I jak każdy niesie ze sobą choroby zawodowe. - Zdarza się, że słyszę w głowie fragmenty muzyki nawet w nocy, gdy na przykład wstaję, by napić się wody - mówi. - O ile „wewnętrzny odsłuch” własnej twórczości mi nie przeszkadza, o tyle kawałki prześladowanych mnie cudzych kompozycji bywają uciążliwe. Trwa to nawet kilkanaście dni, dopóki nie zajmę umysłu czymś innym.

Amerykanka Rose R. nie miała takiego szczęścia. Od 43 lat cierpiąca na chorobę Parkinsona spowodowaną zapaleniem mózgu. Ale bardziej niż dolegliwości związane z parkinsonizmem nękała ją opera. Przez wszystkie lata choroby Rose odwiedzał „Rigoletto” Giuseppe Verdiego. Nie cały utwór, ale jedynie 14 nut z drugiego aktu. Niewidzialny odtwarzacz w jej głowie włączał się bez wyraźnego powodu. Nie mogła go wyłączyć ani Rose, ani nikt inny. Jak tłumaczyła kobieta, dźwięki układały się w „muzyczny kwadrat, którego cztery boki musiała przemierzać bez końca”. Problem ustąpił, dopiero gdy parkinsona u Rose wyleczono za pomocą L-DOPY (naturalny amino-

kwas, jeden z najskuteczniejszych leków stosowanych w tej chorobie).

Rafał Rozmus i Rose R. padli ofiarą zjawiska znanego w krajach anglosaskich jako *earworm*, czyli melodii (niekoniecznie lubianej), którą odtwarza się mimowolnie w myślach aż do obłędu. Wystarczy, że usłyszysz ją raz. I mimo że akurat Rose jest skrajnym przypadkiem, to trzeba wiedzieć, że taki robak wgryzł się przynajmniej raz w umysł niemal każdej osoby na świecie.

## Pochodzenie

Angielski termin *earworm* (robak uszny) to połączenie słów *earwig* (skorek) i *brainworm* (pasożyt zalegający się w mózgzach zwierząt). Określenie pojawiło się dopiero trzy dekady temu jako tłumaczenie niemieckiego wyrazu *Ohrurm*, ale najstarsze ślady „skorków w mózgu” można odnaleźć w XVIII-wiecznym śpiewniku angielskiego hrabstwa Northumberland, a później w zbiorze „Northumbrian Minstrelsy” z 1888 roku. W muzyce ludowej znane były one jako „robaki flecisty” - krótkie melodie dręczące instrumentalistę i „zżerające go niczym robak zżerający jabłko”.

W języku polskim *earworms* nie mają dobrego odpowiednika (niektórzy próbują opisywać fenomen znanym z psychiatrii słowem „persewercja”), zresztą tym problemem nigdy nikt się u nas nie zajmował. Nie jesteśmy wyjątkiem - na Zachodzie badania nad *earworms* prowadzi się dopiero od kilku lat, a te podjęte na szeroką skalę wciąż nie są ukończone. Najwyższa pora zatem podejść do zagadnienia z powagą, bo jeśli część prognoz się potwierdzi, *earworms* staną się jednym z głównych utrapień ludzkości.

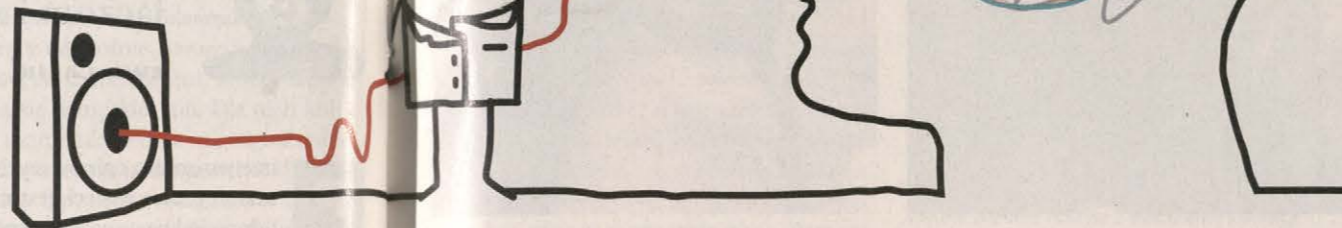
Oliver Sacks, angielski neurolog, który opisał przypadek Rose R. w swojej najnowszej książce „Muzykofilia”, dokuczliwym robaczkom poświęcił cały rozdział. Zaznacza, że praw-

dopodobieństwo infekcji jest obecnie większe niż kiedyś: „Choć [*earworms*] istniały bez wątpienia od chwili, gdy nasi przodkowie zaczęli wygrywać melodie na kościanych fujarkach, jest rzeczą znamioną, że termin wszedł do użycia zaledwie kilka dekad temu - pisze Sacks. - [Dawniej] jeśli ktoś nie miał w domu pianina, gitary czy akordeonu, aby posłuchać muzyki instrumentalnej, musiał iść do kościoła albo na koncert. Wraz z płytami, radiem i filmami zmieniło się to radykalnie. Zniemacka muzyka była na każde zawołanie, a w ciągu ostatnich kilku dekad wszystko tak się zintensyfikowało, że chcemy czy nie, jesteśmy nieustannie bombardowani przez muzykę”.

## Diagnoza

Częściej zaturawiają życie leworęcznym, dłużej walczą z nimi kobiety, są powszechniejsze, niż można by przypuszczać. To niektóre pewniki dotyczące *earworms*. Jeszcze jedno jest pewne - o „skorkach w umyśle” wciąż wiemy za mało.

Z doświadczeń Sacksa wynika, że ich powstawanie mogą powodować niektóre leki, na przykład przeciwpadaczkowa lamotrygina. Wiadomo także, że z większą częstotliwością nawiedzają osoby z uszkodzeniami płatów czołowych mózgu i zaburzeniami psychicznymi, jak zespół Tourette'a. Z kolei amerykański etyk biznesu James J. Kellaris w książce o wiele mówiącym tytule „Identyfikacja własności melodii, które utkwiły ci w głowie” wykazał, że większość przypadków dotyczyła piosenek ze słowami, a nie utworów instrumentalnych. I że na uporczywie



powtarzające się melodie cierpiało aż 98 procent badanych. Kellaris wymienił też cechy, które powinna mieć piosenka, by solidnie zależeć za skórę. Po pierwsze, powinna być prosta, po drugie, musi zawierać powtarzalne elementy (jak gitarowy riff), po trzecie, być kontrastowa w stosunku do słów (na przykład wesoła melodia i smutna warstwa liryczna).

Więcej informacji przynoszą prace Seana Bennetta z Uniwersytetu w Cambridge. Zdecydowana większość ankietowanych przez niego osób doświadczała *earworms* zaledwie przez parę godzin. To pocieszające, ale pamiętajmy, że zdarzali się też nieszczęśliwcy, którzy z nieproszonym gościem w głowie walczyli przez kilka tygodni, a nawet kilkanaście miesięcy. Okazało się też, że dźwiękowe insekty rzadko bywają całą piosenką. Trzy czwarte respondentów przyznaje, że nawiedza ich wyłącznie fragment kompozycji. Najczęściej jest to refren, zwrotka lub główny motyw, a początki utworów prześladowają częściej niż ich części środkowe czy końcowe. Jest dobra wiadomość dla fanów rocka progresywnego i jazzu: solówki uprzykrzały życie tylko jednemu procentowi słuchaczy.

## Przyczyny

Seana Bennetta można nazwać światowej klasy specjalistą od *earworms*. A raczej od MIR-ów (Musical Imagery Repetition), jak je określa. Szukając przyczyn zjawiska, przeprowadził ankietę wśród 503 osób z 33 krajów. Zauważył podobieństwo między fazą snu REM (wysoka aktywność mózgu, pojawiają

się marzenia sennie) a *earworms*. Uznał je za lustrzane odbicie neurofizjologicznych wzorców REM. I przypisał im podobną funkcję: narzędzia służącego stabilizacji wspomnień.

- Sądzę, że „zakotwiczenie się” muzyki w umyśle to skutek procesu filtrowania i utrwalania informacji. Podobnie dzieje się z informacjami podczas marzeń sennych. To naturalny, odruchowy sposób na kształtowanie się pamięci - mówi Bennett. Naukowiec kontynuuje badania. Kto chce mu pomóc, może wziąć udział w międzynarodowym eksperymencie Project MIR na stronie: [www.seanbennett.net/mir](http://www.seanbennett.net/mir).

Podobne wyjaśnienie podaje Oliver Sacks w „Muzykofili”.

Przytacza koncepcję swojego kolegi Alana Geista, który obstawia, że *earworms* to efekt tak zwanej adaptacji korzystnej z czasów łowiecko-zbierackich, bo „w dawnych epokach wędrującym ludziom łatwiej było rozpoznawać znajome miejsce, gdy wspomnienia dźwiękowe dawały do wzrokowych. A im częściej powtarzali te dźwięki, tym silniej zapisywały się w pamięci”.

Może więc to wcale nie choroba?

## Leczenie

Niestety, wciąż nikt nie odpowiedział na zasadnicze pytanie: jak z tym czymś walczyć? Internetowy serwis Earworm.com podaje kilkanaście sposobów eksterminacji mózgowych skorków: od cukierków cynamonowych i liczenia od tyłu, przez modlitwę, po celibat. Najbardziej sensowne wydaje się zagłuszenie

jednego robaka drugim, zwłaszcza że to samo wnioskuje ankietowani przez Bennetta i sam autor, powołując się na casus „myślenia o różowym słoniu” (a przy okazji: nie wolno ci myśleć o różowym słoniu!).

Earworm.com podaje nawet listę potencjalnych hitów służących do „zabijania klina klinem”. Jest na niej „Staying Alive” Bee Gees, „Don't Cry for Me, Argentina” z musicalu „Evita” i najbardziej oczywisty, śpiewany przez Kylie Minogue „Can't Get You out of My Head”.

## Skutki uboczne

Niektórzy postępują zgodnie z zasadą: skoro nie możesz z kimś wygrać, dołącz do niego, i zastanawiają się, jak *earworms* wykorzystać. Myron C. Warshauer, amerykański budowniczy wielopoziomowych parkingów, we wczesnych latach 80. XX wieku opatentował system używania namolnych melodii ułatwiający roztargnionym klientom rozróżnianie pięter. W jednym z takich budynków w Chicago na każdym poziomie non stop słychać było jakiś przebój. Jeśli kierowca zapomniał, gdzie zostawił samochód, wystarczyło, że skoncentrował się na tym *earworm*, który usłyszał, wysiadając z auta. Tytuły piosenek znajdowały się tuż obok przycisków z numerami pięter w windzie.

Sean Bennett zapytany o to, czy muzycznych natręctw można użyć w zbrojnych celach, chętnie wylicza korzyści: - Gdyby tylko udało nam się stworzyć metodę kreowania odpowiednich MIR-ów, można by z powodzeniem zastosować je na przykład w edukacji. To także świetny sposób na przekazywanie bardzo ważnych codziennych informacji, na przykład: „Pamiętaj, by zapiąć pasy w samochodzie”. Albo: „Pomagaj w walce o prawa obywatelskie”.

Równie ochoczo wymienia profity, które *earworms* przyniosły jemu: - Założyłem firmę Zingle.tv, która bada i licencjonuje reklamowe jingle najłatwiejsze do zapamiętania. Korzystam z wiedzy dostarczonej przez moje badania. Zingle.tv gwarantuje firmom, że melodie wykorzystane w ich reklamach utkwią w umysłach jak największej liczby klientów - tłumaczy.

Pamiętasz stereotypowe filmy katastroficzne, w których zbyt pewny siebie naukowiec, badając wirusa, niechcący powoduje wybuch globalnej epidemii? Cóż, najwidoczniej w tym przypadku stereotyp nie odbiega od rzeczywistości.





## „Vistula the men's world”

O swojej pasji do mody, inspiracjach kinem i trendach w najnowszej kolekcji na sezon wiosna-lato 2011 opowiada jej autor **Wojtek Bednarz**, główny projektant marki **Vistula**

### Kiedy zaczął pan się interesować modą?

- Może nie samą modą, ale szeroko rozumianym designem interesuję się od bardzo długiego czasu. Skończyłem liceum plastyczne, po liceum zastanawiałem się nad wydziałem projektowania mody na ASP w Łodzi, architekturą wewnątrz albo formami przemysłowymi w Krakowie. W rezultacie skończyłem grafikę w krakowskiej ASP, a dyplom zrobiłem z fotografii. W międzyczasie studiowałem także w SAPU w Krakowie. Rozrzut dosyć duży, ale gdzieś w tle zawsze była moda.

### Skąd pan czerpie inspiracje?

- Trudno jednoznacznie określić, co i kiedy może cię zainspirować - czasem działa to na zasadzie bodziec-reakcja, ale częściej są to tematy, które w jakiś sposób pojawiają się, dojrzewają i nawet trudno określić, jaka jest ich genealogia. To może być milion rzeczy: muzyka, książka, ulica, obraz. Często przeglądam stare gazety, ale gdybym miał jednoznacznie określić, co najbardziej, to powiedziałbym, że kino. Oglądając dobry film, fundujesz sobie wyciecz-

kę w czyjąś rzeczywistość. Połączenie treści, obrazu i muzyki jest niesamowitą inspiracją.

### Panuje opinia, że Polska jest modowym zaściankiem. Jakie jest pańskie zdanie na ten temat?

#### Czy coś się zmieniło w ciągu ostatnich lat?

- Myślę, że Polacy strasznie zepsuli sobie zwyczaje modowe w latach 80. i 90. Przy tym, co oferował polski rynek, każda rzecz przywieziona z Zachodu - bez względu na jakość lub standard - była luksusem. Wielu ludzi się pogubiło, zatarły się kanony ubioru. Teraz dużo podróżujemy, nabieramy nowych zwyczajów, powoli przestajemy się bać kolorów. Myślę, że zaczynamy wchodzić w okres unifikowania się - w sensie podążania za trendami ulica zaczyna wyglądać modnie, ale i czasami jednako. Nie jest to zły znak, ponieważ od tego tylko krok, żeby ludzie zaczęli szukać własnego stylu i doceniać jakość rzeczy, które noszą. „Dobre, bo polskie” musi być prząsne i zwyczajne czy można sobie pozwolić na większą ekstrawagancję?

- Może być dobre, polskie i wcale nie musi być

ani prząsne, ani ekstrawaganckie. Myślę, że nie doceniamy tego, co potrafimy, co możemy zrobić i co zostało już zrobione. Na przykład polski design - może nie ma szalenię długiej tradycji, ale to, co powstało chociażby w okresie powojennym, jest niesamowite. Cały czas pamiętam fantastyczną wystawę, która odbyła się dobrych kilka lat temu pod tytułem „Rzeczy pospolite” - to była prezentacja polskiego wzornictwa z XX wieku przez pryzmat rzeczy codziennego użytku: tkaniny, garnki, motor, lampy, zwykłe meble, wszystko to, co używane jest codziennie i do czego nie przykładamy zbyt wielkiej wagi. Okazało się, że był to zbiór pięknych, prostych i przemyślanych rzeczy. To otwiera oczy, ponieważ uświadamia, że Polacy ze swoją skłonnością do szukaniania dziury w całym bardziej skupiają się na tym, co nie wyszło, niż na tym, co się bardzo dobrze udało. Polska nie jest łatwym rynkiem dla pięknych rzeczy. Mamy w sobie jakąś dziwną narodową skłonność do przyziemności, rozgrzebywania przeszłości i obawy przed

rzeczami niestandardowymi. Nie znaczy to, że Polska kreatywność nie funkcjonuje. Myślę, że ma się całkiem dobrze, ale nie poświęca się jej zbyt dużo uwagi.

### Jak chcą państwo pozycjonować markę na rynku, do kogo kierujecie swoje kolekcje?

- Od kilku sezonów naszym hasłem jest The men's world, które w zasadzie mówi wszystkim. Vistula to trzy linie, każda z nich skierowana jest do trochę innego typu mężczyzny, ale wszystkie razem dają pełną ofertę. Lantier to klasyka, rzeczy wykonane metodą półtradycyjną, wykańczane ręcznie, uszyte z tkanin z najwyższej włoskiej półki. Wiadomo - *noblesse oblige*, więc to krawiectwo tradycyjne i najlepszej jakości, skierowane do klienta, który szuka ponadczasowej elegancji. Vistula - nasza główna linia - to codzienna klasyka, która nie jest w opozycji do trendów nie tylko w modzie, ale też w sposobie życia. Poza formalnym strojem oferujemy *soft casual*, bieliznę, dodatki, generalnie wszystko to, co powinno znaleźć się w szafie mężczyzny. Ostatnia linia to Vistula Red - tu znajdziemy rzeczy, które są mniej formalne, osadzone głęboko w aktualnych trendach. Nie chciałbym dzielić tego pod kątem wieku mężczyzn, ponieważ ktoś, kto ma 20 lat, równie dobrze może potrzebować klasycznego garnituru Lantier, i ktoś, kto ma 50 lat, może chcieć wyglądać nowoczesnie w marynarce Vistula Red. Wolę dzielić to ze względu na indywidualną potrzebę lub podejście do mody. Jeśli potrzebujesz kompletnej klasyki, wybierzesz coś z kolekcji Lantier, a jeśli chcesz trochę więcej luzu, to szukasz czegoś w kolekcji Vistula lub Vistula Red. Poza tym cały czas oferujemy w wybranych salonach usługę *made to measure*, czyli szycie na miarę - to głównie garniturów oraz koszule. Krótko mówiąc, Vistula to wysokiej jakości ubrania męskie - od pierwszego krawatu lub garnituru bez ograniczenia wiekowego wzwyż.

### Czy może pan opowiedzieć więcej o najnowszej kolekcji?

- Dla mnie najnowsza kolekcja to przyszłoroczne lato, ponieważ nad nim właśnie pracuję, ale żeby nie wybiegać zbyt daleko w przyszłość, może powiem coś więcej o tegorocznej kolekcji letniej. Moim głównym założeniem było zmierzenie się z archetypem garnituru, chciałem go zdjąć z postumentu i pokazać, że nie musi się kojarzyć tylko i wyłącznie z formalnym, oficjalnym strojem. Starłem się to zrobić głównie przez dobór tkanin, deseni oraz dodatków. Wiadomo, że Vistula to przede wszystkim klasyka - granat, czerń, szarości połączone z bielą lub błękitem. Tego oczywiście nie



Vistula właśnie ruszyła z kampanią kolekcji wiosna-lato 2011

zabraknie. Uklonem w kierunku formalnej klasyki jest chociażby użycie w kilku modelach garniturów tkanin o splocie super 160's - to gatunek tkanin, których używa się głównie w szyciu na miarę. Jeśli ktoś będzie szukał evergreenów, to na 100% może do nas przyjść i znajdzie to, czego potrzebuje. To baza kolekcji, ale jej innym aspektem jest w dużej mierze kolekcja stworzona dla linii Vistula Red. Zaczniemy od sylwetki - jest dopasowana, bliska ciała, anatomiczna. Nie zaburza naturalnych proporcji i skupia się na tym, co najlepsze. Delikatnie zaznaczone ramiona i zaakcentowana talia. Marynarki są krótsze, spodnie proste, klapy wąskie - to wszystko wysmukla męską sylwetkę. Następnym punktem jest dobór tkanin oraz dodatków. W kolekcji znajdzie się dużo typowo letnich tkanin (len lub wełna z lnem, bawełna, także tkaniny wykończone spraniem zmniejszającym) oraz lekkich deseni - kratki, delikatne prążki. Aby nadać klasycznemu garniturowi mniej oficjalnego wyglądu, użyłem drukowanej podszewki z motywami inspirowanymi pop-artem - taka podszewka powoduje, że garnitur lub marynarka nabiera nieco innego charakteru. To trochę efekt kolorowej bielizny pod smokingiem. Baza garniturowa oczywiście wzbogacona jest koszulami, dzianinami, kurtkami, dzinsowymi spodniami. Tu jest dość dużo koloru. Oczywiście poza klasyką widoczne są żywsze barwy - turkus, fiolet, lekkie odcienie oranżu oraz koralowa czerwień. Denim jest sprany, dzianiny lekkie i miękkie (głównie bawełna, bawełna z kaszmiem lub jedwabiem). Nawet niektóre krawaty mają typowo letni charakter. W kolekcji znajduje się grupa

takich, które są wyprodukowane ze specjalnie zmiękzonego lnu lub mieszanki lnu z jedwabiem. Tak zbudowana kolekcja daje możliwość stworzenia looku, który jest klasyczny, ale nie musi być oficjalny. To coś dla mężczyzn, którzy cieszą się swoją indywidualnością i potrafią czasem spojrzeć na życie z przymrużeniem oka.

### Wszystkie tkaniny sprowadza pan z zagranicy.

#### W jakim stopniu ich dobór odpowiada za sukces?

- W przypadku takich kolekcji, jakie robi Vistula, tkanina jest bardzo ważnym aspektem. Naszą wizytówką jest formalny strój męski z dużym naciskiem na garnitur. Trzeba tutaj zaznaczyć, że garnitur jest w modzie męskiej swego rodzaju fenomenem, ponieważ w zasadzie klasyczny wełniany garnitur w podobnej formie funkcjonuje od prawie stu lat. Wiadomo, że zmieniają się proporcje, modyfikuje się sylwetkę, ale nie są to rewolucyjne zmiany. To, co się zmienia, to tkaniny i właśnie one, oczywiście poza konstrukcją, są tym, co powoduje, że dobrze skrojona marynarka jest jak druga skóra lub staje się niekomfortowym pancierzem. Dobrze dobrana tkanina to nie tylko kolor, spłot lub deseń - to także odpowiednia gramatura materiału, odpowiednia przędza oraz jej parametry. Właśnie odpowiedni dobór odpowiada za sukces lub klęskę garnituru czy koszuli.

### Gdyby mógł pan stworzyć kolekcję z wielkim projektantem mody, to kto by to był?

- Jest wielu projektantów, których bardzo szanuję za różne rzeczy, na przykład Japończycy Johji Yamamoto lub Junya Watanabe, którzy w fantastyczny sposób interpretują europejską klasykę. Bardzo lubię Toma Forda za to, że nadaje mocny, indywidualny i trochę perwersyjny charakter większości rzeczy, które projektuje. Niesamowite są kolekcje, które Tomas Maier robi dla Bottega Veneta. Mógłbym tak wymieniać jeszcze długo, ale są dwie osoby, z którymi kiedyś chciałbym mieć możliwość współpracy - pierwsza to Dries Van Noten, a druga to Lucas Ossendrijver, który tworzy męską linię Lanvin. Obydwaj mają fantastyczną cechę - zawsze są trochę w opozycji do panujących trendów. Tworzą kolekcje, które są niesamowitą mieszanką prostoty z ekstrawagancją, ale ich ekstrawagancja nie jest ostentacyjna i ma w sobie bardzo dużo klasy i wyrafinowania.

### Zatem ma pan to szczęście, że pańska pasja jest połączona z pracą.

- Zgadza się. Bardzo lubię to, co robię, chociaż od czasu do czasu warto zrobić sobie chwilę przerwy, żeby nie popaść w rutynę.

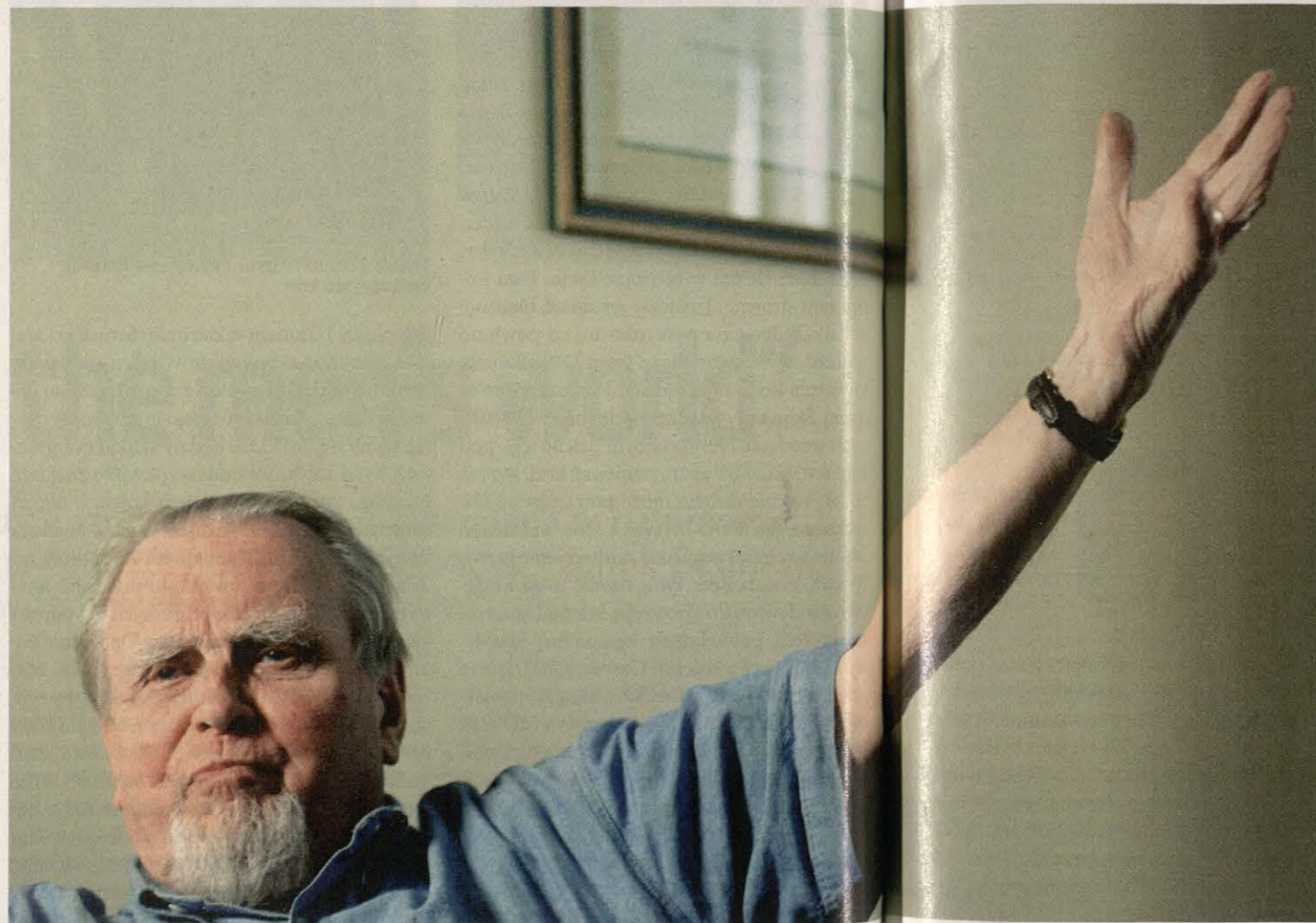




# Z czym do Miłosza?

Zaprojektowany na imponującą skalę Rok Miłosza będzie miał sens, jeśli zamiast nieprzytomnego brązownictwa przyniesie poważną rozmowę o twórczości noblisty. Łącznie ze zrywaniem zeń masek i tropieniem artystycznych słabości. Nawet jeśli taka dyskusja będzie boleć

MARCIN SENDECKI



„Więc jednak przetrzymałem was, moi wrogowie!” – pisał w późnym wierszu

Rok Miłosza jest być może ostatnim tak dużym przedsięwzięciem związanym z literaturą wysoką i z jednym tylko autorem w roli głównej. Nie wiadomo przecież, czy, powiedzmy, w roku 2021, w stulecie urodzin Tadeusza Różewicza, który niech żyje i tworzy nawet 150 lat, państwo znów zechce wyłożyć parę milionów na huczne obchody. Już za chwilę bowiem może się okazać, że wydawanie przez rząd dużych pieniędzy (w tym przypadku ponad siedem milionów złotych) na cokolwiek związanego

z poezją może wzbudzić społeczne protesty. Bo mało kto zdaje się pamiętać, że gdyby nie pisane dawno temu wiersze takich zapomnianych autorów jak Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki, żadnej Polski być może w ogóle by nie było.

## Polityka i zbawienie

Parę spraw jest poza dyskusją. Dzieło Miłosza jest niezwykle obszerne, różnorodne gatunkowo, niewątpliwie wybitne i godne najwyższej uwagi. Dane było poecie żyć długo, two-

żyć niemal do samego kresu żywota. Znać zaś koleje jego losu (Wilno i Warszawa przed wojną i za okupacji, lata w PRL-owskiej dyplomacji, emigracja paryska i wreszcie Berkeley, gdzie z przerażeniem oglądał kontrkulturę lat. 60 u źródła) czynią zeń jednego z najciekawszych świadków minionego wieku. Jest też tak – to jeden z wielu Miłoszowych paradoksów – że pisarstwo i życie poety obrosło komentarzami i że obok biblioteki jego książek mamy bibliotekę książek o nim; że trudno znaleźć autora, który udzieliłby tylu kome-

tujących własną twórczość wywiadów. Jednak biografii z prawdziwego zdarzenia ma się doczekać dopiero teraz. Potrzebnej wyjątkowo, bo sporo jest w jego pisaniu miejsc tajemniczych i nie całkiem zrozumiałych decyzji. Także politycznych.

Nie chodzi mi oczywiście o głośną przed paru laty żenującą historię przeciwstawiania „nie dość polskiemu” Miłoszowi „niezłomnego” Zbigniewa Herberta. Owszem, przy okazji procedury przyjmowania przez Sejm uchwały oficjalnie ustanawiającej rok 2011 Ro-

kiem Miłosza doszło także do standardowych scen gorszących – kilkoro posłów PiS przekonywało, że poeta był „antypolski” i zasadniczo „niegodny” takiego honoru. Zważywszy na utrzymane w tym duchu protesty związane z jego pochówkiem na Skałce, było to oczywiście do przewidzenia, ale z takim polityczno-umysłowym folklorem zdołaliśmy się przecież obyć na tyle, by nie zawracać sobie nim głowy. Wkrótce zamrze pewnie nawet dyskusja wokół osobistej krucjaty Miłosza przeciwko idealizacji II RP (a była to dlań w ostatnich latach sprawa bodaj najważniejsza – obok osobistego zbawienia). Odwoływanie się (lub nie) do przedwojnia w poszukiwaniu mitu założycielskiego III RP jest już passé. Teraz mamy mit smoleński – w groteskowym (niestety) opracowaniu Jarosława Marka Rymkiewicza i jego grafomańskich naśladowców. I można się obawiać – kolejny powód społeczno-politycznego braku zainteresowania dla następnych „literackich lat” – że jedyna literatura do czegokolwiek przydatna w codziennym życiu będzie właśnie zaangażowaną grafomanią.

Ciekawsze są idące w ślad za politycznymi sentymentami Miłosza sądy estetyczne. Na przykład lekceważenie twórczości Tadeusza Gajcego (któremu skądinąd poświęcił Miłosz piękny wiersz) i jego rówieśników z kręgu „Sztuki i Narodu”, których uważał za nieledwie faszystów. Symptomatyczne były też (pojawiające się zapewne nie

*Miłosza i Herberta sponiewierał recykling. Nieszczęście polega na tym, że rzecz zniekształcona w odbiorze zaczyna śmieszyć lub irytować*

FOT. ARTUR PAWŁOWSKI/REPORTER

bez związku z widokami na osobiste i ogólne „zbawienie”) ataki na autorów, którzy jakoby „odbierają wiarę i nadzieję” – od wyrzutów pod adresem idola lat młodzieńczych Jarosława Iwaszkiewicza po filipiki przeciw Philipowi Larkinowi. Współcześni autorzy ze zgniętego Zachodu w ogóle byli dla Miłosza – z małymi wyjątkami – odrobinę podejrzani. Zdawał się sądzić, że są nie dość wierzący i nie dość przez historię doświadczeni, by mieć cokolwiek istotnego do powiedzenia. To przekonanie (oraz różne zbiegi okoliczności)

legło też chyba u podstaw lansowanego przez Miłosza mitu o istnieniu „polskiej szkoły poezji” (sam Miłosz, Szymborska, Zagajewski, Maj etc.), której „tożsamość” opierać się miała na świadomym przetwarzaniu mrocznej istoty XX-wiecznej historii – czego jakoby nie potrafili, wobec braku stosownych doświadczeń, zblazowani poeci ze szczęśliwszych krajów. Widać to wyraźnie w dość horrendalnej rozmowie w redakcji „NaGłosu” na początku lat 90., gdzie Miłosz wyśmiewa amerykańskich poetów, którzy „nie mają o czym pisać”, więc zajmują się głównie opisywaniem kochanek i rozwodów, i gdzie z ust Miłosza pada też sławna (a raczej osławiona) kwestia: „Bo świat Becketta, powiedzmy, no to właściwie o czym... z czym do gościa?”. No właśnie, w samej rzeczy.

## Nobel i zniekształcenie

Nagroda Nobla – jakkolwiek szczęśliwa dla Miłosza i promocji pewnego typu polskiej poezji za granicą – ułatwiła też wyznawcze podejście do jego dzieła. On sam często próbował dystansować się od podsuwanej mu roli „poety narodowego” – by przywołać demonstracyjne spotkanie akurat z wiecznym outsiderem ówczesnej literatury Mironem Białoszewskim, gdy po Noblu odwiedził wreszcie Polskę, choć obaj w gruncie rzeczy podobno niewiele mieli sobie do powiedzenia. Raz pisał napuszoną odę do Lecha Wałęsy („Gorzko jest wiedzieć, co wiemy, Lechu Wałęso” i tak dalej), raz się jej wstydił i dostrzegał ograniczenia naszej literatury stanu wojennego w głośnym szkicu „Szlachetność, niestety”. Czasem jednak przyjmował nakładane mu maski po prostu z dobrodziejstwem inwentarza. A niekiedy sam je sobie nakładał.

Andrzej Sosnowski, jeden z najpilniej czytanych i najbardziej wpływowych dziś autorów, spytany niedawno o poezję Miłosza i Herberta ujął rzecz następująco: „Największy problem (...) to nie tyle ich pisanie, ile sposób recyklingu, jaki ich dotknął i sponiewierał. Nieszczęście polega na tym, że rzecz podlega rozmaitym (...) zniekształceniom w odbiorze i zaczyna śmieszyć lub irytować. Z drugiej strony jest jednak tak, że oni umożliwili taki (...) recykling. Nie przeciwdziałali mu, nie stawiali oporu”. Co do kwestii ostatniej – można zadać pytanie, co właściwie skutecznego mogli Miłosz i Herbert uczynić wobec takich dla nich zasadniczo miłych przecież praktyk, ale o to mniejsza.

Ważne są skutki krytycznego i medialnego recyklingu – prostota komunikatu →



# O roku ów: lekcje dla początkujących i zaawansowanych

**P**ieniędzy jest sporo: na ministerialny program Promesa Czesław Miłosz 2011 przeznaczono siedem milionów złotych, które w większości już rozdysponowano, po części także na projekty zagraniczne, na przykład na Litwie. Obecnie trwa „dogrywka” – analiza dodatkowego naboru wniosków o dotacje, które można było składać do końca lutego. Osobne środki przewidziano w budżecie kulturalnym polskiej prezydencji, są też kulturalne budżety wojewódzkie i miejskie. Działa już oficjalna całkiem obfita strona [www.milosz365.pl](http://www.milosz365.pl) (także w wersji angielskiej i rosyjskiej), skąd przekierować się można w inne miłoszowe rejony Internetu, na przykład na specjalną stronę Polskiego Radia. Natomiast na stronach Instytutu Książki znaleźć można listę zaakceptowanych (oraz odrzuconych) dotąd projektów (wyniki dodatkowego naboru poznamy najprawdopodobniej w połowie kwietnia), na które przyznano przeszło pięć i pół miliona złotych. Wniosków w owym

pierwszym naborze złożono 311, za poprawne uznano 201, pozytywnie rozpatrzono 57 – co się przełoży na kilkadziesiąt publikacji, kilkaset imprez (licząc osobno poszczególne elementy festiwalu oraz projektów wieloimprezowych) i tak dalej. Wkrótce na stronach Instytutu znajdzie się także sukcesywnie uzupełniane kalendarium wszelkich dedykowanych Miłoszowi wydarzeń w Polsce i na świecie.

Jak się można było spodziewać, gatunkowo rozróżni projektów jest ogromny. Od przeznaczonych dla ledwie początkujących (ministerstwo chce zresztą uzyskać także efekt wzrostu czytelnictwa) do działań zaawansowanych. Od projektów czysto edukacyjnych – jak całoroczny cykl czytań i warsztatów w wielkopolskich bibliotekach pod tytułem „Czego nas uczy Czesław Miłosz?” – po liczne wystawy krajowe (wśród nich najbardziej ekscytująco zapowiada się chyba ta „dokumentująca” związki Czesława Miłosza z Po-

morzem”) i objazdową „wystawę planszową w Hiszpanii, Argentynie, Urugwaju, Peru, Ekwadorze, Boliwii, Wenezueli, Panamie”. Nie obejdują się też bez występów raperów czy slamów (co ma być pewnie arką przymierza między noblistą a młodzieżą, która gdy sobie posłamuje, to go niechybnie doceni) i paru przedsięwzięć muzycznych – Aga Zaryan w kwietniu wyda płytę z angielskimi przekładami Miłosza, zaśpiewają go także Ballady i Romanse (marzec), a na wrześniowym festiwalu Sacrum Profanum wykonane zostaną inspirowane twórczością Miłosza utwory Pawła Mykietyna, Agaty Zubeł i innych kompozytorów.

Punktami kulminacyjnymi będą dwa festiwale (częściowo pokrywające się programowo – na obu gościć będą między innymi od lat kandydujący do Nobla poeci Adonis i Bei Dao): II Festiwal Literacki imienia Czesława Miłosza (9–15 maja, Kraków, organizowany nominalnie przez Krakowskie Biuro Festiwalowe, w istocie przez Znak) oraz Festiwal Czesława Mi-

łosza we Wrocławiu (11–15 maja, wydawnictwo EMG). Spośród książek natomiast najniecierpliwiej oczekiwana jest 900-stronicowa biografia Miłosza napisana przez Andrzeja Franaszka (Znak, początek maja, zawierająca nieznaną dotąd źródła, niespodzianki i oddająca liczne komplikacje życia poety). Interesująco zapowiada się też książka Zeszytów Literackich „Czesław Miłosz/Jarosław Iwaszkiewicz. Portret podwójny” z korespondencją i innymi tekstami w opracowaniu Roberta Papieskiego. Najciekawszym projektem „politycznym” natomiast może się okazać „Miłosz. Przewodnik Krytyki Politycznej” (listopad), który potraktować ma różne aspekty „polityczności” Miłosza w sposób „nieanachroniczny”, cokolwiek miałyby to dziś znaczyć.

Interesująco i zacie zapowiada się też wrześniowy polsko-białorusko-ukraińsko-litewski festiwal Wielkie Księstwo Poezji w Mińsku organizowany przez Muzeum Literatury w Warszawie.



**Andrzej Franaszek** zapowiada niespodzianki w biografii poety



**Adonis (Ali Ahmad Sa'id Isbir)** to od lat żelazny kandydat do Nobla



**Jarosław Iwaszkiewicz** – idol młodego Czesława Miłosza



**Chiński poeta Bei Dao** od 1987 roku mieszka na emigracji

→ o „wielkości”, sławieniu odpowiednich „wartości”, stosownej „głębi” przekazu. Recykling zakłada też swoistą monokulturę: skoro „wielki” jest Miłosz, dla innych wielkości zazwyczaj brakuje już miejsca. Na tym polu wszystkich przebił chyba na początku obecnego wieku Michał Cichy, który w „Gazecie Wyborczej”, posiłkując się dość wątlą argumentacją, ogłosił, że Miłosz jest geniuszem większym niż Mickiewicz i Goethe – bodaj czy nawet nie razem wzięci.

Jednak rzecz nie w jawnych aberracjach, lecz w przyjęciu założenia, że Miłosz jest oczywistym „punktem dościa” całej polskiej (i nie tylko) poezji, która po jego odejściu winna skupić się na rozwijaniu oraz pielęgnowaniu idei i praktyk swego Mistrza.

Nieco mniej radykalna jest postawa, którą streścić można w zdaniu, że podstawowy problem z dziełem Miłosza związany polega na tym, iż wciąż jeszcze nie w pełni jego wielkość i znaczenie pojmujemy. Uważać tak to jest oczywiście dobre prawo każdego czytelnika i badacza, ale zdaje mi się, że nie jest

to dobry punkt wyjścia do rzeczowych badań, dyskusji czy wreszcie zwykłej lektury. I zdaje mi się, że nie byłoby dobrze, gdyby taki był punkt wyjścia większości imprez Roku Miłosza – choćby dlatego, że nie powinno się finansować jednej tylko poetyckiej kapliczki kosztem na przykład Leśmiana, Peipera, Przybosia, Białoszewskiego, Ważyka, Iwaszkiewicza, Wata, Karpowicza, Wirpisy, Różewicza, Miłobędzkiej, by wymienić tylko kilka oczywistych nazwisk, bez których nie sposób sobie wyobrazić naszej poezji. Miłosz, mimo wszelkich językowych piękności, obejmuje jednak dość wąski zakres możliwości polszczyzny. Kłopot w tym, że właściwie wszyscy wyżej wymienieni znacznie lepiej opierają się upupiającemu „recyklingowi”, co w większości skutecznie odbiera im szansę przedarcia się do obiegu szerszego niż specjalistyczny. Koło się zamyka.

## Rozmaite zaczepki

Zadziwiająco, że zdaniem niektórych wyznawców Miłosza jego niemal niekwestio-

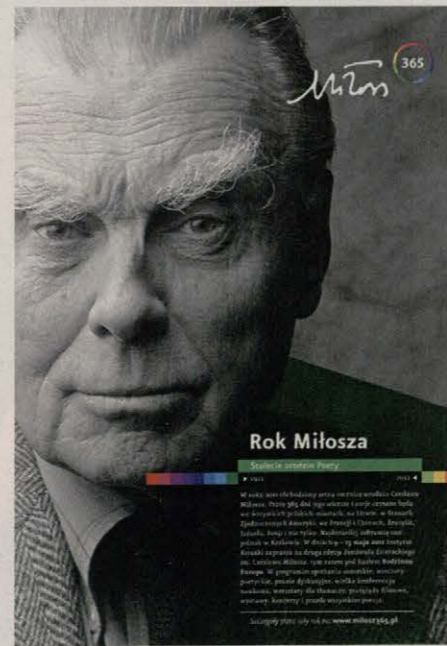
wana pozycja w ciągu ostatnich lat podlega jakoby zasmucającej, szkodliwej i niezrozumiałej degradacji. Dość przypomnieć poświęconą temu dyskusję na łamach krakowskiej „Dekady Literackiej” (nr 4/2009) pod tytułem „Jednym kopnięciem strącony w limbo? O recepcji twórczości Czesława Miłosza w latach 2004–2009”. Szef Znak Jerzy Illg, jeden z najzbarliwszych kapłanów kultu Miłosza, powiedział w niej: „Ponieważ jego obecność w ostatnich kilkunastu latach była tak niesłychanie intensywna, że na tle tej intensywności tym bardziej odczuwa się teraz jego nieobecność, tym bardziej jest ona teraz dotkliwa. Bo przecież on wydawał w ostatnich latach swojego życia po dwie, czasem trzy książki rocznie. Dla wszystkich młodych poetów, krytyków to był – myślę – wielki problem, oni nie mieli odwagi go frontalnie zaatakować. Rozmaite zaczepki jednak się pojawiały, ale ze strony adwersarzy, których trudno uznać za poważnych partnerów – byli oni w stanie dostrzec co najwyżej jego skarpetkę czy mankiet od spodni. Nie ogarniali w ogóle horyzontów, wymiaru tego



Stockholm, rok 1980. Miłosz odbiera noblowski medal dyplom

zjawiska, natomiast pozwalali sobie na różne uszczypliwości i rodzaj wojny podjazdowej. To wynika także z faktu, że są poeci (nie chcę tu operować nazwiskami), dla których Miłosz stał się pewnym rodzajem obsesji. Był to wielki wierzchołek, który zasłonił widok na resztę polskiej poezji. (...) Dla wielu z aspirujących poetów Miłosz był problemem, bo po prostu nie było ich zza niego w ogóle widać – stąd rozmaite ataki i złośliwości”.

To dość symptomatyczna wypowiedź, także pod względem jej tonu, lekceważącego wszelkie formy życia jakkolwiek krytyczne czy też nie dość czołobitne wobec Miłosza. Wypowiedź, która w zasadzie uniemożliwia jakąkolwiek poważną rozmowę, zakładając, że wszystko, co od Miłosza pochodzi, brać trzeba za najlepszą monetę i prawdę objawioną. To także był powód, dla którego w owych latach nie bardzo chcieli się komuś z wyznawcami Miłosza boksować. Kiedy parę lat wcze-



Rok Miłosza

ściej kilka bolesnych ciosów zadał nobliście Piotr Sommer, który odrzucił też nagrodę Miłosza, kiedy ten postanowił takową przyznawać, został – zasadniczo rzecz biorąc – zignorowany. Choć mówił o sprawach dla poezji najważniejszych, na przykład o tym, że Miłosz „zarzucił pracę nad językiem (polskim) nazbyt pochopnie, a w niektórych przypadkach nazbyt ostentacyjnie”. I o tym właśnie – proszę wybaczyć wyrażenie – warto w czasie Roku Miłosza rozmawiać. Nie tylko o tym, jak świetne były „Trzy zimy” czy „Świat. Poema naiwne”, czy „Gucio zaczarowany”, lecz także o okropnym „Sarajewie” („Kiedy zabijany i gwałcony kraj wzywa pomocy Europy, w którą uwierzył, oni ziewają. (...) // Oby zdrżeli i w ostatniej chwili spostrzegli, że odąd słowo/Sarajewo znaczyć będzie zagładę ich synów i pohańbienie/ich córek” – czyli napisana przy tragicznej okazji wojny w Bośni autokarykatura „stylu wysokiego”) albo nieszczęsnych przekładach haiku (to właśnie w nich między innymi Sommer dostrzegał nieporadności Miłoszowej polszczyzny).

## Inne gry hazardowe

Miłosz był ważnym poetą. Ale jego rok będzie udany tylko wtedy, gdy będzie rokiem nie tylko Miłosza, i nie tylko nieomylnego i nieproblematicznego Miłosza. I tego bym się chciał po nim spodziewać.

Bo dopiero po oczyszczeniu przedpola da się owocnie rozmawiać. Na przykład o najpóźniejszych wierszach Miłosza, które z biegiem lat zdają się nabierać coraz większego blasku; w których poeta podejmuje próby uwalniania się od masek, które mu nakładano i które sam sobie nakładał; w których odkrywa się, pokazuje słabości i często wzruszająco tłumaczy się z dawnych wyborów. Na przykład o próbie reanimacji poezji religijnej w „Traktacie teologicznym” – koniecznie pamiętając także o wspaniałym poemacie Witolda Wirpisy „Liturgia” (napisanym w połowie lat. 80). Warto spróbować.

„Nie wydaje się, aby ryzyko samodzielniego myślenia pociągało Polaków silniej od innych gier hazardowych” – napisał kiedyś Jerzy Stempowski. Ale trzeba spróbować. ●

REKLAMA

mecenas

sponsor



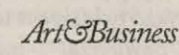
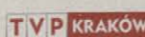
MECENAS MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE



NA WYSOKIEJ POŁONINIE

SZTUKA HUCULSZCZYZNY HUCULSZCZYZNA W SZTUCE

patroni medialni



MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

18.03.2011 – 29.05.2011

[www.muzeum.krakow.pl](http://www.muzeum.krakow.pl)



# Jesteśmy z Björk jak matka i córka

**Wszyscy – od lekarzy po bohaterów seriali**

**– mówią mi, że powinienem znaleźć swój wewnętrzny głos. A ja nie wiem, czy go mam.**

– Każdy ma, ale nie u każdego objawia się tak samo. Jedni dzięki niemu śpiewają, inni piszą. Najważniejsze to znaleźć połączenie z samym sobą i wsłuchać się, co ów głos do nas mówi.

**Ale jak to zrobić? Jak pani się udało?**

– Śpiewałam już jako małe dziecko i poprzez śpiew znalazłam to połączenie. Wsłuchuję się w ten wewnętrzny głos czy nawet głosy poprzez ciszę. Codziennie jesteśmy atakowani ogromną ilością informacji, więc żeby usłyszeć mój wewnętrzny głos, muszę to wszystko odrzucić i znaleźć odrobinę spokoju.

**Jak odkryła pani, że głos można wykorzystywać nie tylko do odśpiewywania melodii?**

– W szkole podstawowej i średniej brałam lekcje śpiewu, ale niewiele się ruszałam. Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku, skupiłam się na ruchu, geście, wyglądzie. Gdy zatęskniłam za śpiewaniem, usiadłam do pianina i zaczęłam klasyczną wokalizę... Nagle mnie olśniło! Zrozumiałam, że mogę potraktować głos dokładnie tak samo jak ciało. Mój głos może być instrumentem, mogę wypracować dla niego unikalny słownik, połączyć pierwiastek męski i żeński. Uświadomiłam sobie, że podobną rolę głos odgrywał w starożytności. No i zabrałam się do rygorystycznej pracy. Zaczęłam od skali. Wspinałam się coraz wyżej i wyżej, a potem schodziłam niżej...

**Jak pani rozśpiewana rodzina reagowała na te eksperymenty?**

– Mój dziadek, Rosjanin śpiewający pięknym bas-barytonem, już wtedy nie żył, a pozostali... Chyba nie bardzo za tym nadążali (*śmiech*). Nasi wspólni przyjaciele czasem tłumaczyli mojej rodzinie, co się kryje za moimi projektami, i to było bardzo pomocne. Mama była profesjonalistką, świetnie śpiewała, występowała w telewizji i radiu. Pewnego dnia napisałam piosenkę z myślą o niej i jej dwóch koleżankach wokalistkach. „Skąd ty bierzesz te wszystkie dziwne nuty? Z powietrza?” – nie

**O szukaniu wewnętrznego głosu, tym, co trwałe w nietrwałym świecie, opowiada nam MEREDITH MONK, gwiazda tegorocznego wrocławskiego Przeglądu Piosenki Aktorskiej**

ROZMAWIA JAREK SZUBRYCHT



„Skąd ty bierzesz te wszystkie dziwne nuty? Z powietrza?” – pytała Meredith Monk matka. Mimo to zaśpiewała jeden z jej utworów

mogła się nadziwić, ale zaśpiewały to wspólnie. Mama zawsze mnie wspierała.

**W komponowaniu muzyki z myślą o konkretnych głosach musi być coś z psychologii.**

– Kiedy komponuję, myślę o tym, jak sama będę ten utwór wykonywać, i o osobach z mojego zespołu. Głos jest nierozdzielnie złączony z ciałem, więc tak je traktuję – jako integralną całość. Oczywiście są pewne ograniczenia. Z instrumentów smyczkowych możesz wydobywać bardzo długie dźwięki, a tu ogranicza cię oddech. Jednak spotykam wielu muzyków, którzy chcieliby robić ze swoim instrumentem to, co ja potrafię zrobić z głosem.

**Zapewne dlatego nie przepada pani za nowymi interpretacjami swoich utworów.**

– Najmniej podobają mi się nowe wersje moich solowych kompozycji, bo większość artystów próbuje powielać to, co zrobiłam, i to źle brzmi. Doszłam do wniosku, że dopóki żyję, ten, kto chce śpiewać te utwory, musi popracować nad nimi pod moim kierownictwem. Niech to będzie coś w rodzaju tradycji ustnej przekazywanej bezpośrednio drugiemu człowiekowi. Ostatnio jednak trochę się ugłębiałam... Od dekady pracuję z firmą Boosey & Hawkes, która opracowuje głównie moje utwory chóralne. To też nie jest proste – te wszystkie warstwy, kolory, ale i tak łatwiej zapisać je w taki sposób, by inni mogli je wykonać. To bardzo powolny proces, do tej pory skończyłam tylko dwie partytury na chór i jeden zeszyt z utworami fortepianowymi. Ale staram się.

**„Gotham Lullaby” w wykonaniu Björk również nie przypadło pani do gustu.**

– Bardzo mi się spodobało. Ucieszyłam się, że nie próbowała mnie naśladować, ale zachowała szacunek dla oryginału. Jedną z amerykańskich stacji radiowych zorganizowała nam później wspólny wywiad i Björk przysłała znakomicie przygotowaną. Okazało się, że zasłuchiwała się w mojej muzyce jako nastolatka, opowiadała o swoich emocjach i w pewnym momencie obie się popłakałyśmy. Myślę o niej niemal jak o duchowej córce. Napisałam nawet utwór z myślą o Björk. Z tego, co wiem, ona też coś przygotowała – pod koniec kwietnia mamy to nagrać. Cieszy nas perspektywa kolejnego spotkania.

**Dostać się do pani zespołu to niełatwa sprawa?**

– Przez lata miałam szczęście. Poznawałam różnych ludzi i ufałam intuicji. Zapraszałam do współpracy artystów młodych, którzy dorastali w moim zespole. Wychowywałam ich aż do momentu, kiedy mój artystyczny język stawał się ich drugą naturą. Tak było aż do „Atlasu”, do 1990 roku – wtedy zorganizowałam

przesłuchania, bo do opery potrzebowałam ludzi, którzy potrafią ustawić głos. Zgłosiło się 300 wokalistów, wybrałam 15. Bardzo dobrych technicznie i otwartych, by nie bali się spróbować innych sposobów wykorzystania strun głosowych. Musieli też umieć odpowiednio się ruszać. Nie szukałam profesjonalnych tancerzy, chodziło mi o kogoś, kto nie boi się pracować z własnym ciałem.

**Jak wyglądają takie przesłuchania?**

– Zwykle stajesz przed komisją i przez kilka minut śpiewasz jakąś popisową arię, ale dla mnie to strata czasu. Zorganizowałam im więc coś w rodzaju dwugodzinnych warsztatów, obserwowałam, jak krok po kroku zmierzają w kierunku, którego oczekiwałam. Niektórzy są w moim zespole do dziś, na przykład Katie Geissinger, z którą przyjeżdżam do Polski. Ludzie wytrzymują ze mną długie lata.

**Podobno nie lubi pani być porównywana z minimalistami, co nader często się zdarza.**

– Nie lubię (*śmiech*). To szufladka, a całe życie poświęciłam uciekaniu od szufladek. Bardzo cenię minimalistów, ale to zamknięte środowisko, generacja kompozytorów nieco starszych ode mnie, znacznie mocniej niż ja osadzonych w muzycznej tradycji. Bardzo wysoko cenię La Monte Younga czy Terry'ego Riley'a, ale ich muzyka jest wyłącznie instrumentalna, oparta na powtarzających się wzorach, do tego wyraźnie nawiązująca do estetyki rocka – to po prostu nie ja. Moje korzenie to muzyka folkowa, śpiewacy ludowi, emocje. Mnie interesowały eksperymenty z głosem, chciałam stworzyć abstrakcyjne piosenki. **Może w tych porównaniach do minimalistów chodzi o to, że podobnie jak oni nie boi się pani ciszy?**

– Ha! Taka interpretacja bardzo mi odpowiada (*śmiech*). Kiedy po raz pierwszy usłyszałam Arvo Pärta, natychmiast poczułam, że wiele nas łączy. Chociaż jego kompozycje osadzone są bardzo mocno w tradycji muzyki chrześcijańskiej, której u mnie chyba nie sły-

## Meredith Monk

Nowojorska kompozytorka, wokalistka, choreografka, reżyserka... Jej dorobek jest nie tylko bogaty (współpracowała między innymi z Kronos Quartet, nagrywała dla ECM i Tzadik, jej muzykę wykorzystywali w filmach bracia Coenowie i Jean-Luc Godard), ale też łączy wiele dziedzin sztuki. Ruch, obraz i dźwięk spletają się w jej utworach w nierozdzielną całość, a nad wszystkim dominuje unikalna technika wokalna Monk. Artystka będzie gwiazdą Przeglądu Piosenki Aktorskiej (wystąpi 18 i 19 marca) we Wrocławiu.

chać, mamy podobne wycucie przestrzeni w dźwięku.

**Skoro o tradycji chrześcijańskiej mowa, utwór, który wykona pani we Wrocławiu – „Songs of Ascension” – ma charakter religijny, prawda?**

– Duchowy, ale niekoniecznie religijny... Nie chodzi o wniebowstąpienie Chrystusa, lecz o wertykalne i horyzontalne zorganizowanie przestrzeni, która nas otacza. Mój przyjaciel Norman Fischer, znakomity poeta i były opat San Francisco Zen Center, tłumaczył kiedyś psalmy. Przełożył je na współczesny angielski, ale przez pryzmat buddysty, i bardzo to było ciekawe. Polecili mi też piękne wiersze Paula Celana, rumuńskiego poety, który cudem przeżył II wojnę światową. To były główne źródła inspiracji. Za ich sprawą odkryłam starożytny rytuał polegający na wnoszeniu wysoko w góry ofiary z najlepszej części zbiorów. Na samym szczycie było 15 schodów, na które mogli wejść już tylko mężczyźni, co nieco mniej mi się spodobało (*śmiech*). Od razu pomyślałam sobie: „Wow, ciekawe, jak to wszystko brzmiało?” – i każdemu z tych 15 stopni poświęciłam utwór, każda z pieśni „Songs of Ascension” jest kolejnym krokiem ku świątyni, która znajduje się na szczycie. Podobne rytuały znajdziesz w wielu innych tradycjach – w buddyzmie tybetańskim, który sama praktykuję, w religii Majów... Z kolei Indianie, rdzenni mieszkańcy Ameryki, szli w przeciwnym kierunku, do wnętrza ziemi.

**Jeden z najbardziej znanych pani utworów „Impermanence” traktuje o ulotności życia.**

**Nie mamy szans na nic trwałego?**

– Wszystko zależy od perspektywy. Kiedy pracowałam nad „Impermanence”, zaczęłam dostrzegać te wszystkie paradoksy, bo przecież płyta kompaktowa, na której utwór został zapisany, przetrwa bardzo długo.

**Ale w końcu się utleni...**

– No właśnie, plastik też kiedyś się rozpadnie. Podobnie jak my. Za sto lat nie będzie już żył nikt, kogo dzisiaj znamy. Mam nadzieję, że duch sztuki ma w sobie coś trwałego, że wyobraźnia przechodzi z pokolenia na pokolenie. Miłość również jest trwała, ona zostaje, nawet jeśli odchodzą ludzie, których kochamy. Może to banalne, ale tak właśnie jest.

**Jak tu żyć z tak dojmującym poczuciem przemijania?**

– Powinniśmy spędzać więcej czasu na okazywaniu wdzięczności za to, co mamy, niż na narzekaniu. A jeśli coś trzeba zmienić, zmieniajmy to natychmiast. Im jestem starsza, tym większą mam świadomość, że nic nie trwa wiecznie, więc tym bardziej cenię wszystkie dobre chwile w życiu. ●



# Wciąż bardziej obcy

„Jedni wspinają się na Himalaje, a ja wybrałem Saską Kępe” – JOHN PORTER został w Polsce, by się sprawdzić. I sprawdził się. Znowu nagrał świetną płytę

JAREK SZUBRYCHT

**W** alijczyk, lat 62, od 35 lat w Polsce. Skąd tu się wziął? Jego ojciec był tapicerem, zręcznym rzemieślnikiem. Uwielbiał malarstwo, a w wolnych chwilach grywał na... łyżkach. Innego instrumentu nie zdołał opanować, bo jak to ujął John, musiał pójść na wojnę, bić się za polityków. Za to kiedy dostrzegł, że syn ma talent muzyczny, kupił mu gitarę akustyczną i mikrofon i zachęcał go do komponowania. Zabrał też młodzieńca na koncert Beatlesów. Oprócz pisku fanek nie było nic słychać.

## Hipis na wakacjach

John Porter studiował politologię w Sussex pod Londynem, ale większość czasu spędzał w stolicy. Jak jego rówieśnicy szukał oświecenia, dobrej zabawy i dobrej muzyki. W Hyde Parku i londyńskich klubach grywali wszyscy – od Stonesów, przez Hendriksa, po Floydów. A kiedy odpowiednie służby zaczęły przemieniać angielskie lato miłości w jesień średnio-wieczna, Porter zarzucił gitarę na ramię i ruszył w świat. Na dłużej zakotwiczył w Berlinie Zachodnim, w amerykańskiej bazie wojskowej. Ale nie zaciągnął się – pracował w sekcji cywilnej, przy dostawie warzyw.

Pewnego dnia wpadł mu w oko plakat reklamujący wakacje w Polsce. Porter postanowił sprawdzić, jak żyje się ludziom za żelazną kurtyną. Pojechał raz, drugi, w pociągu poznał Polkę, która go zauroczyła. Do dziś nie wrócił z tych wakacji... – Ten szok kulturowy dobrze mi zrobił – wspomina muzyk. – Potrzebowałem go, żeby się obudzić z kolorowego snu, który śnił się na Zachodzie. Jedni wspinają się na Himalaje, a ja wybrałem Saską Kępe w latach 70. i kolejkę, w której stałem z kolegą

po lodówkę. Wtedy przekonałem się, że może nie jestem aż takim draniem, jak myślałem.

– W tamtej Polsce wszyscy byli równie biedni, ale każdy był gotów podzielić się tym, co ma. Wspaniale było to, jak wszyscy sobie nawzajem pomagali – Johnowi na obcej ziemi pomocną dłoń podał między innymi Tomasz Thuczkiwicz, ówczesny prezes Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, przedstawiając Walijczyka Markowi Jackowskiemu.

## Mobilizacja

Tak powstała grupa Maanam Elektryczny Prysunic. Jej oficjalnego fonograficznego debiutu John jednak nie doczekał. Odszedł z zespołu w 1979 roku, gdy Kora i Marek nie doje-

chali do Wrocławia na koncert. Z poznanymi tam muzykami założył własną kapelę.

W 1980 roku ukazała się debiutancka płyta Porter Band „Helicopters” i lider grupy z dnia na dzień stał się w obcym kraju gwiazdą. Na krótko, choć album to jeden z absolutnych klasyków polskiego rocka. – Do zmurszałej Polski przywiózł brytyjską świeżość i otwartość na nową muzykę – mówi Leszek Gnoiński, współautor „Encyklopedii polskiego rocka”. – Słychać to na „Helicopters”, gdzie połączył tradycyjny rock ze święcącą triumfy na Wyspach nową falą. Potem zamienił gitarę elektryczną na akustyczną, ale i na niej stworzył kilka niezapomnianych utworów. Media go jednak ignorowały – śpiewał po angielsku.

Gdy przyszedł stan wojenny, cenzura aresztowała koncertową płytę „Mobilization”, a kiedy wreszcie materiał się ukazał, zespół był w rozsypance. Potem John wciąż nagrywał i koncertował – czasem robił za barda (nie tylko z własnymi piosenkami: z Maciejem Zembatym grywał Cohena), to znowu wracał do rockowego czadu. Nagrywał płyty dobre lub bardzo dobre, ale bez rynkowego powodzenia. Kto nie zna „Magic Moments”, „One Love” czy „Alexander”, musi uwierzyć na słowo, bo większości krążków Portera nie można dostać. Kilka lat temu ukazał się retrospektywny boks „Why?” zawierający materiał z 12 albumów artysty, ale nakład już dawno się wyczerpał. – Sam chciałem kupić, ale już nie ma. Wznowień chyba nie będzie, bo po co? – lekceważy rynkowe niedobory John. – Nie wiem dlaczego, ale niewiele fanów mam na Dworcu Centralnym. Baseballowa czapeczka, długie włosy, wyraźnie widać, że coś w życiu im nie wyszło. Nigdy nie proszą o pieniądze, tylko grzecznie się kłaniają: „John, moje uszanowanie”. To jest mój największy fan club – śmieje się Porter.

Na szczęście doceniają go nie tylko rezydenci podziemi Centralnego – w 2005 roku artysta otrzymał medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” i autentycznie się z niego ucieszył. – Może to nierockandrollowe, ale mam to w dupie – mówił w wywiadzie dla „Playboya”. Odznaczenia nie odebrał, był w drodze na koncert.

## Wyciskarka do czosnku

Nie tylko urzędnicy, ale i fani muzyki przypomnieli sobie o nim za sprawą scenicznego i domowego duetu z Anitą Lipnicką, była wokalistką Varius Manx. Płyta „Nieprzyzwoite piosenki” (2003) zachwycała fanów, a uwagę plotkarskich mediów zwróciła różnica wieku między nim a nią. Ale co tam metryka, skoro wszystko inne się zgadzało. – Nigdy wcześniej nie czułam się w związku tak zrozumiana. John lubi i ceni kobiety ambitne, wyraziste. Nie ma w nim nic z prowincjonalnego macho chcącego usidlić czy poskromić swoją panią. Jest dla mnie przede wszystkim przyjacielem, ogromnym wsparciem w dążeniu do spełnienia. To cecha unikatowa, rzadko spotykana w męskim świecie – skoro Anita wystawia Johnowi takie laurki, to brukowce rychło zrozumiały, że nie mają tu czego szukać. Marsowa mina Portera też nie zachęca paparazzich.

Czy za zamkniętymi drzwiami jest równie oschły i nachmurzony? A może w domowych bamboszach nieco mięknie? Sam twierdzi, że rodzina to dla niego trudny eksperyment,

ale być może i w tej dziedzinie – jak w muzyce – za dużo od siebie wymaga. Jego partnerka bowiem ma inne zdanie. – Nie taki diabeł straszny, jak go malują! – mówi nam Lipnicka. – Zewnętrzny wizerunek Johna ma niewiele wspólnego z jego udomowioną wersją. Niedostępny dla świata, wieczny outsider z szorstkim charakterem jako ojciec i partner mógłby spokojnie zawalczyć o tytuł wymarzonego męża w rankingach kolorowych pism kobiecych. Wspaniale się sprawdził, gdy wspólnie oczekiwaliśmy przyścia na świat naszej córki, asystował przy porodzie, potem dzielnie stawił czoła wszystkim obowiązkom i był dla mnie ogromnym wsparciem podczas pierwszych miesięcy macierzyństwa. Mimo dość zaawansowanego wieku jak na młodego ojca świetnie radzi sobie z wyzwaniem i nie stosuje żadnych uników. Zawsze jest na miejscu, potrafi zająć się dzieckiem i całkowicie przejąć opiekę nad domem.

– W kuchni to on króluje, gotowanie sprawia mu wiele radości i jest w tej dziedzinie zdecydowanie lepszy ode mnie – kontynuuje swoją laudację Lipnicka. – Ogarnia też wiele innych tematów życia codziennego. Doszło nawet do pewnej, nieco wstydliwej dla mnie sytuacji; kiedy to ja zostaję sama na polu bitwy podczas jego wyjazdów na koncerty, dzwonię co 15 minut z pytaniami typu: „Gdzie trzymamy wyciskarkę do czosnku?”. Albo: „Jak nastawić tę cholerną pralkę?”.

Czego ten chodzący ideał oczekuje w zamian? Od czasu do czasu chwili samotności, która pozwala mu skupić się na pracy. Żeby jego najnowsza płyta mogła powstać, Anita zabierała Polę na weekend do swojej mamy. Porter, urlopowany chwilowo od czasochłonnej roli taty, brał wtedy do ręki gitarę i pisał piosenki. A Lipnicka po powrocie do domu sprawdzała, czy aby nie mamował czasu.

Kiedy materiał był gotowy, John pojechał do swojej ojczyzny z przeświadczeniem, że tylko tam jego nowe piosenki nabiorą blasku. Ale z nagraniem płytą – znakomitą „Back in Town” – wrócił tutaj. Słusznie przekonany, że ma w ręku dobry album, ale niespecjalnie wierzący w jego komercyjne powodzenie. – W Polsce rynek zmienił się w banalny cyrk. W Anglii też to wszystko jest, „X-Factor” i tym podobne gówna, ale oprócz tego jest alternatywa, Glastonbury. Tutaj oprócz pana Rojka, który stara się wyedukować naród swoim festiwalem, jest tego naprawdę mało. Nie ma klubów, ludzie nie potrafią się zorganizować. Początkującym kapelom w tym kraju musi być bardzo ciężko – tłumaczy nam Porter, który

mimo sześciu krzyżyków na karku też w pewnym sensie jest początkujący. Szczególnie dla tych, którzy poznali go dopiero u boku Lipnickiej. – Jeśli nie pokażesz się w głupim telewizyjnym programie, nie chcą cię nawet zaprosić na koncert. Mnie z takim materiałem jak „Back in Town” do telewizji raczej nie zaproszą, na festyn do Białegostoku, z balonikami, dziećmi i kielbasą też nie, ale trudno, płyta już gotowa i muszę z tym żyć.

## Gdzie jest Wielka Brytania?

Porter wybrał Polskę, ale nie próbował zmienić swojej natury i za wszelką cenę zostać Polakiem. – Okazuje się, że 30 lat to za mało, żeby zasymilować się z obcym światem! Wobec naszej rzeczywistości John wciąż pozostaje emigrantem ze statusem przymusowego turysty. Z upływem lat jego odmiennosc staje się coraz bardziej zauważalna. Im mocniej tęskni za Wyspami, tym mniej tolerancji ma dla Polski – twierdzi Lipnicka. – Dotyczy to każdego aspektu życia tutaj, począwszy od mentalności społeczeństwa, poprzez politykę, kulturę, na gustach kulinarnych i poczuciu humoru kończąc. Gdyby nie poranna herbata z mlekiem, satelitarny dostęp do angielskiej ligi, okresowa dostawa najnowszych komedii brytyjskich na DVD oraz Internet, John pewnie umarłby mi tu na miejscu... Kiedy patrzę na jego mękę podczas corocznej Wigilii przy śledziach, kiszzonej kapuście i grzybach, to bardzo mu współczuję. Każdy z tych wieczorów John stara się przeżyć o chlebie i wodce. Jakoś, odpukać, mu się to udaje.

John nie nauczył się też wręczać łapówek i patologicznie nie cierpi polskich kierowców. Znosi te tortury wyłącznie z miłości do najbliższych i... przyzwyczajenia. Bo Polska, w której dziś mieszka, nie jest tym samym krajem, w którym dawno temu przedłużył sobie wakacje. Pytam, czy w takim kraju, jaki znamy dzisiaj, również zdecydowałby się zostać, chociaż przeczuwam odpowiedź. – Nie, na pewno nie. Dzisiaj Polska zbyt mało różni się od innych miejsc, oprócz chorego podejścia do polityki – mówi Porter. – Ale nie wiem też, czy chciałbym mieszkać w Anglii. Dla mnie dzisiejsza Anglia to nieudany eksperyment społeczeństwa multikulturowego, w którym wszyscy coraz bardziej się od siebie oddalają. Każdy pielęgnuje swoje zwyczaje, buduje własny Kościół. Gdzie w tym wszystkim jest Anglia? To dla mnie już obcy kraj. No, chyba że wybierzesz się gdzieś na prowincję, tam wciąż bywa wspaniale – prawdziwe puby, piwo, jedzenie. I ten krajobraz. ●



# Buona fortuna



Z LECHEM MAJEWSKIM  
ROZMAWIA  
KATARZYNA JANOWSKA



## Lech Majewski

58 lat, reżyser filmowy, operowy, kompozytor, pisarz, malarz. Studiował w łódzkiej filmówce i warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Od początku lat 80. mieszka w Stanach Zjednoczonych. W kinie debiutował „Rycerzem” (1980), dobrze przyjętym w Wielkiej Brytanii. W 1990 roku przeniósł się do Hollywood, gdzie rozpoczął współpracę ze studiem Davida Lyncha, robiąc „Ewangelię według Harry’ego”. Wyreżyserował również poetycką biografię „Wojaczek” (1999) i „Angelusa”, historię okultystycznej gminy działającej w latach międzywojennych w katowickim Janowie. W teatrze wystawiał między innymi „Króla Ubu” Krzysztofa Pendereckiego (polska prapremiera) i „The Black Rider” Roberta Wilsona i Toma Waitasa. 18 marca premiera najnowszego filmu Majewskiego „Młyn i krzyż”. Obraz ten nie powstałby bez książki Michaela Francisa Gibsona, w której autor niezwykle wnikliwie analizuje dzieło Bruegla.

O dzieciństwie w Stalinogrodzie, o tym, czego nauczył się od Antonioniego, i o nowych technologiach opowiada reżyser **LECH MAJEWSKI**. Jego film „Młyn i krzyż” już w naszych kinach

Ożywić obraz Pietera Bruegla, zrobić fabułę na podstawie eseju historyka sztuki na temat obrazu to pomysł szalony. A namówienie do zagrania w tym filmie Charlotte Rampling, Rutgera Hauera, Michaela Yorka to już wyczyn. W tym szaleństwie jest metoda?

– Początkowo „Młyn i krzyż” miał mieć swój obieg muzealny. Wiedziałem, że będzie pokazywany w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, bo tam wisi „Droga krzyżowa” Bruegla, która stała się inspiracją dla eseju Michaela Gibsona i dla filmu. Projekcje zaplanowały Museum of Modern Art w Nowym Jorku i National Gallery w Waszyngtonie. Dużym wyróżnieniem było pokazanie filmu w Luwrze oraz otwarcie tam wystawy moich video-artów zatytułowanych „Ćwiczenia z Bruegla”. Film zyskał amerykańską dystrybucję, pojawili się dystrybutorzy z Japonii, Korei, Australii, Argentyny, Niemiec, Francji, Holandii – trafił zatem do kin w większości krajów świata, chociaż od premiery minął zaledwie miesiąc.

**Światowa prapremiera odbyła się na festiwalu w Sundance, gdzie „Młyn i krzyż” został świetnie przyjęty.**

– Robert Redford mi pogratulował. Jego żona jest malarką, on też maluje. W Stanach Zjednoczonych dużo mówiono o stronie wizualnej filmu, o tym, że jest to przełom technologiczny, że czegoś takiego nigdy w kinie nie było. Natomiast publiczność w Luwrze odebrała go bardzo emocjonalnie. Tlum był taki, że z Ritą Gombrowicz i Janem Olbrychtem nie mogliśmy się wepchnąć do skądinąd ogromnego audytorium. Projekcja poruszyła w widzach jakąś zaśnieżoną, zapomnianą strunę.

**To nie pierwszy pana film oparty na malarskich inspiracjach. Napisał pan scenariusz do „Basquiata” i zatrudnił Juliana Schnabla do jego realizacji.**

– Postać Basquiata, malarza straceńca, fascynowała mnie.

**Chyba ma pan słabość do straceńców. Wojaczek też zatracił się w sztuce i w życiu.**

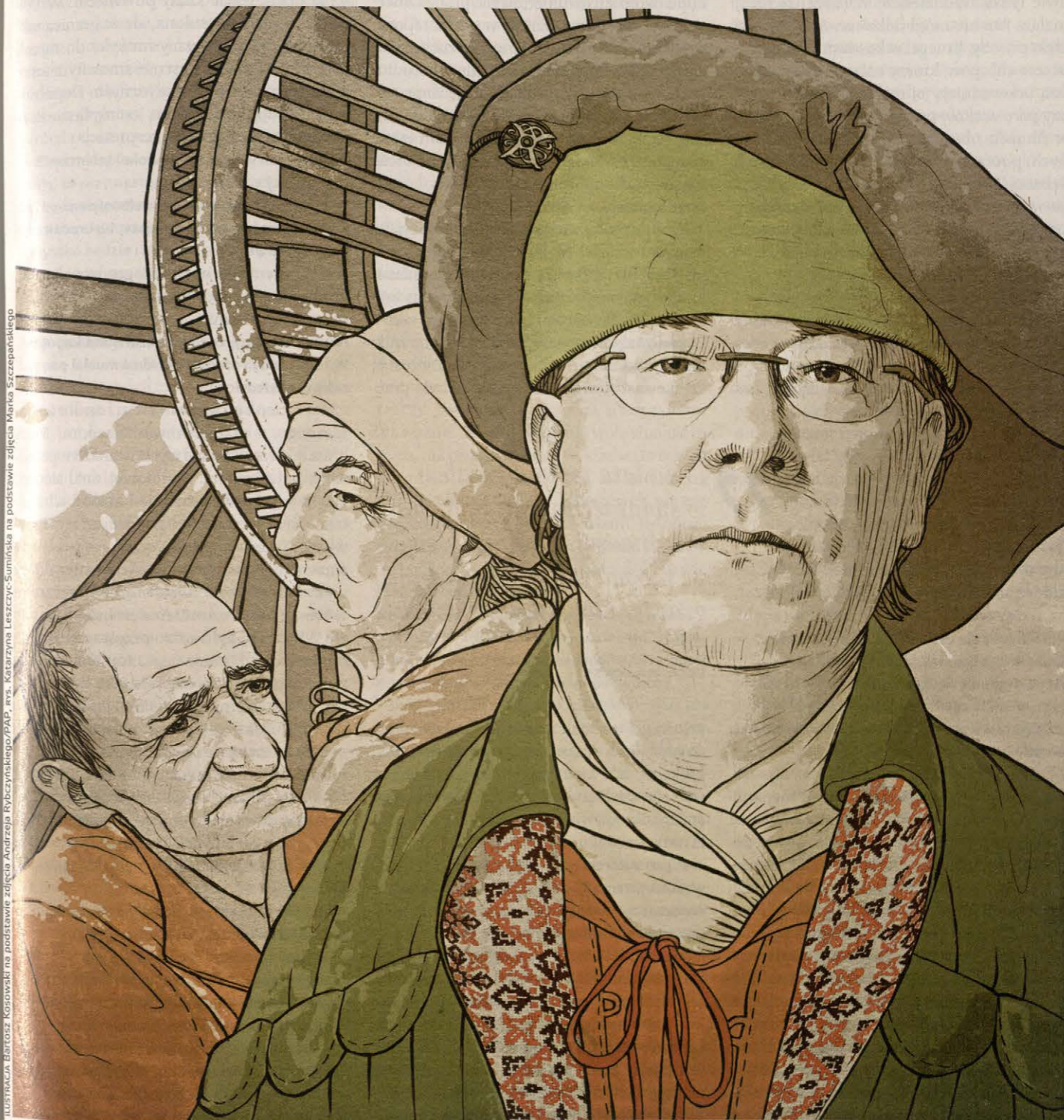
– Maksymalizm zawsze jest pociągający. To zresztą jest warunek robienia czegoś oryginalnego w sztuce. Jeśli mówimy o malarskich inspiracjach, to zrobiłem także „Ogród rozkoszy ziemskich” z obrazem Boscha w tle.

**Michael Gibson, pisarz i krytyk sztuki, trafił do pana po tym, jak zobaczył w paryskim kinie pańskiego „Angelusa”.**

– Napisał entuzjastyczną recenzję z „Angelusa”, w której twierdził, że mam „umysł brueglowski”. Podarował mi swoją książkę o obrazie Bruegla z propozycją zrobienia dokumentu na jej podstawie. Miał stać w Kunsthistorisches Museum przed obrazem i opowiadać o zaszyfrowanych w nim tropach kulturowych, ale ja zasugerowałem mu fabułę. Myślał, że oszalałem.

**Nie dziwię się. O czym właściwie jest ten film?**

– O spojrzeniu na mitologię, która nas tworzy, która decyduje o charakterze naszej cywilizacji; o próbie nobilitacji codzienności, tego, co jest niedostrzegalnym rytuałem dnia powszedniego. Bruegel jak mało kto potrafi łączyć wydarzenia mityczne z codziennością. Ukazuje, że coś, co z upływem czasu przeistacza się w mitologiczne wydarzenie, w momencie dziania się jest niezauważalne, pozbawione patosu, ma zasięg lokalny. Nietzsche ujął to najlepiej, twierdząc, że świat niepostrzeżenie krąży wokół idei. Bruegel może sobie pozwolić na pomniejszenie wydarzeń takich jak droga krzyżowa czy ukrzyżowanie, bo my już znamy, choć niekoniecznie rozumiemy, znaczenie tych wydarzeń. Im większy mityczny ciężar zdarzenia, tym mniejsze znaczenie ma na obrazach Bruegla. →



” W „Młynie i krzyżu” chcieliśmy uzyskać kolor Bruegla, prawdę w kostiumach, twarzach, detalach. Inspiracji szukam w starym malarstwie, w którym znajduję mądrość i umiejętność opowiadania

LECH MAJEWSKI



→ W „Upadku Ikara” z wody wystaje zaledwie łydka młodzieńca. Większej redukcji malarz już nie mógł dokonać. Aby uzyskać efekt prawdy, Bruegel w kostium historyczny ubiera chłopów, którzy całą swoją fizycznością udowadniają jej realność. Podobne rzeczy parę wieków później robi Pasolini, który w filmach obsadza wieśniaków, spracowanych, pooranych zmarszczkami, z wybitymi zębami. To było o tyle zabawne, że w tym czasie w Cinecitta powstawały historyczne kolubryny, w których aktorzy mieli włosy wymyte najlepszymi szamponami, olśniewająco białe zęby i perfekcyjne grzywki.

**Krzyż i młyn – co oznaczają dla pana?**

– Młyn to krzyż puszczony w ruch, rodzaj zegara symbolizującego kolistość czasu, wieczny powrót. Są wydarzenia, które wciąż powracają w kulturze. W pierwszej części filmu żołnierze zakatowują młodego chłopaka. Zło zawsze przychodzi zniecka. Zaskoczyło mnie, gdy ktoś w Luwrze powiedział, że to jedna z najokrutniejszych scen, jakie widział w kinie. Może dlatego, że nie jej nie zapowiedziało. Są więc w filmie dwie ofiary. Jedna anonimowa, która umiera na kole, i druga mityczna, ukrzyżowana.

**Nie udało się ożywić obrazu**

**Bruegla bez technologii. Pierwsza scena wygląda, jakby ktoś tchnął**

**życie w misternie tkany gobelin. Postprodukcja trwała trzy lata, czyli film narodził się właściwie w procesie postprodukcji.**

– U Bruegla jest siedem perspektyw. Musieliśmy zszyć perspektywy z różnych fragmentów rzeczywistości. Każdy zabieg wymagał łączenia powietrza, światłocienia, potem dodawaliśmy zwierzęta, ludzi, niebo, które nakreśliłem w Nowej Zelandii, bo najbardziej przypominało to z płótna flamandzkiego mistrza. Plenery kręciliśmy głównie w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, częściowo w Czechach, Wieliczce, Pieskowej Skale, Tarnowie. Wykorzystywaliśmy dobrze zachowane obiekty, ale jednocześnie dobudowywaliśmy wiele detali, których nie sposób było sfotografować. Ale to był tylko początek naszej pracy. Najważniejszą jej częścią było budowanie głębi przestrzennej. To ogromna robota. Na jedno ujęcie przypadało średnio 40 warstw. Jest ujęcie ze 147 warstwami. Wprowadzenie jakiegokolwiek poprawki oznaczało dla sieci komputerów przeliczanie materiału przez osiem dni. I tak w kółko.

**Dorota Roqueplo, autorka kostiumów, mówiła, że farbowała je ręcznie.**

– Zaczęliśmy przygotowania do filmu od zakupu około stu dwumetrowych próbek materiałów, z którymi poszliśmy w plener i sprawdziliśmy, jak zachowują się w ruchu. Jak wyglądają w świetle dziennym, w studiu, w zimnym i ciepłym świetle. Chcieliśmy uzyskać kolor Bruegla, prawdę w kostiumach, twarzach, detalach. Inspiracji szukam w starym malarstwie, w którym znajduję mądrość i umiejętność opowiadania.

**Stare malarstwo, czyli...**

– Głównie protorenesans. Sartre zauważył, że w starych ikonach niebo było złote, bo z nieba bił boski blask. Potem, w czasach renesansu, złoto zostało wyparte przez światło dnia i realny błękit, a w baroku błękit zastąpiła czerń. Zapanowała ciemna noc i w końcu niebo zniknęło. Ja zaś mogę dodać, że we współczesnej sztuce zaatakowano wszystko, co było prze-

” Dwa lata temu wszedłem w świat technologicznych możliwości. I zobaczyłem, że nie ma właściwie żadnych granic, nawet finansowych

LECH MAJEWSKI

szłością, i ten atak spowodował największą tragedię, jaka dotknęła człowieka – wiek XX. Efektem XX-wiecznego niszczenia formy stały się totalitaryzmy produkujące masową śmierć. Rzeczywistość – jak u Wilde’a – zaczęła naśladować sztukę.

**Jest pan autorem scenariusza „Młyna i krzyża”, współautorem zdjęć i muzyki. A może to ten renesans tak w pana mocno zapadł, że wszystkiego chce pan dotknąć?**

– Jeśli chodzi o zdjęcia, to od lat współpracuję z Adamem Sikorą. On jest mistrzem światła. Jak nikt potrafi oświetlić wnętrze. Natomiast ja we wszystkich swoich filmach ustawiam kadry. Jestem malarzem i to jest moja największa pasja. Rola Adama skończyła się wraz ze zdjęciami. Przez dwa i pół roku postprodukcji pracowałem z grafikami komputerowymi nad głębią obrazu i decydowałem o tym, jaka będzie jego estetyka.

**Ale i tego było panu mało. Muzykę też pan postanowił sam napisać, co prawda z Józefem Skrzekiem do spółki, ale jednak.**

– Współpracuję z Józefem Skrzekiem od czasu naszej opery „Pokój saren”.

**Do której napisał pan i muzykę, i libretto...**

– I ta opera ciągle krąży po świecie. W Polsce nie została doceniona, ale za granicą tak. Od tamtej pory piszę muzykę do moich przedsięwzięć. Józef jest niesamowitym interpretatorem tematów muzycznych. Dopełniamy się. Moją mocną stroną jest myślenie konstrukcyjne, jego siłą jest interpretacja.

**Skąd się pan wziął z tymi swoimi talentami?**

– Z kapusty.

**To była chyba ostro ołowiem albo pyłem węglowym zaprawiona kapusta, bo urodził się pan w Katowicach.**

– Urodziłem się w Stalinogrodzie, bo tak w dniu moich narodzin nazywały się Katowice, przy ulicy Armii Czerwonej.

**No to już wiemy, że to była czerwona kapusta.**

**W rodzinie byli artyści? Po kimś musiał pan te talenty odziedziczyć.**

– Mój ojciec był pracownikiem handlu zagranicznego, a mama prowadziła dom. Mam brata lekarza. Tata był wychowankiem przedwojennej Akademii Handlowej, znał siedem języków, jeździł po świecie i zbierał albumy o sztuce. Nie uznawał polskiej prasy. Przywoził „Time’a”, „Newsweeka” i na tych piśmiech się wychowałem. Miałem wujka, który wykładał w konserwatorium muzycznym w Wenecji. Był w armii Andersa, został ranny we Włoszech. Był bardzo przystojnym dżentelmenem, zakochała się w nim sanitariuszka z Czerwonego Krzyża, Włoszka z Mediolanu. Wujek był muzykologiem, pisał recenzje z La Scali. Na czas wakacji zostawiał nam weneckie mieszkanie i gospość, która nam gotowała. Moja intymna znajomość z Bruegłem datuje się na tamten czas. W Wiedniu szliśmy z mamą zawsze do Kunsthistorisches Museum. Bruegel od początku mnie fascynował. „Zima”, „Wieża Babel” – to były moje ukochane obrazy.

**Podkreśla pan, że jest malarzem. Malarstwo to sztuka pierwsza, film jest drugi?**

– W filmie wszystko się łączy, bo jest on sztuką sztuk. Wagner tak mówił o operze, a mnie się wydaje, że przejął to film. Wracając do moich włoskich wakacji, Wenecja nauczyła mnie szacunku dla rzemiosła. Tam jako smarkacz zobaczyłem, że domy mogą być piękne, każdy mebel może być rzeźbą, tkaniny mogą być dziełem sztuki. Był słynny sklep z tkaninami, który należał do jednej rodziny ponad 400 lat. Na ścianach wisiały tam zdjęcia gwiazd filmowych w sukniach uszytych z ich niezwykłych tkanin. Właściciele produkowali bardzo krótkie serie materiałów. Byli dumni, że jest tylko 30 metrów danej tkaniny na świecie. Przychodziłem tam często, właściciele już mnie znali,

i przyglądałem się, jak te tkaniny są plecione. Teraz w miejscu tego sklepu znajduje się salon Ferrari, w którym z tekstyliów sprzedaje się czapki z daszkiem i koszulki z nadrukami. Nawet Wenecja nie oparła się komercjalizacji. Ale kiedy robiłem operę „Carmen”, z fascynacją przyglądałem się, jak powstają kostiumy. Wróciła do mnie atmosfera tych starych weneckich sklepów.

**Czuje, że przy następnym projekcie kostiumy też będą autorstwa Lecha Majewskiego.**

**Strzeżcie się, artyści, bo Majewski niedługo wszystko będzie robił sam. Łatwo pan się dogaduje ze współpracownikami?**

– Chyba słabo komunikuję się z ekipą... Nie przychodzę do pracy z gotowym planem. Moje pomysły wyłaniają się stopniowo. Przed laty do Nowego Jorku przyjechał Julek Machulski i odwiedził mnie w montażowni, gdzie pracowałem nad swym amerykańskim debiutem „Lot Świerkowej Gęsi”. Trochę się zaszatał na Dustina Hoffmana, który obok z Volkerem Schlöndorffem montował „Śmierć komiwojażera”. Obserwując mnie podczas pracy, Julek był zdziwiony, że nie wiem, jak mój film się ułoży. On jest ze szkoły bardzo precyzyjnej, wszystko ma zmierzone ze stoperem w ręce. W tym sensie jest hollywoodzki.

**A u pana skąd się wziął ten luz? Albo powiedzmy dyplomatycznie: taka metoda pracy?**

– To wcale nie jest luz – raczej otwartość na proces wewnętrzny dojrzewania filmu. Kiedy byłem studentem szkoły filmowej, miałem szczęście spotkać Antonioniego. Przywiozła go do szkoły Maria Komatowska. Na spotkaniu pytało go: panie Antonioni, Fellini zrobił swoje „Osie i pół”, kiedy pan zrobi swoje „Dziewięć”? A on na to: ja już zrobiłem, to „Zawód reporter”. Cisza. Ktoś inny podnosi rękę i pyta: a jaki ma pan stosunek do mody? Na to Antonioni: nie mam do niej stosunku – ja ją stwarzam. Znowu cisza. W końcu ja podnoszę rękę i pytam: czy kiedy pan zaczyna swój film, zna pan na pamięć wszystkie ujęcia, osie, których nie można przekroczyć? Bo wtedy, przed realizacją pierwszej etapy, wkulem na pamięć cały scenopis. On na mnie spogląda i mówi: nie staram się zapamiętywać tych rzeczy, staram się o nich zapomnieć. Wtedy mnie szlag trafił i powiedziałem już po włosku, że to jest poważne pytanie i żeby mnie nie zbywał, bo ja właśnie zaczynam swój pierwszy film. A on na to, że mówi zupełnie serio, że chce przychodzić na plan i świeżym okiem widzieć, jak wygląda dekoracja, jaka jest pogoda, jak wygląda aktorka, jak się układają włosy, i z tego buduje scenę. Kiedy mu coś nie wychodzi, prosi drugiego reżysera,

żeby mu przypomniał, co jest w scenariuszu. Wróciłem do atelier, w którym kręciłem etiudę. Usiadłem na zdezelowanej sofie. Operator Tomek Kona wsadzał właśnie miotłę w kamerę, bo zginęło gdzieś metalowe ramię zwane „szwenk”, i ta miotła sprężynowała. Cieszył się jak dziecko, że dzięki temu pomysłowi będziemy mieć ciekawe zdjęcia. Krótko mówiąc, wiało niesamowitą tandetą, a tu nagle otwierają się drzwi i wchodzi Antonioni. Rektor wprowadza go i oznajmia, że oto właśnie student realizuje swoją pierwszą etiudę. Polska Kronika Filmowa rejestruje całą sytuację, a Antonioni ściska mi rękę i mówi: *Buona fortuna*.

**Dobrze panu życzył, bo fortuna panu sprzyja.**

**A pan swoje „Dziewięć” już zrobił?**

– Ależ skąd, ja jestem jeszcze w powijakach. Ale od tego spotkania z Antonionim wiem, że czasami z głupot, kompletnie nieważnych rzeczy powstaje jakaś scena nieoczywista, ale ważna. Dlatego na planie wołę słuchać innych, niż po profesorsku wykladać: to ma być tak i tak. Ludzie narzekają, że nic im nie mówię, nie daję żadnych wskazówek, nie wiedzą, co mają robić. Są sfrustrowani. Jednocześnie jednak ta frustracja jest twórcza. Bo jak się wszystko od początku do końca dobrze wie, to działa się rutynowo.

**Nakreślił pan „Wojaczka”, „Angelusa”, pisał pan książki, robił instalacje i „Dziewięć” ciągle przed panem? A może to nadmierna skromność przemawia przez renesansowego twórcę?**

– To nie skromność, to fakt. Zaledwie dwa lata temu wszedłem w świat technologicznych możliwości. I zobaczyłem, że właściwie nie ma żadnych granic, że nawet finansowe granice są w jakimś sensie do pokonania. Producent w Londynie wyliczył, że tam „Młyn i krzyż” kosztowałby 23 miliony funtów. A my zrobiliśmy go za grosze. Nasz film powstał w koprodukcji ze Szwedami. Dołożyli się Nowozelandczycy, bo zafascynowali się pomysłem. Zresztą dużo ludzi z tego powodu pracowało przy filmie.

**Nowozelandczycy zaplacili za swoje niebo w filmie. Ale czy to jest tak, że gdy Lech Majewski przychodzi z nowym pomysłem, to producenci, maniacy sztuki chętnie otwierają swoje portfele?**

– Są ludzie na świecie, którzy mają pieniądze i chcą z nimi zrobić coś niezwykłego.

**Zaczął pan już romans z komercją? Tylko tego chyba nie znalazłam w pana dorobku.**

– Nie mam czasu na komercję. Nie mam czasu nawet, żeby pisać. Od pięciu lat robię notatki do kolejnej powieści i nie mam chwili, żeby usiąść i ją skończyć. Potrzebuję na to kilku miesięcy intensywnego spokoju.

**Gdzie mógłby się zdarzyć intensywny spokój?**

**Krąży pan między Katowicami, Wenecją, Nowym Jorkiem. Gdzie jest pana dom?**

– Wszędzie tam, gdzie mam pracę. Ostatnio dużo czasu spędzałem w Polsce. Staram się bywać w Katowicach, bo tam mieszka moja mama. Spię wówczas w pokoju, w którym przyszedłem na świat. To był pokój mojego ojca. Kiedy tak jak ja mieszka się głównie w pokojach hotelowych, nie ma się poczucia umiejscowienia. Ciągłe nowe konfiguracje mebli, luster i ścian. Natomiast w pokoju ojca mam poczucie, że jestem u siebie. Castaneda pisał o pozycji sitio, która daje swoistą siłę. Rozmawiałem o tym kiedyś z Góreckim. Opowiadał, jak pojechał do Nowego Jorku, gdzie miał napisać muzykę dla nowojorskiego baletu. Zafundowano mu hotel Plaza, spacerował po Central Parku, wszystko było piękne, pachnące, eleganckie, tylko on nie był w stanie napisać ani jednej nuty. Wrócił do Katowic, do swojego mieszkania przy ulicy Górnicka i od razu trzasnął całosc...

Mieszkanie moich rodziców mieści się w pięknej przedwojennej kamienicy z lat 20. U mojej mamy rośliny wybuchają jak dzun-gła. Przywiozłem jej kiedyś kijaszek z Brazylii, z którego już piąte drzewo wyrosło pod sufit. To jest moje sitio, mityczne i realne.

**W filmie zagrała pana żona?**

– Tak. Dorota gra Saskię Jonghelinck, żonę bankiera kolekcjonującego obrazy – postać realną, w którą wcielił się Michael York.

**Często pracujecie razem? Żona jest aktorką?**

– Żona zaczynała jako dziennikarka. Tak się poznałiśmy, ale się przebranzowila.

**Zrobiła z Lechem Majewskim wywiad życia i została aktorką.**

– Pomaga mi również jako drugi reżyser, robi casting. To ona szukała i znalazła te niezwykle postaci brueglowskich statystów w „Młynie i krzyżu”. Albo będziemy robić coś razem, albo nie będziemy mieli dla siebie czasu.

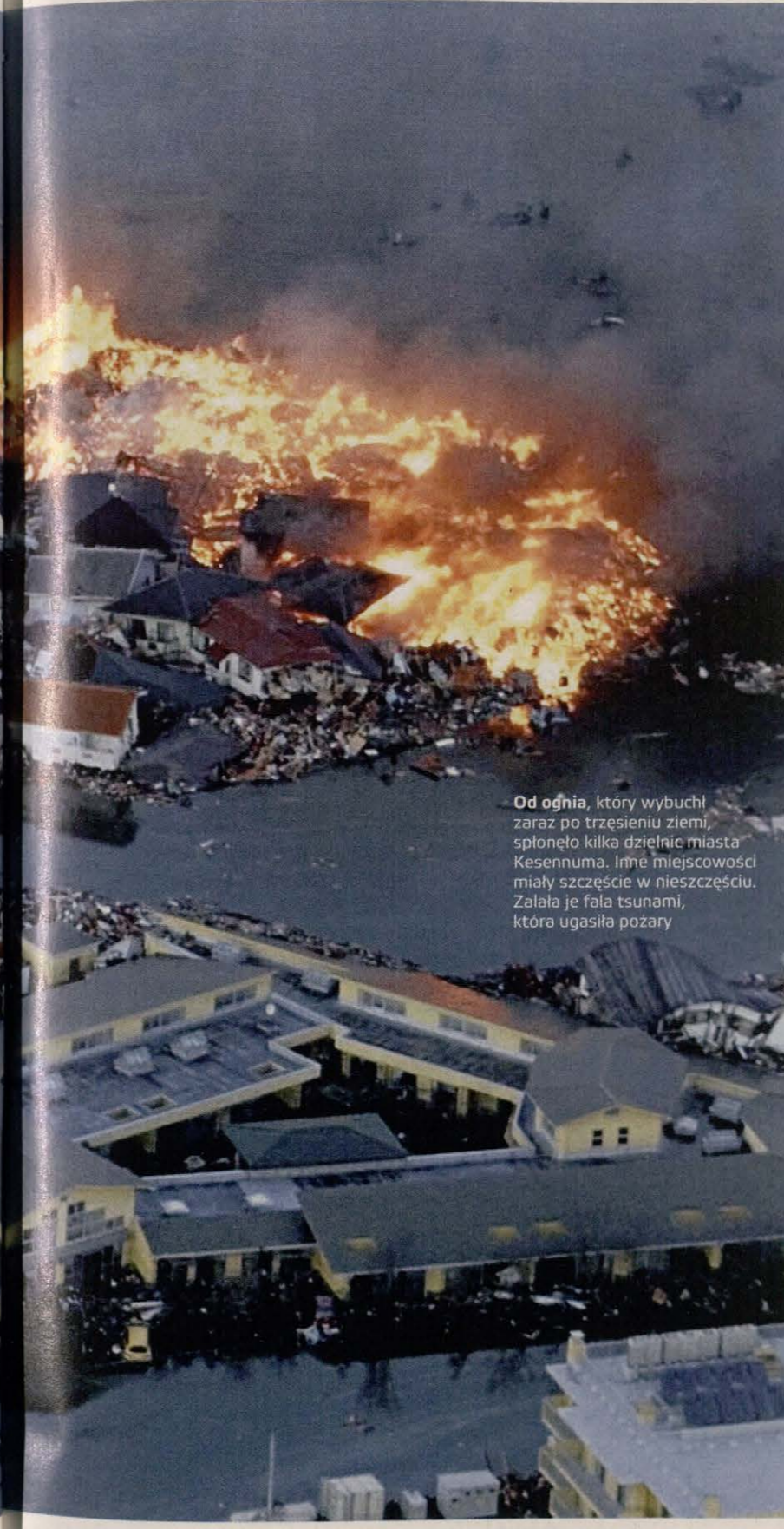
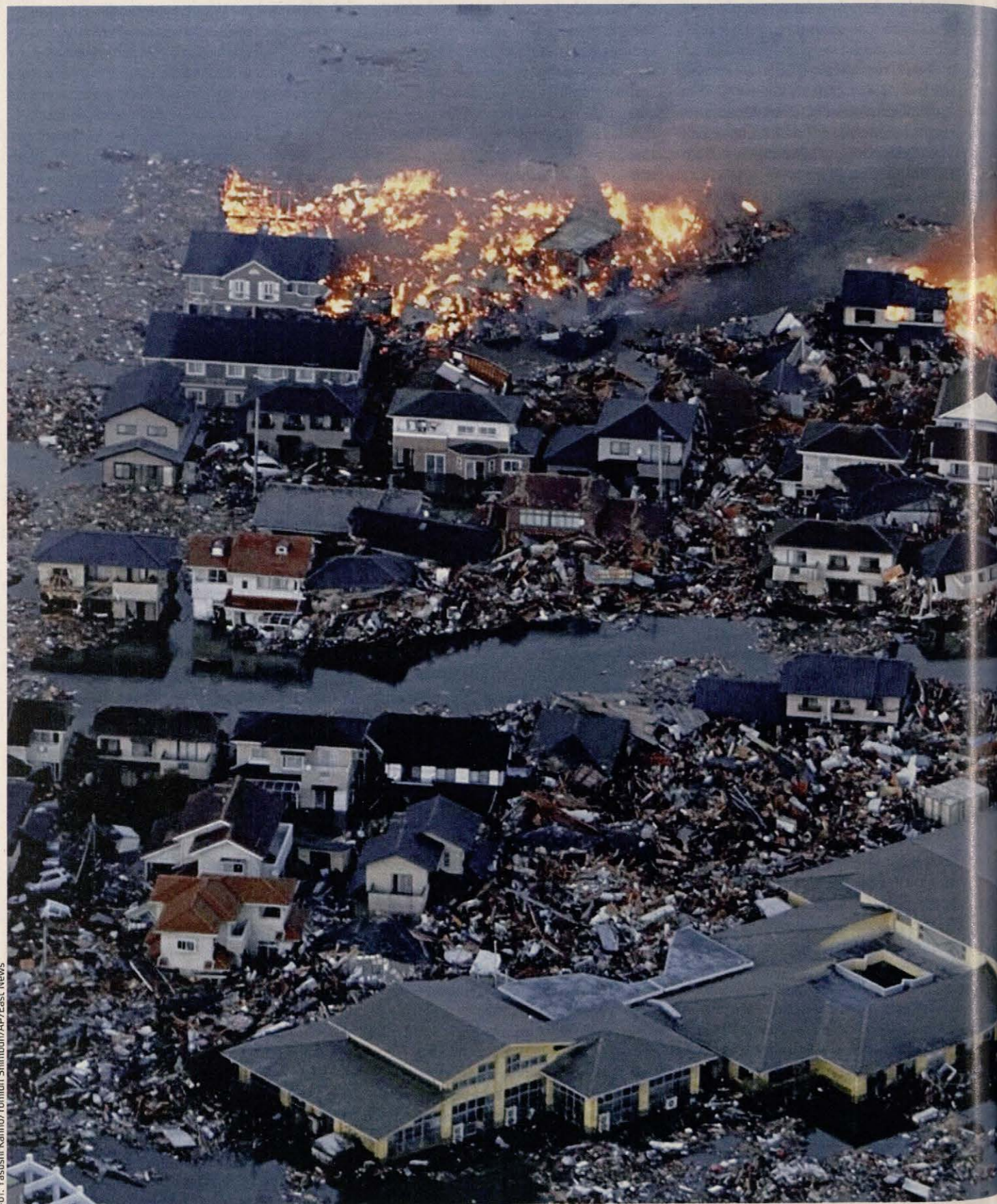
**Jest pan zadowolony z „Młyna i krzyża”?**

– Gdyby mnie pani zapytała, czy jestem zadowolony z pracy nad nim, to odpowiedziałbym, że bardzo, bo dużo mnie nauczył. Poznałem sporo ciekawych osób, szczególnie wśród statystów. Wypląnąłem w stronę nierozpoznaną jeszcze Ameryki nowych technologii. Dotknąłem życia, jakiego nie znałem. Ale ten film już nie jest mój. Poszedł w świat. Jest już bardziej pani niż mój.

**chilli ZET**  
nastaw się  
na chill out

**Chilli ZET.**  
Radio w pogoni  
za kulturą  
[www.chillizet.pl](http://www.chillizet.pl)





# Japonia drży

Japończykom nie pomogły gumowe stopy, treningowe kuchnie i 130 sejsmografów. Mordercze zwierzę znów było silniejsze

ŁUKASZ WÓJCİK

Od ognia, który wybuchł zaraz po trzęsieniu ziemi, spłonęło kilka dzielnic miasta Kesennuma. Inne miejscowości miały szczęście w nieszczęściu. Zalała je fala tsunami, która ugasiła pożary

**P**od japońskimi wyspami leży sum. Zwierzę wielkie, krmąbrne i okrutne. Na szczęście dla Japończyków przez większość czasu jego łeb spoczywa spokojnie, przygnieciony wielkim granitowym głazem przytrzymywanym przez boga religii shinto. Gdy ten się zagapi, sum miota się, a ziemia w Japonii trzęsie. W zeszły piątek zadrżała z mocą 8,9 stopnia w skali Richtera. To siła nienotowana dotąd w sejsmicznych kronikach. Jeszcze w piątek wieczorem japoński rząd mówił o ponad tysiącu ofiar. Zaginionych było blisko 90 tysięcy. Pod względem wyzwolonej energii trzęsienie było 200 razy silniejsze od tego, które w lutym nawiedziło Nową Zelandię. Epicentrum znajdowało się 130 kilometrów na wschód od wyspy Honsiu, na głębokości zaledwie 24 kilometrów pod dnem oceanu. Gdyby było głębiej, skutki nie byłyby tak oplakane.

Najbardziej ucierpiał port Sendai. W jego okolicach 10-metrowa fala tsunami, która →



*Fala tsunami rozeszła się po Pacyfiku z prędkością samolotu odrzutowego. Po dziewięciu godzinach, już osłabiona, dotarła do Hawajów*

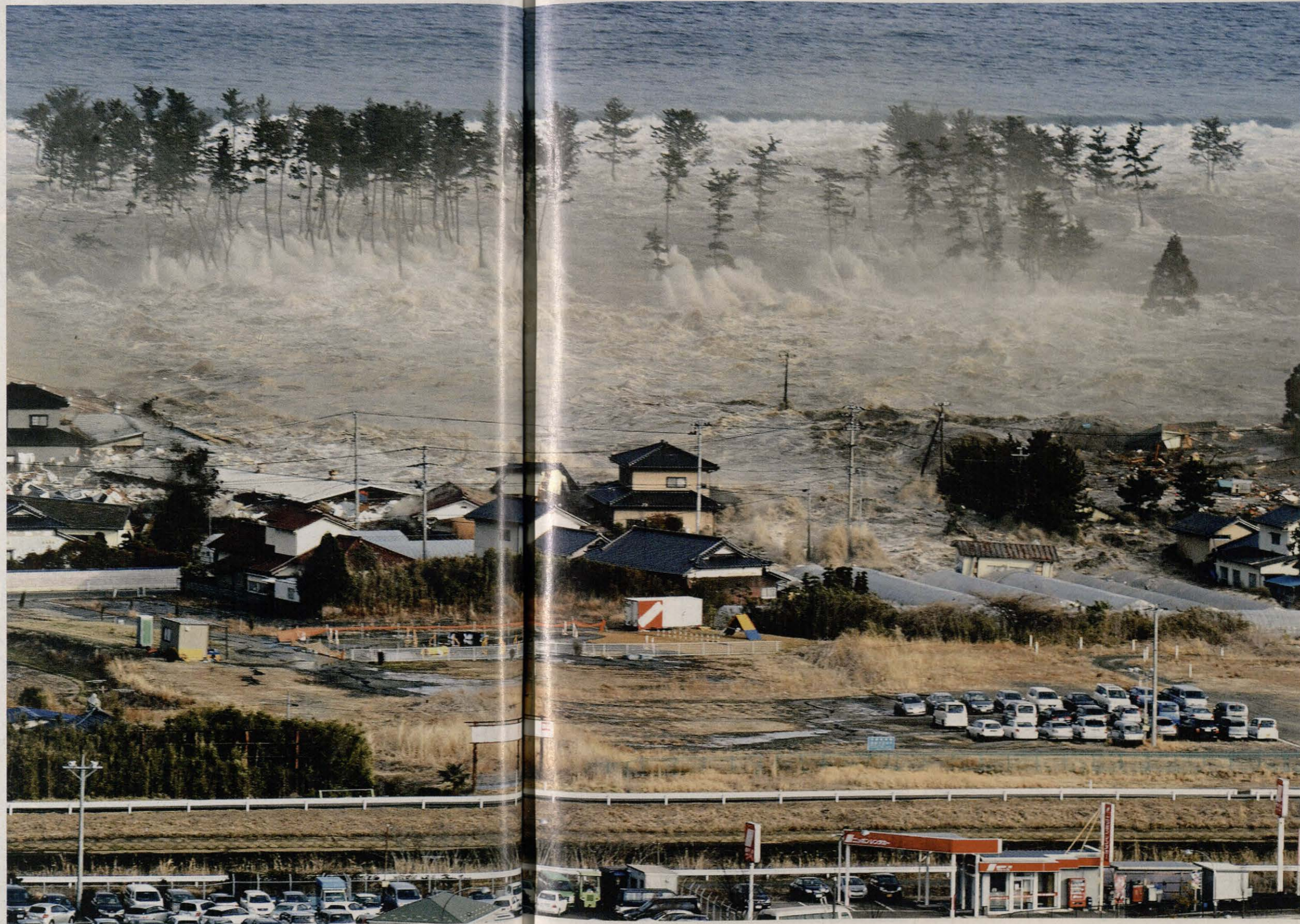
→ powstała w wyniku trzęsienia ziemi, wdarła się na kilka kilometrów w głąb lądu. Zaginał cały pociąg pasażerski. Woda zniszczyła też tamtejsze lotnisko. Automatycznie wyłączyły się elektrownie atomowe, mimo że nie doszło do ich uszkodzenia. W ciągu 75 minut po głównym wstrząsie do Japonii dotarło sześć wtórnych. I znów każdy z nich silniejszy od nowozelandzkiego.

**Najgorsze miejsce świata**

Jednak to jeszcze nie było to. Japończycy wciąż czekają na trzęsienie wszystkich trzęsień. Według sejsmologów ma ono nadejść najpóźniej za 20 lat. Wyznaczono już nawet jego epicentrum – miasto Shizouka na południe od Tokio. Kilkadziesiąt kilometrów pod nim zderzają się dwie płyty tektoniczne: filipińska i euroazjatycka. A w pobliżu są jeszcze dwie. Zdaniem naukowców Shizouka to najgorsze miejsce do życia na świecie.

Japończycy do trzęsienia przygotowują się od 1923 roku, gdy wielki sum zmiotł z powierzchni ziemi 60 procent budynków w Tokio i niemal całą Jokohamę. Zginęło wtedy 142 tysiące osób. To po tym trzęsieniu Japończycy wprowadzili pierwsze regulacje zapewniające bezpieczne konstrukcje budynków. Dziś coraz więcej z nich ma „gumową stopę”, czyli elastyczny fundament, który amortyzuje wstrząsy. Standardy bezpieczeństwa narzucone wieżowcom sprawiają jednak, że te najwyższe mogą się bujać →

**Pierwsza fala**, która uderzyła w prefekturę Miyagi, nadeszła kwadrans po trzęsieniu ziemi. Ci, którzy uciekli, zostawili wszystko



For: Kyodo/AP/East News





Fot. Kyodo/AP/East News



Fot. Jiji Press/AFP/East News

→ nawet godzinę po trzęsieniu. Ale i temu Japończycy próbują zaradzić. Kilka wieżowców w Tokio ma na dachach zamontowane stalowe czterotonowe bloki. Gdy budynek zaczyna się bujać, hydrauliczne siłowniki przesuwają stalowy blok w kierunku przeciwnym do wychylenia. Dzięki temu cała konstrukcja szybciej wraca do pionu.

**Kuchenny trening**

Z jeszcze większą starannością Japończycy podchodzą do ćwiczeń alarmowych. Od kilku lat po kraju jeżdżą ciężarówki z symulatorem trzęsienia. Wygląda jak do ruchomego punktu krwiodawstwa, wewnątrz urządzonej w japońskim stylu kuchni. Gdy zainteresowani wejdą już do środka, cały kontener zaczyna się trząść, a spiker spokojnym głosem tłumaczy, jak w takich warunkach bezpiecznie wyłączyć gaz w kuchence i schować się pod stół.

W nagrodę wytrzęsieni dostają paczkę próżniowo pakowanych ciastek ryżowych – specjalne zabezpieczenie energetyczne na wypadek trzęsienia.

Nad wszystkim czuwa ogólnokrajowy system bezpieczeństwa. W jego ramach od 1980 roku pracownicy Japońskiej Agencji Meteorologicznej rozlokowali 130 sejsmografów, głównie wewnątrz gór i pod dnem oceanu. System przez całą dobę jest kontrolowany przez superkomputer i dwóch ludzi. Gdy sygnały z sejsmografów nie pozostawiają wątpliwości, służby specjalnie ściągają do siedziby agencji sześciu najlepszych sejsmologów w kraju. Jeśli każdy z nich będzie przekonany, że nadchodzi trzęsienie, premier Japonii ma obowiązek wprowadzić stan wyjątkowy i zarządzić ewakuację zagrożonych miejsc.

W piątek jednak to wszystko zawiodło. Bóg shinto znów się zagapił.

**Bardziej niszczycielskie niż sama woda** okazało się wszystko to, co ze sobą niosła:

- 1. Samoloty i auta wśród gruzów budynku amatorskiego klubu lotniczego na przedmieściach Sendai, jednego z najbardziej poszkodowanych miast
- 2. Przyfabryczny parking pełen nowych aut w mieście Hitachinaka zaraz po przejściu fali
- 3. Zniszczony i zalany port w Kesenuma.
- 4. Zakłady piwarskie w Sendai. Załoga w ostatniej chwili schroniła się na dachu



Fot. AP/East News

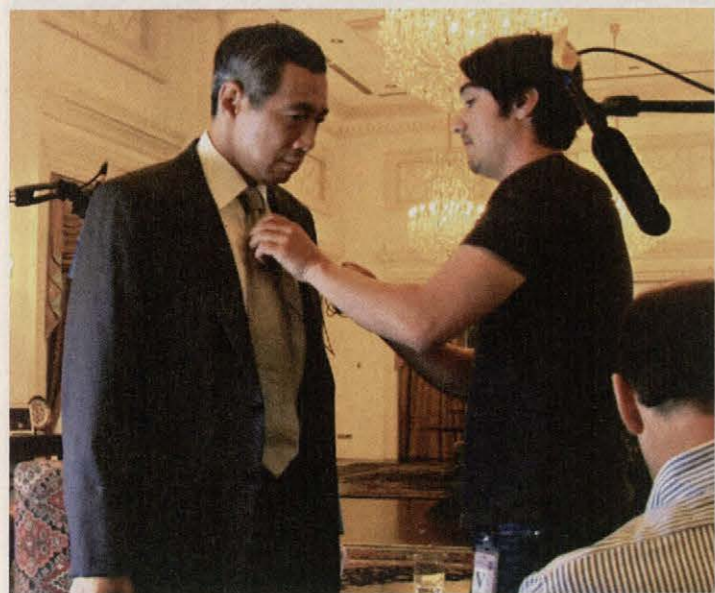


Fot. Kyodo/Maxppp/Forum



FILM

# O tych, co ukradli wszystko



Świat finansów jest pełen ekspertów, ale nie ludzi godnych zaufania

Nagrodzony Oscarem dla najlepszego dokumentu „Inside Job” przerazi was dokumentnie

OLA SALWA

Choć „Inside Job” składa się z wypowiedzi bankierów i ekonomistów, całość ogląda się jak film katastroficzny, z tą różnicą, że zamiast tonącego statku mamy tu kryzys finansowy z 2008 roku, a w rolach czarnych charakterów – finansistów i polityków. Charles Ferguson w przejrzysty i wciągający sposób opowiada o tym, jak ludzka chciwość i pomysłowość – maklerzy obracali zadłużeniem, tworzyli spekulacyjne narzędzia finansowe – najpierw przyniosły miliardowe zyski, a potem zachwiały gospodarką całego świata. Widzimy też, jak powstał system powiązań między Wall Street, Białym Domem i obrońnię-

tymi bluszczem budynkami uniwersytetów z Ivy League. Politycy naciśnani przez bankierów liberalizowali ustawy, a ekonomiści przygotowywali korzystne ekspertyzy. Ferguson, z wykształcenia politolog, w przeciwieństwie do Michaela Moore’a nie jest w swoim śledztwie nastawiony. Woli na chłodno analizować, niż rzucać oskarżenia. Dzięki temu jego dokument jest w każdym punkcie wiarygodny, a katastrofa tego akurat Titanika staje się bardziej przerażająca.

\*\*\*\*

„Inside Job”, reż. Charles Ferguson, USA 2010, 120’, UIP, premiera 11 marca

# Lekcja nowego języka

„Zwyczajna historia” daje się oglądać na wiele sposobów

Faktycznie, ta historia jest zwyczajna – pielęgniarz opiekuje się sparaliżowanym młodzieńcem. Z daleka obserwuje ich ojciec chłopaka, niezdolny (może z powodów psychologicznych, może kulturowych) do tego, by samemu być przy synu. Zamknięty w sobie, podszyty złością pacjent powolutku otwiera się na opiekuna, na bliskość i przyjaźń.

Sceny rozmów, spacerów, mycia Anocha Suwichakornpong skonstrastowała z zupełnie nadzwyczajnymi, poetyckimi sekwencjami, choćby wybuchu supernowej. Tu mały pokój na piętrze, tam eksplodująca gwiazda, tu bezwładne ciało leżące w wannie, tam żółw pływający w sadzawce. Rzeczy małe i wielkie, drobne i ostateczne. Więc

uniwersalna opowieść o świecie, którego częścią jesteśmy? Owszem, do tego nakręcona z czułością. Ale reżyserka podsuwa też (jak w rozmowie obok) polityczne tropy, intrygujące, choć na pierwszy rzut oka mało czytelne dla europejskiego widza. Najwyższa pora więc nauczyć się nowego języka w kinie – języka tajskiego. No i wymawiać nazwiska tamtejszych reżyserów, bo to oni rządzą dziś na festiwalach, czego dowodem nagroda dla „Zwyczajnej historii” na Erze Nowe Horyzonty.

MALGORZATA SADOWSKA

\*\*\*\*

„Zwyczajna historia”, reż. Anocha Suwichakornpong, Tajlandia 2010, 82’, Stowarzyszenie Nowe Horyzonty, premiera 11 marca



## Tajska historia

O cenzurze i sparaliżowanym społeczeństwie Oli Salwie mówi reżyserka „Zwyczajnej historii” ANOCHA SUWICHAKORN PONG

Twierdzisz, że twój film jest metaforą stosunków panujących w tajskim społeczeństwie. Co konkretnie cię zainspirowało?

– Kilka lat temu napisałam opowiadanie, którego bohaterami byli ojciec i syn. W zasadzie był to strumień świadomości, ale opisana przeze mnie relacja trafnie pokazywała stosunki panujące w patriarchalnym tajskim społeczeństwie. Paraliż młodego mężczyzny oddaje stan młodego pokolenia w moim kraju. Po zamachu stanu w 2006 roku w Tajlandii niewiele się zmie-

niło. Cały czas trwają protesty, ale do niczego nie prowadzą. Słyszałam, że twój film miał kłopoty z cenzurą.

– Podczas kręcenia starałam się o niej w ogóle nie myśleć. Do odpowiedniego urzędu film wystali organizatorzy festiwalu w Bangkoku, na którym „Zwyczajna historia” miała swoją premierę. Słyszałam, że chciano ją ocenzurować, ale skończyło się na nałożeniu na nią najwyższego ograniczenia wiekowego – film mogą oglądać widowie od 20. roku życia. Cenzorom nie podobała się scena, w której widać nagiego bohatera w wannie. „Zwyczajna historia” zdobyła mnóstwo nagród w Europie (między innymi Złoty Tygrys na festiwalu w Rotterdamie dla najlepszego debiutu). Z kolei produkcja twój rodaka Apichatponga Weerasethakula dostała Złotą Palmę. Co jest wyjątkowego w tajskim kinie?

– Trudno powiedzieć. Apichatpong jest mistrzem w swojej klasie, nie jest przedstawicielem narodowej kinematografii. Z kolei ja zrobiłam film eksperymentalny, bez typowej linearnej narracji, będący wyzwaniem dla widza. Może dlatego spodobał się festiwalowej publiczności.

RECENZJE  
MUZYKA



## R.E.M. gra R.E.M.

15. płyta tria z Aten dla tych, którzy lubią 14 poprzednich

MARIUSZ HERMA

Słuchanie nowego R.E.M. w 2011 roku przypomina ciekawie na nowy album The Rolling Stones w 1994 roku. Albo: „Która kapela bardziej nadaje się do grania coverów R.E.M., jeśli nie R.E.M.?” – takiej okazji do popisów sieciowa loża szyderców nie miała od premiery ostatniego albumu U2.

Ateńczycy – mowa o Atenach w amerykańskim stanie Georgia – Michael Stipe, Peter Buck i Mike Mills grają razem od równo trzech dekad, w tym od dwóch na stadionach. 51-letni Stipe wyhodował potężną brodę, śpiewa jednak jak za młodu. Ku uciesze fanów wciąż zadurzonych w refrenach

\*\*\*\*  
R.E.M. „Collapse into Now”, Warner Music

## Brak brata

Beady Eye udają Oasis, którzy udawali The Beatles. Średnio się to udało

Mam dla fanów Oasis dwie nieszczególnie odkrywcze wiadomości. Jedną dobrą, drugą złą. Dobra jest taka, że Beady Eye to właściwie cztery piąte ostatniego składu legendy britpopu. Zła jest natomiast taka, że wszystkie najlepsze numery Oasis – by wymienić choćby „Wonderwall” czy „Don’t Look Back in Anger” – wyszły spod palców tej brakującej jednej piątej, czyli Noela Gallaghera. Bez niego zespół jest jak ten aligator z okładki: nieźle się prezentuje, ale nie ugryzie, nawet jeśli skoczysz mu na plecy.



Z pustego nawet Liam Gallagher (teraz z grupą Beady Eye) nie należy

Bezczelne nawiązanie do „Live and Let Die” na początek, a potem dużo fajnego grania i... ani jednej dobrej piosenki. Słychać, że ci facci czują rock and rolla, że nie brakuje im umiejętności i werwy, w dodatku ktoś to fajnie, soczyście nagrał. Ale bez

repertuaru na dobrych chęciach daleko nie zajadą. JAREK SZUBRYCHT

\*\*\*  
Beady Eye „Different Gear, Still Speeding”, Sony Music



TRYP przytłacza i fascynuje. Uwaga! Ta muzyka uzależnia!

## Ratuj się, kto może

Alternatywna supergrupa z Łodzi środkami z lat 80. rozdrapuje wojenne rany

Obcowanie z tą płytą to żadna przyjemność. Z jednej strony mamy turpistyczne i brutalne teksty, które choć same w sobie są dość abstrakcyjne, to wyrosły ze stuprocentowo realnej historii likwidacji przez gestapo szpitala psychiatrycznego w podłódzkiej Kochanówce. Z drugiej – odpowiednią oprawę tych słów, którą jest również brzydka i intensywna muzyka. TRYP łączy punkową werwę z nowofalową monotonią i chłodem oraz wręcz industrialnym, jazgotliwym brzmieniem. To wszystko można zresztą uznać za spodziewaną wypadkową doświadczeń muzyków tworzących tę formację (znacie ich z Cool Kids of Death, 19 Wiosen, NOT, Agresywy 69), choć tak radykalni chyba nigdy wcześniej nie byli. Nie ma tu miejsca na melodię czy choćby chwilę oddechu. „Kochanówka” przytłacza, dręczy i męczy, ale trudno przejść obok niej obojętnie. Pięknie wydany album układa się w znak drogowy oznaczający ślepa uliczkę. Taki paradoks – bo zespół na pewno jest na dobrej drodze...

JAREK SZUBRYCHT

\*\*\*\*  
TRYP „Kochanówka”, Qulturap



# Potęga smaku...

...w czterech książkach, czyli gdyby nas piękniej i lepiej karmiono (i pojono)

MAŁGORZATA SADOWSKA

**K**uchnia jest nowym seksem – powołuje się na odkrycie amerykańskiej socjolog Mary Eberstadt Wojciech Nowicki, autor „Stół, jaki jest”, zbioru esejów o współczesnych polskich obyczajach kulinarnych. Jednak kuchnia jest nowym seksem nie dlatego, że umiemy wreszcie czerpać z niej przyjemność, gotowanie stało się namiętnością, a książki kucharskie zastąpiły „Kamasutrę”. Przeciwnie – gdy seks opuścił już sferę represji, znalazło się w niej jedzenie obwarowane licznymi zakazami, nakazami, poddane kontroli. Wystarczy odwiedzić najbliższy empię, by przekonać się, jak setki chudziutkich poradników o morderczych dietach psują całą przyjemność wertowania opasłych tomów z przepisami Jamiego czy Nigelli (nie można by przenieść ich do działu Nauki ścisłej?). Przekonanie, że jedzenie ma być zdrowe, a nie smaczne, do-tarło także nad Wisłę, tacy że – jak dowodzi Nowicki – u nas wciąż jest równie niesmacznie, co niezdrowo.

Autor „Stołu, jaki jest” zaczyna od kulinarnej pamięci – tej prywatnej i tej kulturowej. Podkreśla, jak ważne dla naszych upodobań i smaku są wspomnienia (piękna historia o chłopcu, któremu obiad ze szkolnej stołówki zapachem przypominał nagle ukochanego psa). Ubolewa, że łączność z naszym kulinarnym dziedzictwem praktycznie nie istnieje. Bigos z resztek w „karczmie” albo „swojskiej chacie” na poboczu to nigdy nie była, nie jest i nie będzie kuchnia staropolska. Píše Nowicki o przydrożnych barach, o pierwszych McDonaldach, o przybierającej



Jedzenie to nie obowiązek, lecz przyjemność. A przyjemności najlepiej smakują w towarzystwie

barbarzyńskie formy modzie na grill (właśnie grill uznany został przez Polaków za najważniejszą zmianę obyczajową od początku lat 90.), o rzeźniach ukrytych w mrokach Dworca Centralnego, gdzie krojono mięso na kebaby. Przegląda książki kucharskie z ostatnich kilkudziesięciu lat, a swoją ilustruje wyszperanymi starymi fotografiami. „Gastronomia nam szlachetnieje” – przyznaje, ale pod-szyta jest jego opowieść tęsknotą za innymi kulinarnymi rajami.

Bo polska kuchnia (w przeciwieństwie do kuchni polskiej) wciąż jest uboga. Ale nie tak jak prawdziwa *la cucina povera*, ta, o której pisze w „Smakach południowej Italii” (jeśli chce się mitologizować Włochy, zawsze pisze się Italia) Marlena De Blasi. „Smak może brnąć się z niedostatku” – dowodzi Amerykanka znana u nas z cyklu sentymentalnych opowieści o życiu, miłości i jedzeniu we Włoszech. Ale jakże inny to niedostatek niż ten z krainy ziemniaka, bo czyż z naszej perspektywy uboga można nazwać kuchnię, w której chłopcy zajadają się duszonym jagnięciem w szafranie? A może to niedostatek wyobraźni i deficyt uczuć żywionych do jedzenia, a nie brak

składników decydują o tym, że kuchnia jest uboga?

Książka De Blasi to rodzaj kulinarnego przewodnika. Znaleźć tu można trochę historii, trochę opowieści o miejscach, ale przede wszystkim o napotkanych ludziach: wiejskich rzeźnikach, starcach w beretach, niepozornych kobietach na targach – strażnikach tradycji, którym autorka próbuje wydrzeć kulinarne tajemnice. A potem przerobić je na przepisy. Stanowią one *gros* tej książki, a czyta się je jak baśnię: „Musisz mieć w ogrodzie drzewo cytrynowe” – zaczyna się jeden z nich, choć równie dobrze można by zacząć: „Stać o północy na rozstaju dróg. Pokłoń się księżycowi i zerwij trzy gruszki”.

Choć nieznośnie egzaltowana, De Blasi sprawia, że w środku nocy mam ochotę upiec ciasto (tylko dla-czego, cholera, nie mam pod ręką ciemnego rumu?). A Marek Bieńczyk nie służy podtrzymaniu życiowych funkcji, nie służy nawet zdrowiu. Jedzenie służy przyjemności i życiu towarzyskiemu, jedzenie ubogacza. Ubogaceni tą wiedzą wybieracie się dziś wieczorem na kolację z przyjaciółmi. I, broń Boże, nie zapraszajcie na nią doktora Dukana.

„Wino i wiersz się zdarzają: raz tak, a raz nie. Są pionierami istnienia, a nie trwałą pogodą” – pisze na przykład. Butelka jest pretekstem do opowieści o nastroju, o przyjaciółach, snobizmach, muzyce, książkach, winiarzach. O przeszłości i przyszłości, o oczekiwaniu i stracie. Bo wino bywa sprawcą nastroju, choć czasem nastrój wpływa na charakter otwieranej butelki. Marek Bieńczyk nie jest znawcą zaciętym i apodyktycznym, nie jest winiarskim dyktatorem. Z tym większą przyjemnością każdy, kto lubi wino, pograży się w lekturze.

Ech, strach pomyśleć, ile ten cały tekst ma kalorii. Jeśli wciąż się tym martwicie, uspokoi was Michael Pollan i jego „W obronie jedzenia. Manifest wszytkożerców”. Amerykański autorytet w dziedzinie żywienia dowodzi niezbicie, że jedyną słuszną dietą jest zdrowy rozsądek. Jedzenie nie służy podtrzymaniu życiowych funkcji, nie służy nawet zdrowiu. Jedzenie służy przyjemności i życiu towarzyskiemu, jedzenie ubogacza. Ubogaceni tą wiedzą wybieracie się dziś wieczorem na kolację z przyjaciółmi. I, broń Boże, nie zapraszajcie na nią doktora Dukana.



★★★★★  
Marek Bieńczyk  
„Nowe kroniki wina”,  
Świat Książki 2010,  
s. 478, 39,90 zł



★★★★★  
Marlena De Blasi  
„Smaki południowej Italii”,  
Wydawnictwo Literackie,  
Kraków 2010, s. 309,  
42,49 zł



★★★★★  
Wojciech Nowicki  
„Stół, jaki jest. Wokół kuchni w Polsce”,  
Muzeum Etnograficzne,  
Kraków 2011, s. 155,  
36 zł



★★★★★  
Michael Pollan  
„W obronie jedzenia. Manifest wszytkożerców”,  
MiND 2010, s. 238,  
28,49 zł

# Anatomia Lenza

W „Lenzu” Barbara Wysocka pyta o cenę romantycznego szaleństwa

ŁUKASZ DREWNIAK



Jakob Lenz (Szymon Czacki) rozpaczliwie szuka sensu wszytkiego

**N**apisane w 1835 roku opowiadanie Georga Büchnera jest zapisem rozpadu osobowości Jakoba Lenza, młodego teologa i dramaturga, rywala Goethego z romantycznego okresu burzy i naporu. W ujęciu Barbary Wysockiej ten raport z narodził szaleństwa wydaje się braku-jącym ogniwem między „Czarodziejską górą” a „Lidią”. Lenz (Szymon Czacki) namówiony przez przyjaciela Kaufmanna (Modest Ruciński) przy-bywa na położoną wysoko w górach plebanię pastora Oberlina (Oskar Hamerski). Lenz brnie przez śnieg ku odciętej od świata miejscowości, ale im wyżej wchodzi, tym bardziej zagłębia się w siebie. Wysocka obsypała scenę drobinami plastikowego śniegu, ustawiła na niej ogromny pień uszczonego drzewa i domki-lampiony. Projekcje wideo oblepiają ściany i teatralny sufit. Jesteśmy jednocześnie na dachu świata i gdzieś w samym środku bohatera. Aktorzy tarzają się w białej, tażą między modelami domków jak nieświadome swej siły i potęgi olbrzymy. Wysocka przestregła ich przed patosem i metafizyką, więc szukają prostoty wyrazu. Szaleństwo Lenza zyskuje w ten sposób groteskowy wymiar, rodzi

się ze spiętrzenia słów, powtarzalności działań. Rozgorączkowany bohater kilkakrotnie wskakuje w ubrania do kadzi z deszczówką. Cierpliwi Oberlin i Kaufmann suszą go, wycierają, przebierają, tłumaczą, że tak nie można. Ale on nie słucha: śpi mokrą na drzewie, wyciąga swoje pi-sma spod sztucznego śniegu, wygłasza bluźniercze kazania. Szymon Czacki brawurowo szuka świętości i sensu, ale także rozśmiesza i prze-raża. Jest jak niemy i śmiertelnie poważny Buster Keaton, który nagle zaczął wygłaszać naukowe traktaty i już nie może przestać. Coś spa-ła ciało i mózg bohatera. Lenz jest jak wydrążony pień, który można wypełnić czymkolwiek: dobrem, złem, wiarą, miłością, ateizmem, obłędem. Zamiast gadać o literaturze, żąda cudu zmartwychwstania dla niewinnego dziecka, spokojnie obserwuje postępowanie własnej choroby. Każdą cząstką swojej jaźni woła: Kim jestem i po co jestem? Skoro nie ma Boga, może jest chociaż śmierć?

Inscenizacja opowiadania Büchnera to logiczna kontynuacja poprzednich prac reżyserki – „Szosy wołokołamskiej”, „Kaspara”, „Łagodnej”. Wysocka jest mistrzynią małych, gęstych

form teatralnych. Jej specjalnością było dotąd rozsuptywanie kłębków narracyjnych, wyciąganie z nich nici znaczeń. W „Kasparze” zagłębiała bohatera do wnętrza głowy, rozbijała zdania Handkego i sklejała je na powrót – pełne nowych, klarownych znaczeń, zaszufładowanych emocji, precyzyjnych obrazów. W „Lenzu” jest inaczej – grzebie nie w głowie, ale w trzewiach postaci, bada ciało, które mówi. Sprawdza, co musi stać się z człowiekiem, do jakiego krańca udreczenia musi dotrzeć, żeby nazwać rzeczy ostateczne. W finale spektaklu widzimy dwie projekcje twarzy Czackiego: jedna ma zamknięte oczy, druga otwarte. To nie dwa warianty losu bohatera, ale jego przekłeta równoczesność. Wysocka odkryła, jak zaciemniać przez rozjaśnianie. Na szczycie świętej góry patrzy wraz z Lenzem prosto w słońce – póki nie oślepie.

„Lenz” Georga Büchnera, adaptacja, reżyseria, opracowanie muzyczne Barbara Wysocka, scenografia Mirek Kaczmarek, wideo Lea Mattausch, Teatr Narodowy w Warszawie

W A G A  
L E K K O  
P Ó Ł  
Ś R E D N I A

T A D E U S Z  
N Y C Z E K



## „Pocałujcie mnie..."

wszyscy w dupę” – taki miał być pierwotny tytuł spektaklu, ale stanęło w końcu na „Tuwimie dla dorosłych”. Nie dorosliśmy widać do dupy... Siedząc – pomimo dyrekcyjnej protekcji – na dostawce w ostatnim rzędzie, pomyślałem w pewnej chwili: Strzępka z Demirskim, nasi czołowi teatralni kontestatorzy, dostaliby na widowni zawalu. Wszystko tu jak przed wojną, może nawet pierwszą. Tuwimowski dowcip oczywiście przedwojenny. Sceneria także, choć pamiętam, że jeszcze w latach 60. takie supermieszkańskie kabarety zdarzały się w warszawskiej Syrenie albo krakowskiej Jamie Michalikowej. Aktorzy, choć zdecydowanie powojenni, też w istocie przedwojenni. Brakowało tylko meloników, muszek, wąsików tudzież pieprzyków na policzkach naszych pięknych pań. Wszystko fertyczne, błyskotliwe, inteligentne, miejscami melancholijne, miejscami owiane mgiełką nostalgii. Za czym? Za teatrem, który od ponad stu lat się nie starzeje, bo zestarzał się tak dawno, że właściwie nie ma co się w nim starzeć. Problem w tym tylko, żeby się tą nieśmiertelną starością dobrze posłużywać. To znaczy, żeby teksty były w najlepszym gatunku, a Tuwimowskie są. Żeby reżyseria nie przeszkadzała, ale podkreślała ich smaczki i walory, co Jerzy Satanowski zapewnił. Żeby artyści nie komikowali bez potrzeby i nie fałszowali, a ta szóstka, która w „Tuwimie dla dorosłych” wystąpiła, wykonała zadanie bezbłędnie. A nawet z pewnym naddatkiem. „Ptasie radio” zaśpiewane przez Annę Srokę to cały koncert na jeden głos. Zaś słynny „Grande Valse Brillante” w wykonaniu duetu tejeż Anny Sroki i Jacka Bończyka wydał mi się (milcz, serce) równie przejmującym jak oryginal. Widownia była też przedwojenna, choć ubrana współcześnie. Wszystko razem – zachwycające.

„Tuwim dla dorosłych”, scenariusz i reżyseria Jerzy Satanowski, muzyka różnych autorów, scenografia Anna Woś, Teatr Roma w Warszawie





ŁADNE RZECZY

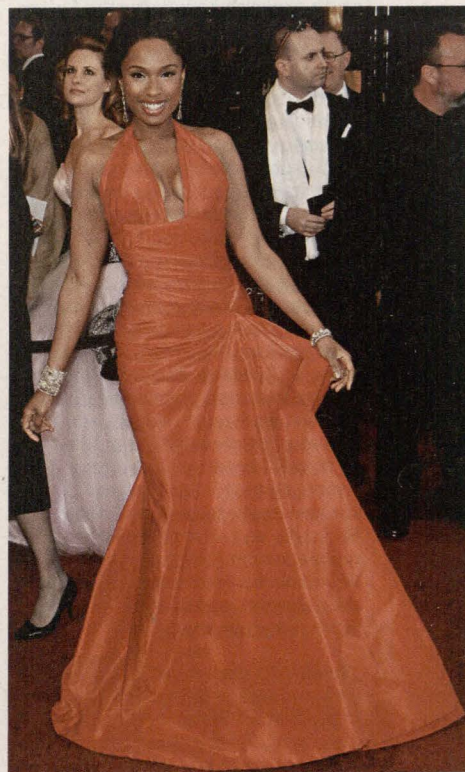
# Moda galowa

Czyli długo i nudno, za to za duże pieniądze

OLA SALWA

**W** czasie gdy modne jest prawie wszystko, a istotą dobrego ubierania się jest mieszanie drogiego z tanim, krótkiego z prążkowanym i długiego z krótkim, galowe stroje amerykańskich aktorek zaskakują konserwatywnym. Sądząc po liczbie stron redakcyjnych, sond i quizów w Internecie, Oscary są najważniejszą nocą w świecie mody. Jednak gdy spojrzeć na to z dystansem, przemarsz gwiazd w sukienkach najdroższych projektantów obwieszonych kosztowną biżuterią jest głównie plotkarsko-towarzyskim

wydarzeniem. Nie ma tu miejsca na oryginalne krawiectwo, eksperymenty ani podkreślanie osobowości. Gwiazda ma wyglądać jak gwiazda, czyli błyszcząco i kosztownie. Koniec, kropka. Na czerwonym dywanie dominują więc dwa typy sukienek - obcisła na całej długości oraz wąska na górze i luźna na dole, na przykład typu syrena. Czasem pojawi się jakaś nieśmiała luźność (jak u ciężarnej Natalie Portman), asymetria lub nietypowy dekolt jak ten à la zbroja w kreacji założonej przez Cate Blanchett, ale to zjawisko równie częste



**O jeden lifting za dużo, czyli Jennifer Hudson** w sukni Versace (z lewej). **Natalie Portman** (z prawej) na rozdaniu Złotych Globów wypadła błado w różowej szacie Viktora i Rolfa. Niemal identyczny model - tyle że spod igły siostr Rodarte - założyła na Oscary. Może dlatego, że o Złotych Globach mówi się, iż to próba generalna przed Oscarami?



**Oryginalność na miarę Oscarów, czyli Michelle Williams** zrobiona na żółto przez Verę Wang. To jedna z nielicznych sukienek dekady, jakie pamiętamy



Najciekawsza sukienka tegorocznego rozdania Oscarów - Givenchy Couture na Cate Blanchett

jak croissant w menu wiecznie głodzących się aktorek. Mimo to reporterom relacjonującym paradę gwiazd na czerwonym dywanie udało się przez półtorej godziny z jednakowym entuzjazmem zadawać to samo pytanie: „Czy strój masz na sobie?”. Nie jest w końcu tajemnicą, że informacja o marce jest w tym rytuale najważniejsza, a ciała aktorek zaproszonych na galę wręczenia Oscarów to najlepsza powierzchnia reklamowa. Co roku o przywilej ubierania gwiazd biją się najdroższe domy mody z Prada, Versace, Oscarem de la Renta i Armanim na czele. Gdy w 2001 roku Julia Roberts odbierała nagrodę w sukience Valentino, włoski projektant podliczył, że była to akcja promocyjna o wartości ponad 25 milionów dolarów. Kiedyś można było mówić o skandalu, gdy Marlena Dietrich miała na sobie spódnice odkrywającą kawałek kolana, a piosenkarka Björk przysłała w ubraniu uszytym z wypchanego łabędzia. Dziś mówimy raczej o ataku kłonów.

OBYCZAJÓWKA

## Pani prezydent pisze kryminał...

...i wszyscy są szczęśliwi



MICHAŁ WITKOWSKI

**C**hyba jestem lewicowy. Odkryłem to podczas czytania norweskich kryminałów. Ich autorki i autorzy nawet podczas podziękowań na końcu autorki dziękują swoim cudownym żonom i córkom, autorzy swoim mężom. Nie zauważają. Stało się przezroczyście. Warto przypomnieć, że na początku lat 90. Manuela Gretkowska zadedykowała którąś ze swych książek „Mojej żonie”. Miała to być prowokacja. Tu mamy takie dedykacje najzupełniej na poważnie.

Na przykład była minister sprawiedliwości Norwegii Anne Holt nie dość, że właśnie ma połowicę, nie dość, że jako minister pisała kryminały, to jeszcze w posłowniu oznajmia: „Materialista» nie powstałby, gdyby nie cierpliwość, czułe zagrzewanie mnie do walki i upór Tine Kjaer, która od 10 lat jest moją żoną. Dziękuję jej, a także naszej córeczce Iohanne”. I co? I nic. Wszyscy są szczęśliwi, słoneczko świeci. Pani biskup, mimo że lesbijka, jest świętą osobą, a pani minister pisze piękne książki, jest pracowita i dobra dla córki. Proszę bardzo, jeżeli o mnie chodzi, nic w tym obrazie świata mnie nie odpycha. Nie mam natury działacza ani nie myślę o nic walczyć, ale nie mówię „nie”. Widocznie jest dwóch Bogów - ten lewicy, łaskawy i afirmujący, który mówi „stop”, dopiero gdy komuś się dzieje namacalna krzywda, i Bóg prawicy - starotestamentowy, grzmiący, karzący, z piorunem w ręku. A przecież w świecie opisanym powyżej nikomu nie dzieje się krzywda. Czujesz się kobietą, to zmieniasz

sobie dowód i kilka innych drobiazgów i wszyscy są szczęśliwi. Za to gdyby ci tego zabroniono - byłbyś na zawsze nieszczęśliwy. Zabranianie prawicowe więcej krzywdy niesie niż lewicowe przyzwalanie.

To, że Polska jeszcze nie dorosła, to najczęściej powtarzany banał skrywający autentyczną niechęć do zmian. Owszem, trudno sobie wyobrazić, aby prezydentem naszego kraju był ktoś, kto urodził się jako Jan Kowalski, zmienił płeć, jest teraz kobietą, na dodatek lesbijką, i ma żonę, która kiedyś była facetem. I na dodatek pani prezydent pisze chociażby kryminały. Właściwie sytuacja taka nie niesie jeszcze żadnych przeciwwskazań intelektualnych, a pani prezydent może być mimo zmiany płci i innych zawirowań wybitnym politykiem. Mentalnym facetem, który ze stalowymi nerwami potrafi utrzymać ten cały bałagan w ryzach. Ale dopóki czegoś nie możemy sobie wyobrazić, dopóty nie będziemy potrafili tego zrobić. Może warto trochę sobie powyobrazić? Albo chociaż poczytać Anne Holt?

Mój problem z Polską jest następujący: obracam się w takich kręgach, że właściwie nie ma wśród nich ani jednego Polaka i ani jednej Polki nielewicowych, nieczytających, niewydukuowanych. Czyli właściwie nie znam nikogo, kto przypominałby owego koszmarnego statystycznego draba. Chyba aż tak strasznego Polaka jak ten statystyczny nie ma. Nikt z moich znajomych nie miałby nic przeciwko wprowadzeniu lewicowego pakietu dobrze znanych zmian, i to nawet w jego wersji *hard* (z aborcją, kapaństwem kobiet i kto wie, czy nie eutanazją). A jednak zawsze słyszę, że jakaś „większość” jest przeciw. Nikt z moich znajomych nie czyta pół książki rocznie. Najczęściej czytają codziennie pół. Sam kupuję książki czytając drugi dzień, za co od Empiku należy mi się chyba już jakiś medal. A jednak słyszę, że nikt już nie czyta. Ani jeden z moich znajomych nie jest katolikiem, choć wszyscy na pewno zostali wpisani do ksiąg, kiedy byli jeszcze zbyt mali, aby zaprotestować. A jednak... Co tu robić z krajem, który składając się z samych tylko aniołów, w skali makro staje się diabłem? Może statystyki są zafałszowane? Może pomyłka w GUS? Ale potem przychodzą wybory i okazuje się, że ja zadaję się tylko z połową Polski, bo ona pęknięta. A z pękniętego naczynia i Salomon nie naleje.



ROMAN KURKIEWICZ

KANARORMO

Cichaczem, zmieniając ustawę o prawie przewozowym, funduje się nam kolejną formację, jeszcze nie zbrojną, ale mającą prawo użyć wobec nas przemocy fizycznej. To kontrolerzy biletów, plutony kanarów



W myśl nowej ustawy o transporcie zbiorowym przewoźnik, organizator transportu zbiorowego lub osoba przez nich wyznaczona będzie miała prawo ująć pasażera lub pasażerkę, którzy nie mają ważnego biletu i nie chcą na przykład okazać dokumentu tożsamości. Oczywiście wszyscy znamy przykłady kontrolerów biletów, ich kulturę osobistą, takt i szacunek dla nietykalności kontrolowanych. Można powiedzieć, że jeszcze bez nowych zapisów znani byli z „ujmującego” sposobu bycia. Szczególnie jeśli w kilku wzięli się za pasażerkę, najlepiej po rozpoznaniu, że jest zza wschodniej granicy. Wyposażenie owych dzentelmenów w przejrzyste, czytelne, ściśle określone uprawnienia do ujmowania innych zostało już oprotowane przez Helsińską Fundację Praw Człowieka jako naruszające nasze niezbywalne prawo do wolności. Ujmowanie bowiem jest ograniczeniem wolności. Co jest ujęciem, a co nim nie jest? Według jednego z organizatorów zbiorowego transportu zakładanie kajdanek to może nie, ale przytrzymanie i podduśzenie jest OK. Kordonik i blokada także? Trzymanie i szarpanie za ręce też? Za chwilę kanary (ORMO, czy ktoś to jeszcze pamięta?) poproszą o zgodę na użycie paralizatorów, pałek i jednak kajdanek lub linek kajdankopodobnych. Bo są problemy z ujęciami. Na koniec dopiero poproszą o broń palną.

Rozszerzenie prawa do przemocy wobec obywateli jest kierunkiem słusznym. Nie można zatrzymywać się na gapowiczach i gapowiczach. Niech mogą nas oblać, obezwładniać, zatrzymywać, lżyć i poniewierać dozorczy i dozorczyńce, bileterki i bileterzy w kinach, pracownicy parkingów, stróż nocni, dzienni i szkolni, taksówkarze, stewardzi i stewardesy, osoby sprząające przestrzenie płaskie, wykładowcy i nauczyciele, sprzedawcy i dorożkarze, lekarze, pielęgniarki, pracodawcy i inne wyznaczone do tego osoby. Jeśli wszyscy zostaną ujęci, zostaniemy nie tylko najbrzydszym krajem Europy, jak jest dzisiaj, ale także najbardziej „ujmującym”. Nie wiem, czy jasno to ująłem.

NIE TAK: JANEK KOZA



Autor: Jerzy Buczek

JOLKA NR 11

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

Jr G A10 G11 H K5 K6 H12 B9 G7 K1 F10 J6 G3 E11  
H1 D5 J4 A2 H6 K10 I3 C12 A8.

Wyrazy 11-literowe:

- NIEZADOWOLONY Z PIONY
- RAZOWY SZEF

Wyrazy 9-literowe:

- ZWIĄZAŁBY SIĘ Z JOLĄ, ALE CO LUDZIE POWIEDZĄ?
- ZAPLECCZ PIERWSZEJ A

Wyrazy 8-literowe:

- PO ZIELONEJ TRAWIE PIŁKA NIE POGONI
- NAPINAJĄ ŁUKI W MILWAUKEE

Wyrazy 7-literowe:

- CHODZĄCE PODNIEBIENIE
- GRA DLA OŚMIU KANADYJCZYKÓW

Wyrazy 6-literowe:

- DRUH WŁADZY
- WYMIGA SIĘ NAWET OD TAPICEROWANIA TRÓJKĄTÓW
- OZNACZANE KOLEJNYMI NRAMI PRZED NREM



- WYROBI SIĘ NA WIELKANOC
- BIELSKI IMIENNIK HARRISONA
- KALKULUJ Z PAPĄ
- KOŁO PODWYDMUSZKOWE
- SIEDZI W KICIE
- TRZY Z RELIGII, TRZY Z POLAKA
- ŻERUJĄ PRZED ZACHODEM
- ZIELONY W OGRÓDKU
- STATUS NA RAMIENIU
- WYRABI SIĘ NA WIELKANOC
- BIELSKI IMIENNIK HARRISONA
- KALKULUJ Z PAPĄ
- KOŁO PODWYDMUSZKOWE
- SIEDZI W KICIE
- TRZY Z RELIGII, TRZY Z POLAKA
- ŻERUJĄ PRZED ZACHODEM
- ZIELONY W OGRÓDKU
- STATUS NA RAMIENIU

ROZWIĄZANIA Z NR. 9

Krzyżówka: DOLINA ISSY  
Pozioło: 1. CZERWONY KAPTUREK - KRASNOŁUDEK 7. SŁODKI WALCZYK - DROPS 8. SZYBKO POZWALA UDAĆ SIĘ NA STRONĘ - MÓDEM 9. WZYWA DO ODPOWIEDZI - LIST 10. KROKI W TAŃCU - KANKAN 12. PRZECIEŻ POMIDOROWY - KECZUP 14. GAD 5SAK - SMOK 17. NA STAGIE W PKP - PERON 18. CZĘŚĆ AERO PLANU - DOŁÓT 19. DUMA DO CZUCIA - SATYSFAKCJA  
Pionowo: 2. KRZYŻÓWKĘ „PRZEKROJ” ROZWIĄŻ - ANONS 3. STARA SUKA - NYSA 4. PASEK W SPÓDNIACH - LAMPAS 5. NA KRÓLEWSKIEJ ŁAWIE - DUDEK 6. ŚRODEK KOMUNIKACJI - KOMUNIKAT 7. ZZA WÓD REPORTERA - DALEKOPIS

11. ROZPOCZYNANY WIECZORKIEM - TURNUS 13. W ANGLI ZŁOTY, W ROSJI BIAŁY - CARAT 15. PIĄTY PALEK - MAŁEC 16. RUDA ŻELAZA - RDZA  
Jolka: ZACZNIJMY OD DROBIAZGÓW: SKOŃCZMY PIĆ KAWĘ (porucznik Columbo do komendanta Emilia Sanchez w Meksyku)  
Rzędami: KUMPLE, CYRANO, SALDO, SŁUCHACZKI, TEZY, SZEWCY, RYDZ, REFERENCJE, BŁOKI, JAŚMIN, CIĘCIA  
Kolumnami: RYBY, WYKŁADY, DROGI, ŁANCUSZEK, FILC, KORALE, WERSJA, MYŚZ, AKTYWNOŚĆ, LILIE, ZBÓJNIK, SOWY

LAUREACI Z NR. 8

Krzyżówka:  
Halina Mochnej, Wrocław;  
Maria Mozumańska, Szczawno-Zdrój;  
Grażyna Musiałkowska-Markowska, Sianów;  
Anna Szafran, Kraków;  
Renata Szeruga, Wrocław  
Jolka:  
Adam Białek, Warszawa;  
Krzyszyna Bralewska-Woźniak, Wyszków;  
Irena Faber, Warszawa;  
Krzyszyna Gónczarek, Łódź;  
Danuta Morawska, Gorzów Wlkp.



Władcy umysłów (psychodrama polityczna)

Występują: świeżo przeorientowani WŁADCY UMYSŁÓW oraz jak zawsze zdezorientowana PUBLICZNOŚĆ

WŁADCY UMYSŁÓW (niewyraźnie):  
- Tak... Hm... Otóż przemyśleliśmy pewne sprawy, prawda, i doszliśmy do wniosku, że Platforma Obywatelska niestety, prawda, wcale nie jest taka fajna, jak nam się uprzednio wydawało. Tak... Zawiedliśmy się, prawda, i nie możemy tego dłużej ukrywać. I bardzo prosimy, żeby nas już nie straszyc PIS.

PUBLICZNOŚĆ (dramatycznie):  
Jezus Maria! I co teraz???

KURTYNA z ciekawości nie zapada.

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Nareszcie post!

I przyszedł post. Kończą się wazywa w kopcach i mąka w spizarni. Nadchodzi czas diety - stokroć lepszej od tych wszystkich zalecanych przez kolorowe pisma tego świata. Sięgamy po rybę w rzekach i stawach. Prawdę powiedziawszy, to na post czekałem ze wszystkimi swoimi ulubionymi przepisami na gotowanie, smażenie i pieczenie ryb. Swojej rybnej wędrówki nie mogę nie rozpocząć od Zatoru, ziemi, a raczej wody, przywołanej przez Ojca Świętego Jana Pawła II w jego „jedzeniu” opowieści na wadowickim rynku. Mówił wówczas o zatorskim karpniu jako o rybnym smaku z dzieciństwa. Tam bowiem tradycja łowienia, sprawiania,

wędzenia i gotowania dzikich karpia górskich wywodzi się z XIII wieku. Spróbowałem go. Poczęstował mnie nim pan Franciszek, twórca stowarzyszenia miłośników zatorskiego karpia. To fenomenalna, jędrna ryba. Ugotujmy ją dziś według starego polskiego przepisu. Wlejmy do garnka po równo piwa i octu. Niech płynu będzie tyle tylko, by przykrył rybę, którą za chwilę włożymy. Dzięki tej niewielkiej ilości zrobi się ona miękka. Kroimy drobno seler, parę cebul, marchew, do garnka wrzucamy kilka ziarenek ziela angielskiego i prostego pieprzu, kilka bobkowych liści, goździków, szczyptę soli, garstkę cytrynowej skórki. Niech się to wszystko

parę razy zagotuje i ostudzi. Wtedy wkładamy rybę, wrzucamy skórkę żytniego chleba, wszystko zagotowujemy na mocnym ogniu. Po wystudzeniu wlewamy szklankę węgierskiego półwytrawnego wina, dodajemy łyżkę masła, garstkę cukru, trochę imbiru, kilka kaparów, oliwek, parę plasterków cytryny. Gotujemy całość, często potrząsając garnkiem, aż wokół ryby wyklaruje się sos. Wówczas wykładamy karpia na półmisek, polewamy go pozostającym sosem i podajemy na stół.

Uwielbiam to danie. A kiedy jeszcze karp z Zator pochodzi... Uwielbiam post!

Program „Wściekle gary” Adama Gesslerera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

BRACIA M

BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ  
WWW.FACEBOOK.COM/WILQUPERBOHATER



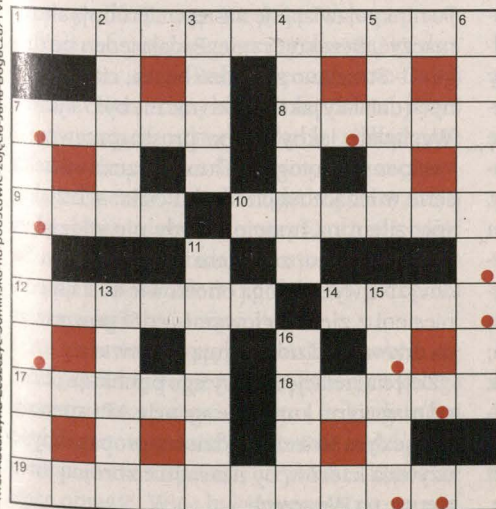
MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Odkąd homo sapiens stanął na dwóch łapach, stale komuś służy.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

KRZYŻÓWKA NR 11

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



POZIOMO:

1. ODDZICZACZ
7. UCZONY W MUNDURZE
8. PROWADZI DO SKLEPU
9. GAZ PRZYCIĄGAJĄCY
10. POKROJU ZIEMNIAKA
12. POWTÓRKA Z ROZRYWKI
14. UMOŻLIWIA ODBIÓR RADIA
17. CIENKA W USZACH
18. PSYHOL
19. PRZEPYCH W SKLEPIE

PIONOWO:

2. FATALNA MORGANA
3. WYPELNIŁA ROWY
4. MOŻE STAĆ NA WARCIE
5. IYSO, ALE W OSTROGACH
6. NAJLEPIEJ ŚPIEWA ROTY
7. IMPONUJĄCY INSTRUMENT
11. JEGO KOLEJ
13. SAMICA FAUNA
15. PODSTĘPY LEŚNE
16. MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH ANGLII



Nagrodą w tym tygodniu jest książka Ireneusza Iredyńskiego „Dzieła zebrane, tom 3.” (Warszawska Firma Wydawnicza)

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 21 marca 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 11” lub „krzyżówka 11”.





# Brutalna rewolucja

**JOHN SADOVY** pojechał na Węgry fotografować heroiczną rewolucję. Utrwalił nieprzyjemną prawdę o wściekłym tłumie

**KUBA DĄBROWSKI**

**N**oc z 31 października na 1 listopada 1956 roku. Z Austrii na ogarniętą rewolucją Węgry wjeżdża dziennikarski tandem magazynu „Life”: fotograf John Sadovy i reporter Timothy Foote. Podróżują starą chłodnią volkswagena, udają dostawców lodów. Sadovy urodził się i wychował w Czechach, podczas II wojny światowej walczył we Włoszech, po 1945 roku osiedlił się w Anglii. Tam został reporterem. Jest idealnym fotografem do realizacji zlecenia: zna Europę Środkową, posługuje się lokalnymi językami.

Dziennikarze nad ranem docierają do ogarniętego walkami Budapesztu. Niespodziewanie podbiega do nich rozentuzjasmowany rewolucjonista: - Po drugiej stronie miasta, dwa kilometry stąd trwa strzelanina!

Sadovy i Foote ruszają we wskazanym kierunku. Po drodze mijają ciężarówki przepelnione powstańcami. - To byli młodzi chłopcy i młode dziewczyny, którym ktoś chwilę wcześniej wręczył broń. Tuż przed walką uczyli się ją obsługiwać. Rozkładali karabiny, żeby zobaczyć, jak są zbudowane - opowiada Sadovy.

Okazuje się, że owa strzelanina to szturm na siedzibę tajnej policji. Chowając się za krzewami, rewolucjoniści puszczają nieskoordynowane serie z karabinów. Z okien gmachu ogniem odpowiadają policjanci. Są skuteczni; na placu leży kilkanaście ciał. Strzały jednak stopniowo słabną. Załoga poddaje się, pierwszy do rewolucjonistów wychodzi dowodzący policjantami oficer, nie udaje mu się nawet otworzyć ust, od razu dostaje strzał w głowę.

Po nim pojawiają się następni. Próbuje się tłumaczyć. Bezskutecznie. Padają jeden po drugim. - Strzelano z bardzo bliska, ciała zabijanych działały jak tłumiki i nic nie było słychać. Wyglądali, jakby się po prostu przewracali - wspomina fotograf. Tłum puszcza wściekłe serie w leżące na chodniku ciała. - Trzy lata spędziłem na froncie i nigdy nie widziałem czegoś takiego, zacząłem płakać - mówi Sadovy. Najwyżsi rangą oficerowie zostają podniesieni z ziemi i głowami w dół powieszani na drzewach. Ludzie plują im w twarz.

Zdjęcia i relację Sadovy'ego publikuje „Life”, od magazynu kupuje je agencja AP i sprzedaje na całym świecie. Radzieccy propagandyści używają kadrów, by uzasadnić zbrojną interwencję na Węgrzech.



*Powinienem ten tekst oddać dwa dni temu. Jak długo można udawać, że się pisze jakiś dziennik, skoro się tylko robi za jednorazowego zastępcę? Dziennik w końcu rzecz poważna, a nie jakieś fu-bzdziu*

**7 MARCA**

SMS od Pilcha: *kochani, jestem w Wisle. Tu tylko Malyszowie mają internet, ale Adam wrocil, odpada. Probowałem pisac recznie, zapomnialem. Tydzien wytrzymacie. Scisk*

My wytrzymamy, nie takie rzeczy wytrzymałaliśmy. Wytrzymałymi jakichś sześciu naczelnymi i ze dwóch właścicielami, to i tygodniowy brak Pilcha wytrzymamy. Damy radę, jak powiedział kiedyś premier Donald, bynajmniej nie idiota, co publicznie poświadczył parę dni temu w Krakowie Krzysztof Globisz w trakcie słynnej konferansjerki na otwarciu Narodowego Centrum Nauki.

Teraz lud podśmiewa się z Globisza, że dał sobie w szyję. Ludu mój, ludu, mylisz się straszliwie! Na aktorską nietrzeźwość nie ma nigdy żadnego dowodu, bo im lepszy aktor, tym lepiej uda nawalonego i choćby na oko wyglądał, jakby trzasnął trzy setki, w życiu się nie dowiedzie, trzasnął czy nie. Boski zawód! Powie człowiek z estrady coś naprawdę śmiesznego, a hyr po kraju idzie, że albo nietrzeźwy, albo idiota, i nie wiadomo naprawdę kto - premier czy artysta.

**8 MARCA**

Za to my naprawdę daliśmy sobie w szyję wczoraj z koleżeństwem z redakcji. Poza redakcją oczywiście, bo dziś takie czasy, że w pracy nikt nie pije. Kiedyś z Pilchem pracowaliśmy w pewnej gazecie i zawsze, kiedy... Ech, milcz, serce. Budzę się rano, a tu Dzień Kobiet. Nim zdążyłem sformułować jakieś nieobrazające nikogo zdanie wskazujące na aktualną wyższość kobiety nad mężczyzną, ze szczególnym uwzględnieniem mojej żony, żona zdążyła się umyć, ubrać i pójść do pracy. Poniechałem formułowania tego zdania i zamknąłem zbolące od patrzenia na rzeczywistość oczy.

Po południu przypominałem sobie, że zanim daliśmy sobie w szyję, byliśmy z kolegą redaktorem w teatrze. Ja wiem, że kiedy mówi się: „Byłem w teatrze”, większość ludzi popatruje po sobie niepewnie, czy ktoś tu kogoś nie chce obrazić. Więc byliśmy w teatrze na pre-

mierze pewnej starej, dobrej, klasycznej już sztuki, którą pamiętaliśmy z innych, dawniejszych premier, bo obaj niejeden już fotel w teatrze wysiedzieliśmy i pamięć, chwała Bogu, nadal nam dopisuje (koledze bardziej, bo młodszy). Reżyserował człowiek młody i zdolny bardzo, i grali też sami ludzie młodzi, zdolni różnie. W sztuce co prawda powinni występować także średni i starzy, bo rzecz się dzieje w pewnym miasteczku, a w miasteczkach zazwyczaj mieszkają przedstawiciele każdego wieku, ale nie ma się co czepiać, teatr zna takie sztuczki.

W ciągu pierwszej godziny reżyser z aktorami zajmowali się tym, czym zajmuje się od jakiegoś czasu większość twórców tak zwanego nowego teatru, czyli demontażem tamtej dobrej, starej, klasycznej sztuki. Słowa wypowiedziane przez aktorów polatywały sobie swobodnie obok słów napisanych przez autora, postaci słabo trzymały się swoich pierwowzorów, akcja zataczała niejasne meandry wokół oryginalnej, skądinąd bardzo precyzyjnej akcji. Wszystko razem przypominało pracovitą rozbiórkę muzealnego już trochę samochodu, ale wciąż sprawnego, z blachą tylko tu i ówdzie lekko porzdewiała, ale o pięknej wciąż linii karoserii i niezłej prędkości na prostej drodze. Kiedy auto zostało już rozbrane na części i każdy z młodych mechaników zaczął się bawić w swoim kącie, a to kręcąc w powietrzu kierownicę, a to wydłubując gaźnik z silnika, a to wypuszczając powietrze z opon, uznaliśmy z kolegą, że na dalszą jazdę nie ma co liczyć, i zgodnie wysiedliśmy w przerwie z teatru. Czysta ohyda moralna. Dwa wredne, nieczułe, zgryźliwe zgredy, pomarszczone dupy umysłowe, których miejsce jest w muzeum teatralnym w gablocie z tabliczką „Krytyk teatralny, wczesne średniowiecze, wykopalisko z okolic Błędmierza”.

**9 MARCA**

Dzień Kobiet szczęśliwie za nami. Ale przyjemnie nie było. Koleżanki z pokoju redakcyjnego, które nie wyglądały na wracające z kina, chciały popijając wodę, popatrywały na nas

niechętnie. Jedna, zajrzawszy do Internetu, burknęła pod nosem „o, Dzień Kobiet”, ale to niewymyślne zdanie oznajmujące zawisło martwo w powietrzu. Wśród tak zwanej inteligencji pracującej od dawna wiadomo, że Dzień Kobiet to obciach. Jakies trzy lata temu wygłupiłem się ciężko, przynosząc do pokoju redakcyjnego pudełko czekoladek. Leżało nietknięte do późnego popołudnia jak wyrzut sumienia. Wiłem się w duchu ze wstydu. Na drugi dzień pudełka już nie było. Pewnie wzięła sprzątaczką.

**10 MARCA**

Pilchu, wróć.

**12 MARCA**

Powinienem ten tekst oddać dwa dni temu. Jak długo można udawać, że się pisze jakiś dziennik, skoro się tylko robi za jednorazowego zastępcę? Dziennik z jednorazową perspektywą jest jak namiot postawiony na jedną noc. Przespać się w tym można, ale ani zamieszkać na dłużej, ani się porządnie rozgościć, bo to jawna prowizorka, do tego jak cholera niewygodna.

Nigdy nie przychodziło mi do głowy regularne pisanie dziennika. I zawsze podziwiałem ludzi, którym to przychodziło z łatwością. Ale czytać cudze dzienniki też nie przelewki. W ubiegłym roku musiałem zmóc trzy tysiące stron dziennika Mrożka i pod koniec zacząłem marzyć o schludnym i cichym pokoiku bez klamek, z widokiem na park i chińskie kaczki. Choć co tu kryć, na kolana padłem.

**16 MARCA**

Zdaje się, że numer „Przekroju”, do którego miałem pisać ten łże-dziennik w zastępstwie Pilcha, szczęśliwie już wczoraj wyszedł. Pilchu, szczerze ci współczuję, to potworne zajęcie. Budzisz się rano, a tu dziennik czeka. Zwlekasz się z pościeli, parzysz kawę (a może zwykłą wodę spod konserwowych do szklanki przelewasz), a tu dziennik czeka. Patrzą przez okno, czy czasem zima nie wróciła i czy drzewa na Hożej puszczają pierwsze pączki, a tu dziennik czeka. Nastawiasz płytę z Trzecią Mahlera, ale za wcześnie na Mahlera, wyłączasz, dzwoni telefon z redakcji, czyś już gotów z tekstem, kawa stygnie, w piżamie urwał się guzik, trzeba włączyć komputer i napisać pierwsze zdanie. Wstajesz, żeby podgrzać kawę, po drodze do kuchni stoi rozgrzebane łóżko. Gdyby tak położyć się na moment...





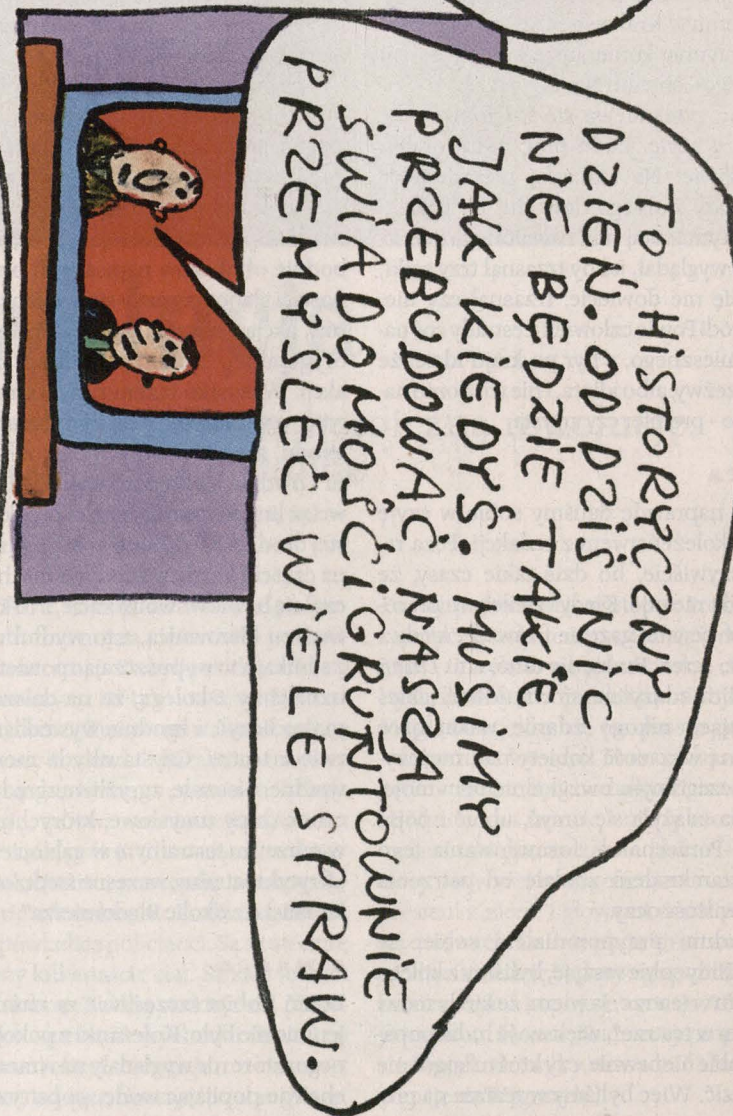
ALE  
JAKA TO ŚCIE?  
WIADOMOŚĆ?



Z MATRYKANU  
NADESZTA SENSACyjNA  
WIADOMOŚĆ.  
TRUDNO PRZECEŃC  
JEJ ZNACZENIE DLA  
NAS, KATOLIKÓW.



PAPIEŻ BENEDYKT XVI  
UWOLNIŁ ŻYDÓW Z ZAPZUTU  
Z ABICIA CHRYSZTUSA.\*



TO HISTORYCZNY  
DZIEŃ. OD DZIŚ NIC  
NIE BĘDZIE TAKIE  
JAK KIEDYŚ. MUSIMY  
PRZEBUDOWAĆ NASZĄ  
ŚWIADOMOŚĆ I GRUPOWIE  
PRZEMYSŁE WIELE SPRAW.

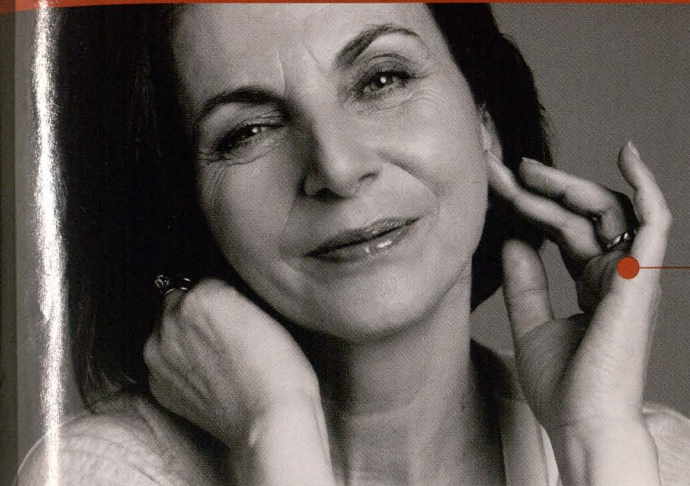
\*03.03.2011

R A Z J E S Z C Z E R A C Z K O W S K I

# NAJLEPSZE STRONY sukcesu



## ZNANE POLKI bez Photoshopa



## DRAGONI BIZNESU pomogą zdobyć pierwszy milion



## PASJE, w których topią fortuny polscy biznesmeni



## EDYTA GÓRNIAK tylko „Sukcesowi” mówi o decyzjach, których nie żałuje



Sukces możesz kupić... w kioskach i salonach prasowych





Najskuteczniejsza  
izolacja na rynku

$$\lambda_D = 0,030 \text{ W/m}\cdot\text{K}$$

Wojciech Znamirovski,  
Wykonawca

# ISOVER – ZŁOTO dla Najlepszych

**Złoto** to kolor Mistrzów. Prawdziwie mistrzowskie rozwiązania są w Twoim zasięgu. Twoje złoto to Komfort na długie lata i Oszczędności już od pierwszego rachunku za energię.

Wybieraj produkty ISOVER o najlepszych parametrach izolacyjnych\* i dołącz do **Najlepszych**.



**ISOVER**  
SAINT-GOBAIN

[www.isover.pl](http://www.isover.pl)

\* [www.najlepsze-izolacje.pl](http://www.najlepsze-izolacje.pl)